

Szaniawski Klemens **Z MAZURSKIEJ ZIEMI**

Krwawiło się słońce na zachodzie. Zapadało ono za las, rzucając na niebo odblask czerwony jak łuna odległego pożaru.

Chłopi mówili że się wietrzny dzień zapowiada na jutro, a mieli słuszność naprawdę, bo już to nie od dzisiaj wiatr szalony się miotał i wiał biednym ludziom wprost w oczy; zdierał poczerniałą słomę ze strzech, a tak był szkaradnie, jak zgłodniałe wilczysko wśród zimy.

Kalendarz mówił że jest wiosna, ale jej znać nie było — taka jakaś żałobna i zapłakana przyszła w tym roku. Na polach pokazał się pług tu i owdzie, wychudzone bydło ciągnęło z pastwisk, skowronek śpiewał wprawdzie, ale nikt mu nie wtórował na ziemi, bo nie do śpiewania było ludziom w tych czasach.

Smutnie szumiała złota wierzba nad wodą i brzoza przy gościńcu, a między ludźmi znać było przygnębienie ciężkie. Były całe obszary pól leżących odłogiem, zaniedbanych oddawna. Pług nie tknął ich na jesień, nie ruszył teraz na wiosnę, to też stwardniały one i zielskiem porosły. W Jasach tylko rozlegał się łoskot siekier, ho drzewo było za bezcen, a spekulanci umieli z chwili korzystać.

W owych to czasach sekwestratorowie i komornicy zajeżdżali konie, tyle mieli zajęcia i pracy. Ziemia była tania, lecz nikt kupować jej nie chciał. Gdzieniegdzie dopiero ukazywały się pierwsze awangardy kolonistów niemieckich, za którymi później dopiero nadciągnąć miały długie szeregi wozów, pełne nowych obywateli...

Krwawiło się słońce na zachodzie — a przy jego promieniach, niebawem już zgasnąć mających, widać było niewielką, na wzgórzystym brzegu rzeki rozrzuconą wioseczkę. Stara to wieś była. Chaty niewielkie, w ziemię już potrosze zapadłe, ze strzechami mchem zielonkowatym porośniętymi, kryły się w ogródkach, w których czereśnie zaczynały się właśnie białym kwieciem pokrywać.

Na końcu wsi, jak zwykle, stała karczma wielka, drewniana, z ogromną szopą dla koni, z pozieleniałymi oknami, w których braki szyb przemysłny arendarz gontami i papierem uzupełnił.

Widać ztąd było czerwone mury spalonego niedawno folwarku, otoczonego rzędem topól balsamicznych; dalej rzekę, szerokie łąki nadbrzeżne i biały kościółek w sąsiedniej wiosce. Przed karczmą stał arendarz, Jankiel, w wytartym kamlotowym żupanie — i z żywa gestykulacją

usiłował wytłumaczyć coś staremu chłopu powracającemu właśnie z kuźni z naostrzoną siekiera.

W chwili, w której żyd najbardziej się zapalił i widocznie najsilniejszego miał użyć argumentu, szybkim pędem wjeżdżał do wsi szczególniejszy ekwipaż.

Była to bryka niepomiernej długości, zaprzężona w trzy rosłe, doskonale utrzymane konie; dwoje źrebiąt biegło obok bryki luzem, a z tyłu dążyły przyczepione dwa dwuletnie źrebce.

Przed bryką, z głośnym szczekaniem pędziły trzy duże wyżły, niby laufry, zapowiadające przyjazd swego pana. W tym ekwipażu siedział mąż o bardzo srogim spojrzeniu i brwiach zmarszczonych gniewnie. Odziany był w burkę sławucką, a na głowie miał kaszkiet z lampasem.

Gdy ekwipaż karczmę mijał, Jankiel ukłonił się kilkakrotnie do samej ziemi z bardzo uprzejmym uśmiechem, a chłop z przyzwyczajenia czapkę zdjął

i odkrył głowę, pokrytą długim, gęstym, ale jak mleko białym włosem.

— Nu, patrzajta Marcinku, czy ja wam nie mówiłem? co!?! ja wam powiedziałem, co un teraz trzy grosze niewarte!

— Niby kto? — zapytał chłop, nakładając czapkę powoli.

— Niby kto! kto? wy sobie pytacie kto? ja wam dwa godziny gadałem kto! a ten sobie jeszcze pyta: kto? Jak wy tego nie możeta zmiarkować, Marcynie! a wieta wy kto tera pojechał?

— A kto?

— Un znów sze pyta! Widzielišta przecię, że sam wielemožny nasz pan sekwestrator! A czy wy miarkujeta Marcinku, gdzie un pojechał?

— Gdzie? pewnie na jarmark z temi koniami.

— Ny, ny — un tam na dworze zrobi dobrego jarmarku, całe licytację nawet!

— To bez to on tyła koni prowadzi?

— To znowu jest inna chwestya. Ten pan, to trzeba wam wiedzieć, nie ma żadne żonę, ani swoje służbę, tylko co jednego furmana, to bez to un nie może ostawić w domu swój dobytek, więc zabiera jego ze sobą — un zawsze tak jeździ, może dla tego coby jemu buło weselej, a może tak sobie dla swoje fanaberye, to jego nie bardzo drogo kosztuje. Ny, ale co nam do tego, ja wam tylko powiadam, że my możemy zrobić bardzo dobry interes!

— A jakize to ?

— Oj, żeby ja tak szczęście miał, jakie wy macie ciężkie głowę mój Marcynie, ja sobie nawet dżywuje co was sołtysem zrobili z takim głowem! a może jeszcze na wójta was wykierują!?

— Ha, jak wypadnie być — to się i będzie.

— Oj waj, będzie! a co wy będzieta z kancelaryą robili, kiedy wy nic wieta co z pieniędzmi robić? A wy macie Marcinku pieniądze, ładne pieniądze macie!

— Musi rachować żydzie moje pieniądze?

— Za co ja miałem rachować? wasza niewiastka gadała co macie z półtorej ćwierci rublów, same białe jak perły, aj, żeby ja to miał w swoim majątku! Ale co tu próżne gadanie gadać? ja wara powiadam Marcinie, co to wszystko jak widzita w koło, może być nasze, za bardzo tanie pieniądze. Kupmy do wspólki, wy dacie pieniądze zara — ja dam trochę później. To jest fajny interes! ja wara oddam wszystkie grunty, a sobie wezmę tylko trochę las, trochę młyn i trochę propinacje. Reszta będzie wasza, jakbyśta na drodze znaleźli... prawie za darmo wasze będzie! Chodźta do izby, zara wam litkup sprawię, mam taką fajną pieprzówkę, co aż oko zbieleje!

Chłop usiadł na ławce, żyd wciąż nastawał.

— Ny, co to Wy tera nie pan? nie obywatel ?

— Ja tam chłop z chłopów, gospodarski syn — odpowiedział, nie bez pewnej dumy, Marcin.

— Może wy sobie miarkujecie na nich — rzekł Jankiel, ręką na folwark wskazując — ny. a co z tego? Uni kapcany są, uni bankruty! wy może jeszcze czapkę przed niemi będzieta zdejmować? Za co? Ja tyż jestem bardzo miłosierny i mam także miękkie serce, ale jak kto kapcan, to na co jemu miłosierność? jemu miłosierność tak pasuje jak groch do ścianę! Ny, jak wy miarkujecie z tym interesem, Marcinie? Ja zawdy myślę, co my ich kupiemy.

— Albo to cłek bydlę, żeby go kupować?

— Ja wam powiem, co nie ma gorsze głupie bidło jak człowiek, co sam ze swojej garści szczęście wypicha.

Zachnął się chłop.

— Ej cicha; ty cyganie! bo jak cię zamaluję, to ci się sądny dzień przyśni.

— Co wy zrobicie zabójstwo? co to jest! gwałt! ja was do sądu zaskarżę!

— A to skarż, bestyjo — mruknął ponuro chłop i już chciał odejść, ale żyd za rękaw go chwycił.

— Za co my sobie mamy gniewać? my zawsze przyjaciele byli. Mój Marcinie, panie Marcinie! panie gospodarziu! od takie porządne i godne osobę to nie tal nawet paskudne słowo usłyszeć. Ja wam sprawiedliwie powiadam, co całe Zarzecze może nasze być!

— A oni? rzekł cicho chłop.

— Jakie uni! gdzie jest uni? ich już wcale nie ma! Czekałta, ja wam porachuję wnet na piśmie. Siła ich było wszystkich ? całe paradę sześć — no, patrzcie, ja tu piszę na ścianie sześć kresek. Raz, dwa... sześć. Widzita sześć!

— Dyc je sześć, rzetelnie.

— Pierwsza kreska to dziedzic, gdzie un jest? Jemu nie ma.

— Nieprawda, bo jc zagranicom, czy za morzem gdzieś.

— No, to idźta po niego i przyniešta go ztamtąd na plecy. Ha! ha! wieta wy gdzie un jest?

Nasze żydki gadali, co un powędrował aż za Warsiawie do samego Ameryka i co un tam u tego Ameryka za stróża jest. Ny, tera patrzta, dziedzić ferfał! mażę jedne kreskę. To już tylko pięć!

— Pięć — powtórzył chłop.

— Tera dziedziczka, to także jakby jej nie było...

— Kiej je, Bogu dzięka.

— Czekaјta, nie bądźta w takie gorące wode kąpane! Naprzód, kobieta to sze rachuje tylko za połowę człowieka, to już można pół kreski odmazać; a po drugie, powiedzcie mi, czy pół człowiek można rachować za cały człowiek? czy za pół rubla da kto całego rubla? za pół grosza czy jest cały obwarzianek? No, gadajcie, jest czy nie ma?

— Ha! juści pewnie że nie ma.

— No, to już druga kreska; a tera jest troje dzieciów, to niewarto nawet rachować. Uni pójdą do swoje familie, dostaną adukacye, będą panami! Na co im majątku? a my nie będziemy już mieli adukacye, to nam trzeba majątek! Wiec została się tylko jedna kreska. Prawdziwie to nie jest żadna osoba, tylko ten ich stary przyjaciel, co musi zawdż swój nos do każdego interesu wsadzić. Ja go tylko napisałem bez miłosierdzie, bo co un znaczy? naprzód stary jest, może zaraz zrobić ganc git gesztorben — to go nie będzie; po drugie, un ma pieniędzy, co mu do śmierci wystarczy, można mu także zmazać. A tera, patrzajta na ścianę — było ich sześć, a gdzie uni tera sa? nad kim wy

macie sobie litować? kiedy wam pokazałem na piśmie, co ich już nie ma. Chłop wziął żyda za rękę i dotykając palców jego, na których ślad od ścierania kredy pozostał, rzeki;

— Ot, widzisz bestyjo, niedowiarku, patrzaj, są tu wszrstknie co do jednego, ostali się na twoim paluchu, tak, jak niejedna chłopska chudoba na nim ostała, wszystkie tu są, wszystkie tu siedzą.

— Oj waj! trocha midło i trocha proste wode, już ręka czysta jest jak burstyn.

— Z sumienia nie odmyjesz!

— Marcinie! Marcinie! za co wy nie jesteście za księdza? wy by tak pięknie gadali do chłopów, coby uni nie byli gałgany, ani pijaki! uni by tak sobie płakali w kościele jak widry, czy jak jakie inne futrzane stworzenie, a potem zapłakane przyszli by do mnie... na gorzałkę! Ha! ha! ja nie wiedziałem, co wy takie mądre, a i co wam z tej mądrości?

Chłop milczał — oczy jego były w tej chwili zwrócone w stronę folwarku, a spojrzenie miał smutne, zażawione prawie. Żyd to spojrzenie zauważył i zdawało mu się, że je zrozumiał dokładnie. W okamgnieniu też przyszła mu do głowy inna kombinacja, przedmiot rozmowy zmienił nagle.

— Nie mata wy czasem z furkę szana na psiedaż? mnie tera bardzo szana potrzeba.

— Zkąd zaś? toć mi łońskiego lata het woda zatopiła wszystko.

— Prawda, ja zapomniałem co wy macie taki paskudny kawałek przy same wodę, co jak sucho jest to same paprochów, a jak mokrość to sam gnój!

— Ha! wola Boska, jak się urodzi, to człek zbierze, a jak nie, to se inaczej radzi jak mogący.

— Ny, tak krawiec kraje, jak materyi staje, ale tych dworskich łąków, co uni troche wyższe są, to jest cós fajny, aj waj! jakie uni mają szano! to prawdziwe cymes mit makies! panna by mogła takie szano jeść!

— Piękne siano!

— Co to piękne? To rarytne szano! na całe okoliczność takie szano szukać! tego szano wiązka to znaczy kuniowi za ćwiartkę owies mlinkowany, przez sieczkę. Mnie szc tak zdaje, co my z Saltzmanem kupimy tego łąka do wspólki... kiedy winie chceta... u niego też pieniędzy nie brakuje.

Chłop na łąkę dworską patrzył, ale nie odpowiadał. Siedział na ławie zamyślony.

Żyd niby o interesie już zapomniał, przechadzał się przed karczmą, śpiewając coś pod nosem. Nagle, jakby sobie coś przypomniał, stanął i uderzając chłopca po ramieniu, rzekł:

— Czy to prawda, Marcinie, co wy chceta stawić nowego chałupa ?

— Niby, ja to tak myślę, bo chciałem grunt dzieciom odpisać, a dwoje ich je: syn i córka. Tak w jednej chałupie siedzący, to się zięć będzie z synem wadził, a córka zaś z niewiastką. zwyczajnie

jako baby, już się przekomarzają; jeno obraza Boska...

— Ny, macie wy recht, co w chłopskie karkulacye na dwa dzieci trza dwa chałupów; to pewno, bo uni sobie kiedy zabiją we złością a dla czego jeszcze me stawiacie.? sama pora tera jest!

— Ot, tak mi zeszło jakoś — a i drzewa nie mam...

— Drzewa to bagatelka jest! ja wam przedam.

— A ty gdzie masz bór?

— Niedaleko, ztąd widać, ten właśnie co od hrabiowskiej granicy.

— Dyć to dworski, nie twój!

— Dziś to un jeszcze trochę dworski, ale już i tak jak mój — albo to długo czekać licytacyę? ja mam już na niego współnika. Znacie mu przecię, ten czarny Fajbuś, co miał dawno olejarnie, a tera sobie z lasem handluje. Chceta? to wam pokażę pieniędzy na zadatek. Ja chciałem z wami, ale jak wy nie chceta, to co ja mam robić? ja przecie nie moge dołożyć do wasze fanaberye.

Poskrobał się w głowę chłop.

— Pocekajta trochę — rzekł — moze ja się krzynkę rozmyślę.

— Aj! co mnie z wasze myślenie? wiadomo co chłopskie myślenie, a żydowskie jechanie, to jedno jest! Zara! zara! fur! fur! a w miejscu stoi. U naszych, to dwa słowa i siojn, siabas!

— A siła by to trza pieniędzy?

— Ny, co z tego, że wy mata pieniędzy: ale nim wy odwiążecie swego worek, a pocznieta sobie drapić w głowę, to drugi dziesięć razy kupi; a jak sze namysłita, to sze znowu rozmyślita i znowu zacznieta sobie co innego myśleć.

— Ha, możebym ja wreście..

— Jak sobie miarkujeta, mnie to wszystko jedno jest. Z tym spółka, z tamtym spółka! Czy ty czort, czy ty Iwan, aby ja swoje miałem.

— Zawdy jabym se chciał dokumentnie to rozkakulować.

— Karkulujta! chociaż to krótka karkulacya, aj wuj! taki łąka, taki las! to jest szafran, to cynamon jest!

— Dwa, trzy dni pocekaj.

— Ny, ja poczekam cztery dni nawet. Aj waj! Marcinie, ja zawsze mówiłem, co wy macie delikatny rozum! co wy nie dla parady niesieta swoje głowę na plecy.

— Adyc dopieroś gadał, com głupi.

— Co ja gadał? jakie gadał? ja nic nie gadał! a choćby ja nawet co gadał, to rachujcie że ja nic nie gadał! bo na co takie gadanie jest?

— No, tedy cekas?

— Co ja dla was nie zrobię, mój Marcinie?

— Ctery dni.

— Choćby nawet z psiliwkiem! wieta co u mnie miara rzetelna jest, na moje sumienie!

— Pamiętajze.

— Aj, Marcinie.! kochany Marcinku! panie Marcinie! kiedy wy taki interes zrobili, to nie ostawicie tak próżno moje izbe, nie pójdzieta z suchem gebem spać, ja dziś fundatorsłucbajra, ja sam fundator.' na moje sumienie,

— Co tam! przed niewodem ryb nie łapia.

— Kiedy uni już jest złapione te ryby! Ja wam co powiem, na co tu niewoda ? uni jest takie rybe, co ich wzięli na trutkę, uni tera już płyną z brzuchem do góry! a kto chce to ich może złapać z gołym rekiem.

— Mądry z ciebie rybak, mój Janklu.

— Ny, na co kura grzebie? ale chodźta do stancye.

— Cekaj, to jakże ta licytacya?

— Za dwa tygodnie termin jest.

— A po co tamten dziś pojechał?

— To widzita co innego, a to to co innego. Ten pan co jechał, to sobie handluje tylko z ruchomościami, bo un jest sekwestrator, a w trybunale to handlują z nieruchomoszciami. To jest bardzo piękne procedurę! Uni zapalają małych świeczków jak na szabas i wołają: kto da więcej? to ja powiadam: Jankiel Pacanower dwa kopiejki więcej! świeczka zgaśniła i już po szabasu! płacę pieniędzy i siedzę sobie na całe hypotekie, jak turecki król na kanapie.

— A to ci kumedyja!

— To nie kumedyja, to z pełnem giębem wesele! to całe hasene jest!

— A jakby na to mówiąc, dziedziec powrócił?

— Ny, to co? po pierwsze, un nie powróci, a choćby powrócił, to niech idzie szukać gdzie pies ma wątrobę!

— Tedy rzekłeś, ze cekos?

— Ny... ny...

— I bez ten eas przezemnie nic nie zrobis ?

— Zeby mnie tak wielgie frybre nie trzęsiuło, jak ja przez was tego nie zrobię.

— No, to dobrze, ale...

— Już zaczynata kręcić! Wam sze zdaje, co kot zawsze ma zęby?

— Bo pewnie ze ma.

— A jak un sze obróci z ogonem, a jeszcze jemu za łeb przytrzymają, to gdzie jego zęby? aj, Marcinku, na co to gadać? wypijta sze wódki i idźta do chałupę spać.

— Nie żądny ja dziś wódki, pójdę se pomaleńku do domu... bądźta zdrowi, Janklu.

— Ny, ny, idźta z Bogiem, my sobie jeszcze pewnie jutro będziewa oglądali.

Powoli, ciężkim krokiem poszedł chłop ku domowi. Noc zapadała wietrzna, ciemna, a na jej tle szarem zacierały się kontury chat wieśniaczych. Czasem pies szczeknął i znowu było cicho, o ile szum wiatru tej ciszy nie przerywał.

Chałupa Marcina na samym końcu wsi stała, odosobniona trochę. Naprzeciw niej był wzgórek wyniosły, na którym, pomiędzy czterema wysmu

kłemi topolami stał krzyż wysoki, poczerniały już ze starości i pochylony na bok.

W lecie dzieci i dziewczęta przynosiły tu wianki i zawieszały je na otaczających krzyż i drzewa sztachetkach, które również poczerniały, omyte z farby przez deszcze, byłyby już dawno upadły, gdyby nie kilka kołków wbitych ręką troskliwą.

Ktoby się chciał w dzień dobrze temu krzyżowi przypatrzeć, odczytałby, z trudnością wprawdzie, poczerniały, w części mchem zarosły napis, wyryty jakimś pierwotnym narzędziem:

Chłórys za nas czerpyał rany f Christe f Zmyluy sye Nad namy a u spodu na dolnej części krzyża: „, Walenty Gayda i Magdalena Gaydzina Fondatorowie, A. D. .

Ten Walenty Gajda i Magdalena Gajdzina fondatorowie, byli właśnie rodzicami Marcina Gajdy, któregośmy rozmawiającego z Jankiem przed chwilą widzieli. Siary ten chłopisko, nabożny, pełen owej prostej, chłopskiej wiary, która wedle orzeczenia Pisma góry przenosi*, powracając do domu z roboty, lub z drogi, nigdy nie ominął krzyża ojcowskiej fundacyi. I teraz zatrzymał się przed figura, ukląkł na ziemi wilgotnej, czapkę z głowy zdjął i modlił się szczerze, serdecznie, tą modlitwą gorącą, pełną westchnień i jęków, jaką tylko chłop polski modlić się potrafi.

W ponurej ciszy nocnej, słyhać było półgłosem wymawiane słowa, westchnienia głębokie i głuchy odgłos twardej, żyłastej pięści, uderzającej

z całą mocą w suchą, a wypukłą i szeroką klatkę piersiową.

Długo się modlił stary Marcin', wiatr rozrzucał siwe jego włosy, targał je", rozwiewał poły sukmany, ale stary, zatopiony W modlitwie, nie zważał na to; wciąż klęczał.

Kiedy nareszcie, opierając się jedną ręką o ziemię, wstawał z trudem, we wsi rozległo się gwałtowne ujadanie psów i słyhać było turkot kół, uderzających o kamienie.

Pan Jankiel Pacanower puszczał się w podróż. Zaraz po odejściu Marcina zaprzął do biedki łysego kasztanka, wypił kieliszek mocnej szabasówki, a przywdziawszy na siebie kilka żupanów, aby się od zimna zabezpieczyć, opuścił domowe progi...

Pojechał na noc całą, a miał też interesów co niemiara. Takie duże przedsięwzięcie wymagało wspólników, trzeba więc ich było wynaleźć zawczasu.

Kasztanek, korzystając z tego, że arendarz różnemi marzeniami zajęty, o biczu zapomniał, szedł powoli, a Jankiel kiwając się na biedce, marzył o przyszłości, która mu się przedstawiała w tym więcej jasnych barwach, że gdzie spojrzeć dokoła, było czarno, łzawo i smutno ...

Folwark w Zarzeczcu, widziany zdaleka, przypominał ruiny jakiegoś starożytnego, warownego zamczyska. Przez szeregi smukłych, wyniosłych topoli, widać było czerwone, mocno od sadzy i dymu okopcone mury. Wśród rumowisk i gruzów sterczały kominy, gdzieś jakaś belka nawpół zwęglona trzymała się jeszcze ściany uparcie. Wiatr rozwiewał popioły i roznosił je po dziedzińcu.

Przyjrząwszy się jednak bliżej, łatwo można się było przekonać, że owe ruiny i zgliszczą nie mają przeszłości odległej za sobą, ani też nic należą do ciekawych archeologicznych okazów.

To, co bujna wyobraźnia wzięść mogła za cenne szczątki jakiejś, szwedów jeszcze pamiętającej warowni, to były mury spalonej gorzelni, spichrza i pięknych, pół z kamienia, pół z cegły murowanych, stodół.

Były to bardzo prozaiczne resztki, które miały jednak swą krótką, ale efektów dramatycznych pełną historię. Spłonęły, rozwały się i padły w

gruzy, tak jak wiele im podobnych w tym czasie. Boć gdzie drwa rąbia, tam wióry lecą, a siekiera, która wonczas uderzała, ciężką była — echo jej uderzeń brzmiało długo, długo — ba! może jeszcze nawet nie przebrzmiało zupełnie...

Nie ostały się mury twarde. Żagiew pożarna . dotknęła je kilkakrotnie swym pocałunkiem górą

cym — wiec rozpadły się też od niego. Z całego folwarku pozostał tylko mały, na uboczu stojący dworek, niski, drewniany, ukryty do połowy w pełnym starych grabów ogrodzie. Dużo już burz nad tym domkiem przebiegło, on jednak ostał się wśród nich i ocalał i dziś w niskich swych ścianach przytula i ogrzewa zmartwioną, osierociałą prawie, rodzinę. Smutno w nim. Nie słyhać rozmowy głośniejszej, ni śmiechu, umilkł nawet wesoły szczebiot dzieci i ogień na kominku nie trzaska tak jak niegdyś, i kwiatki w oknach nie kwitną. Zanedbane, zakurzone, powieszają smutnie blade listki, i zdają się oczekiwać śmierci. Ręka, która podlewała je i pielęgnowała niedawno, dziś, machinalnie prawie, podnosi się do czoła i przyciska je nerwowo, jak gdyby tym sposobem mogła powstrzymać natłok ciężkich myśli, zebrać je, uporządkować choć trochę. A tych myśli ciśnie się tak wiele, a wszystkie takie ciężkie, rozpaczliwe, jedna nad drugą czarniejsze i taki chaos tworzą one, że nawet błądny promyk nadziei, te; jedynej nieraz pocieszycielki w zwątpieniu, nie może się przez nie przedostać.

W pokoju panuje głęboka cisza, którą przerywa tylko suchy, miarowy odgłos zegarowego wahadła.

Przy biurku, na którym leży mnóstwo porozrzucanych papierów, siedzi młoda jeszcze kobieta. Znać, że ją ciężka troska przygniała, bo wśród wło

sów jak węgiel czarnych, przewijają się gdzie niegdzie srebrne nitki siwizny; twarz jest matowoblada, drobne usta nie mają już barwy purpurowej. Kontury pięknego profilu zaostrzyły się nieco, ramiona utraciły zaokrąglenie dawniejsze, a ręce zeszczipłały, jakby wyschłe, opadły na kolana bezwładnie.

Znać, że głęboki jakiś żal, tęsknota, a i rozpacz może, złamały i zgnębiły tę piękną niegdyś, tak rwącą się do życia, postać. Cóż dziwnego .? Wszak, zdaje się tak niedawno temu, weszła do tego dworku, opierając się na ramieniu ukochanego człowieka... Pełna życia i wdzięków, z ogniem miłości w czarnych źrenicach, z uśmiechem i piosnką na ustach, wchodziła pod tę strzechę nizka, promieniejąca szczęściem, jak słoneczny poranek blaskami. Weszła tam i rozwinęła się, wypiękniała jeszcze, jak roża gdy z delikatnych osłonek pączka się wychyli i całe bogactwo barwnych płateczków rozwinte. A później, kiedy się już Janek maleńki sam do niej przyczołgał, gdy pieszczotliwie szczebiotać do niej zaczął, to zdawało się jej, że Bóg całą skarbnicę szczęścia przed nią otworzył i najdroższe klejnoty czerpać z niej pozwolił.

Ileż blasków widziała w oczach pacholecia i dwóch małych dziewczynek, które później przybyły! Jak bezpieczną i spokojną czuła się przy boku męża, który tyle miłości i szacunku miał dla niej... Dziś, gdy się zaduma nad przeszłością, gdy cofnie się myślą w upłynione chwile, to zdaje się jej że śniła.

Zdaje się jej że to był sen rozkoszny, marzenie... rozwiane dziś zupełnie. Czasy ciężkie nastąpiły, burza wypadków, ze wszystkimi jej następstwami fatalnymi przeciągnęła nad krajem, nad wioską, nad owym cichym dworkiem, w którym tylc chwil szczęśliwych przebyła.

Każdy dzień przynosił nową troskę, nowe zmartwienie. Piękne oczy łzami zaszyły... a łzy te były krwawe. Westchnienia rozsadzały piersi... Kiedy zaś burza już przeszła i ustała, gdy echa ostatnich gromów umilkły, ona ujrzała się samą i osieroconą. Świat, do niedawna tak piękny, pełen tylu powabów, dziś zdaje się jej pustym zupełnie; przyszłość zaś, przyszłość tak ponętna i pełna nadziei, dziś podobną jest do jakiejś niezgłębionej otchłani, w której czarną paszczę ona nawet spojrzeć nie śmie...

Ten człowiek, na którego ramieniu oparta, zamierzała przejść przez całe życie spokojnie, dziś, za granicami kraju, tuła się wśród obcych, nie wiedząc, czy kiedykolwiek do ukochanej i do dzieci powróci... Tak pospiesznie, tak nagle wyjechał, nie pożegnał jej nawet, nie uścisnął serdecznie.

Dopiero dwa listy były od niego, dwa listy urywane, krótkie, w których ona przeczuwała coś tajemniczego, niedopowiedzianego może... Donosił, że mu dobrze w Szwajcaryi, że znalazł pracę wśród obcych, że ze swym losem się godzi, ale w tych słowach czuć było łzy tłumione.

Majątek, chociaż nie przywiązywała do niego wielkiej wartości, dotychczas jednak aż nadto dostatecznie zabezpieczał byt rodziny; dziś całe to piękne Zarzecze cóż warto? Folwark w gruzach, annotari zniszczony, podatki zaległy, długi wymagalne, połowa gruntów w odłogu, a ziemia za bezcen! Kredytu, wsparcia, pomocy, szukać próżno. Ręki nikt nic poda, nie pomoże, nie podźwignie z upadku. Jak kruki nad trupem, spekulanci krążą nad własnością i resztkami jej dzielić się pragną. Okoliczności, czas, zmiany i przewroty społeczne składają się w związek fatalny, przeciw któremu ma stanąć do walki — kto? ta samotna i słaba. Toć i niedziw, że w takich warunkach rumieńce uciekają z twarzy, ręce załamują się kurczowo, a oczy łzami zachodzą. Są jednakże chwile, w których żywszy blask w tych smutnych źrenicach zaświeci, a boleśnie zaciśnięte usta rozchylają się w przelotnym uśmiechu. To bywa wtenczas, gdy z sąsiedniego pokoju doleci gwar dziatwy; wówczas to radość matki pokonywa chwilowo smutek żony i milknąć mu każe. Poznajmy wszakże tych młodych obywateli, stanowiących dumę i radość swej matki. Są to bardzo mali jeszcze ludzie, ale ze wszech miar godni uwagi. Matka utrzymuje, że nie zna równie miłych dzieci i ma słuszność, bo nie wyobraża sobie nawet, żeby mogły być miłsze czyjekolwiek. Któż ośmieli się zaprzeczyć tej prawdzie?

Przedewszystkiem, najstarszy Janek, to już osoba! Niezadługo ubierze się w mundur. Nie będzie to wprawdzie uniform generalski, lecz paradny strój pierwszoklasisty! Granatowe kepi z nieporównanym wdziękiem leżeć będzie na jego gęstej czuprynie. Janek dobrze się uczy — potrosze może już rozumieć swe położenie. Sam pisał list do ojca, a matce przyrzekł, że jak dorośnie, to wszystko poprawi. Weźmie rodziców i siostry do siebie, w pałacach trzymać ich będzie. Czytał przecież Robinsona, który był w gorszeni położeniu, a jednak nie zginął, i wie z historyi, który król powiedział chłopczykowi: disce puer — więc będzie się uczył gorliwie i dobrze. Często całuje matkę po rękach i prosi żeby nie płakała — jakże więc takiego chłopca nie kochać?

Helenka jest to wielka sensatka, prawi lalkom nauki moralne i utrzymuje je we wzorowym porządku. Zaczyna już czytać i bardzo lubi książki z obrazkami. Wprawdzie ma dopiero sześć lat skończonych, ale postanowiła już sobie, że nigdy za mąż nie pójdzie, gdyż ma zamiar ożenić się... z mamusią! Zrobi to niezawodnie, skoro tylko urośnie — i nie pozwoli żeby Janek wziął kiedy matkę do siebie.

Matka należy do niej i ona też nie odda jej nikomu. Helenka pamięta i dziś o niej, znalazła na stole kilka łokci nici i za pomocą szydełka ma zamiar zrobić z nich ogromną i ciepłą chustkę dla mamy. Udało jej się zadzierzgnąć kilka oczek,

jest więc pewną, że dalsza robota pójdzie jak z płatką.

Będzie z tej Helenki wielka pracownica i wzorowa gospodyni. Czteroletnia Władzia nie objawia jeszcze żadnych, bardziej określonych, predylekcji. Kocha wprowadzić matkę, ale z równą radością wyciąga ręce do rumianych jabłek i słodkich pierników. Panna to, niedorośła jeszcze, ale lubiąca się stroić i bawić. Toalety balowe sporządza z gazet starych i gałganków, a w braku odpowiedniego tancerza puszcza się chętnie w płasy z tłustym, białym kotem, trzymając go za przednie łapy . Niedelikatny ten kawaler'już ją nawet kilka razy zadrapał, ale panna prędko otarła łezki i na złość kotowi wzięła do tańca pieska, który był daleko grzeczniejszy i widocznie lepiej wychowany, bo nigdy Władzi nie ukąsił.

Tak więc, te trzy młode istotki stanowiły jedyną pociechę i radość opuszczonej kobiety.

Teraz myśląc o przyszłości, jaką im trzeba będzie zapewnić, oparła głowę na rękę i zapadła w tak głęboką zadumę, że nie słyszała skrzypnięcia drzwi i nie zauważyła nawet, że ktoś wszedł do pokoju.

Dopiero gdy przybyły kaszlnął głośno, widocznie chcąc się zaanonsować w ten sposób, odwróciła głowę i z pewnym zadziwieniem w głosie zawołała :

— Ach! pan Fulgenty!

— Tak jest, pani dobrodziejko. Pati Fulgenty, w swojej własnej osobie... ten sam. Gdzie go nie posieją tam wschodzi, dokąd nie wołają tam idzie, częściej przynosi złe niż dobre, najczęściej nie przynosi nic — zwyczajnie jak stary dziwak i zrzęda. Pani dobrodziejka pozwoli, że ucałuję jej rączkę, co, o ile mi wiadomo, dotychczas zabronioncm jeszcze nie jest.

Z temi słowy ujął podaną sobie reke, przycisnął ją do ust z szacunkiem — i chwilę na nią popatrzył.

— Szczuplejemy! pani dobrodziejko — ciągnął dalej — niedziw, jest to teraz taka epidemia podobno... Niegdyś, gdym przebywał za granicą, powiedział mi jeden poeta, że kiedy ciało szczupleje, duch się wzmacnia — i naodwrot, gdy ciało tyje, duch słabnie. Jest w tem więcej prawdy, aniżeli w życiu naszym szczęścia, ale... ja tu pani dobrodziejko, nie w interesie poezyi przyszedłem.

— Czy się znowu co stało ?

— Ba! cóżby takiego? Zwyczajne rzeczy. Dług stał się pozwem, pozew sprawą, sprawa wyrokiem, wyrok nakazem, nakaz egzekucją... toć to tak pro

ta geneza, że ją lada woźny zrozumie.

— Jeszcze więc jakaś sprawa?

— Stare dzieje! pani dobrodziejko, stare dzieje! owilem... ale mnie nic słuchano. Popelnialiśmy grzeszki, teraz mamy czyścić, w którym... w którym, oby na długie lata przebywać nam nie przyszło.

— Któż temu winien, mój panie?

— Co tam o tem!... jam nie winien, bom gadał; pani dobrodziejka winna jeszcze mniej. Janek, Helenka i Władzia chyba już najmniej, a jednak im to podobno najbardziej pokutować przyjdzie... Smutno, pani dobrodziejko, bardzo smutno, ale bądź co bądź, żeby jeszcze trzysta razy smutniej było, trzeba się obejrzeć jakoś nareszcie i w sytuacji rozpatrzeć.

— Ja właśnie pragnęłam...

— Pani dobrodziejko, pojmuję to pragnienie, chociaż obawiam się, aby ono żółcią zaspokojonem nie zostało.

— Panie Fulgenty!

— Ba! panie Fulgenty! a i cóż ten pan Fulgenty poradzi ?

— Określ pan przynajmniej jasno położenie, przecież jesteś takim naszym starym przyjacielem.

— Co tu określać — w domu sekwestrator...

— Czy już zrobił zajęcie?

— Hm, dotychczas nie jeszcze, ale jak skończy śniadanie, to kto wie ? Sztuka to twarda — ale to jeszcze najmniejszy ambaras, poważniejsze niebezpieczeństwa nam grożą.

Westchnęła ciężko pani. Fulgenty prawił wciąż dalej.

— Subhastacya, wywłaszczenie, proszę pani kochanej, mnóstwo interesów prywatnych, a w dodatku... wiadomo pani, że to wiosna.

— I cóż ztąd ?

— A cóż? orać! bronować! siać! pani dobrodziejko, tylko kwestya — czem? co? i za co?

— Wobec grożącego nam wywłaszczenia, wobec tego, że zmuszeni będziemy opuścić te nasze śmiecie stare, mamyż się o siew kłopotać?

— Ba! wobec... wobec! Sądzisz pani zatem, że każda groźba się spełnia, że już nas tak odrazu wyrzucą z Zarzecza?

— Ja nie mam nadziei — a i któż ją dzisiaj nuć może? Wszystko stracone

— stoimy nad przepaścią, nad grobem, w którym wszelkie złudzenia raz już zagrzebać należy. Któż dziś sądzi inaczej ? kto ma odmienne zdanie?

— Kto? hm... a może jest jeszcze ktoś taki.?

— Nie sądzę...

— Pani dobrodziejko, jest także Fulgent) Dyrdejko! — rzekł, kłaniając się, stary.

— Pan?

— Dziwne to pani ? a jednak tak jest. Ten stary dziwak, mizantrop, ten żmujdzin zawzięty i uparty jak muł, ten, co jak powiadaliście nieraz, zawsze był puszczykiem złowrogim, ten powiada, że dopóki oczów święta ziemia nie przysypie, nie godzi się tracić nadziei. Nadzieja! pani dobrodziejko, nadzieja!

— Zkądże ją czerpiesz, panie Fulgenty?

— Nie sekret, z siebie samego.

— Szczęśliwy.!

— Powiedz pani raczej, że doświadczeńszy, że stary... Nie pasiono mnie cukierkami, gryzło

się chleb twardy, a nieraz piło łyżę gorzkie. Tłukł się Dyrdejko po świecie. A kiedy młodzi na gorącym ręce parzyli, on już także i na zimne dmuchał. Nie lubią mnie. wiem o tem, jestem mrukliwy dziwak, sknera. co sobie na fajkę tytoniu żałuje... ale ja was kochani jak ojciec, pani dobrodziejko, jak ojciec.

W oczach młodej kobiety znać było zdziwienie.

— Jak pani patrzy pytająco... i nie dziwie się temu, bo ja nigdy o swoich uczuciach mówić nic lubię i dziś nie gadałbym także, ale musiałem... obowiązek nakazywał.

— Obowiązek?

— Właśnie że obowiązek! a ponieważ niewolno mi was nigdy opuścić, więc chciałbym wytłómaczyć powód, dla którego narzucam się pani. Przystąpię więc wprost do rzeczy. Czy pamięta pani noc siódmego stycznia?

Wstrząsnęła się nerwowo.

— Mogłażbym zapomnieć: — szepnęła zcicha.

— Szatański czas był takż. Wichura straszna, deszcz, a ciemno choć oczy wykol. Karol był przebrany za chłopą, odprowadzałem go przez las. Trudno było rozmawiać, bo szumiało szkaradnie, a gdzie drzewa rzadsze, to deszcz siekł po twarzy, jak biczem. Milczeliśmy oba. W lesie, ale może tak z pięć wiorst od domu, czekał na Karola chłop z wózkiem. Znasz go pani przecię — stary Gajda. Nie było czasu na czułości, bo każda chwila zna

czyła wiele. Karol uściskał rai rękę i powiedział: — Dyrdejko, tyś dobry człowiek, bądź dla nich ojcem — ja liczę na ciebie! — a jam odrzekł tylko: — Licz, jak na żmujdzina! Pani dobrodziejko, na żmujdzina! To święte słowo, to przysięga! no — i ot cała historia.

— Panie Fulgente!

— Słowo się rzekło... dziś, chcesz pani, czy nie Chcesz, a stary Dyrdejko twój i twoich dzieci opiekun. Dyrdejko tu rządca, ekonom, parobek nawet w razie potrzeby, bom się wam w służbę zaprzysiągł !

Biała rączka wyciągnęła się ku niemu.

— Dziękować chcesz pani? a za cóż? jeszcze nic nic zrobiłem, później może, jak odchodzić będę, dobre słowo dacie.

— Jakto odchodzić ? przecież obiecałeś nie opuszczać nas, panie Fulgenty.

— A jakże, nie opuszczę, nie, tylko widzi pani, jak już wam lżej będzie nieco, za jakie parę lat może, to mnie wypadnie na świętą Żmujdz pojechać.

— Do swoich ?

— Ja nie mam już swoich — pomarii, tylko potrzeba tam powoła mnie koniecznie.

— Potrzeba ? jakaż to ?

— Chciałoby się umrzeć w Dziundziszkach... Tu machnął stary ręką, szybko łzę otarł i wnet twarz jego przybrała dawny, nieco sarkastyczny wyraz.

— Wybacz pani — rzekł — rozczuliłem się jak dzieciak, szkaradna to wada, z której nawet czas nie może uleczyć... no, ale przypomniałem sobie Karola... Dziundziszki, ot i głupstwo się stało.

Kobieta miała oczy pełne łez.

— Oh! i pani takż ? nic pora, nie pora na to dziś. Łza zasłania źrenicę, a my jasno i dobrze widzieć potrzebujemy. Z cyframi do czynienia mieć, obliczać się, rachować pani dobrodziejko, jak żydzi, bo bez tego zginiemy. Długo trwała rozmowa pani Karolowej ze żmujdzinem — rozpatrywano się w sytuacji, badano środki ratunku, lecz niestety! położenie rozpaczliwe było... a ratunek trudny niezmiernie.

Późno już wieczorem, Dyrdejko z plikiem papierów i rachunków udał się do oficyny, w której pokoik zajmował, a pani zajrzawszy do pokoju dzieci, ucałowawszy je śpiące, zamknęła się w gabinecie meza.

I w oficynie i w dworku długo światła nie gasły, bo sen nic bywa
towarzyszem troski, a nieszczęśliwym skapo użycza swych darów.
III.

Przez drogę, wiodącą ze wsi ku folwarkowi, ciężkim ale pewnym i
równym krokiem szedł Mar

cin. Rogatą czapkę nasadził na czoło, w rękę sękaty kij trzymał, a poły od
sukmany za pas pozatykał, żeby mu lżej iść było.

Przyszedłszy na folwark, zatrzymał się trochę. Spojrzał raz na dworek, to
na oficynkę znowu, jakby się namyślał, czy tu, czy tam wejść.

Pomyślawszy chwilę, ku oficynie się zwrócił.

Postał chwilę przed drzwiami, buty błota otarł na progu i za klamkę
poruszył. Drzwi otwarte były. wszedł więc i schylając się nisko ku ziemi,
powiedział: Pochwalony. Dyrdejko za stołem siedział i pisał.

Zobaczywszy wchodzącego chłopą, odłożył pióro.

— A Marcin! jak się masz stary, co powiesz ? Chłop zwyczajem swoim
po głowie skrobać
się zaczął.

— Niby ja to — mówił — potrzeby wielkiej nie miałem, jeno tak...

— Chciałeś się dowiedzieć, co słyhać? zobaczyć, jak tu żyjemy?

— A juści...

— ?le, ile, mój bracie, a kto wie, czy gorzej jeszcze nie będzie?

— I musi, panie, że będzie, bo się zydy skaradnie kręcą, tak teraz po
wsiach latają, że im się jeno łby na biedkach trzęsą.

— Latają, powiadasz?

— A juści, wielemozny panie i to nie przez racyi oni się tak kręcą wsedy, a juz nabardziej kicie nas.

— Spodziewają się czegoś...

— Bo i pewnie... o licytację coś gadali... Nie dokończył chłop, czapkę miał w reku, z nogi na nogę przestępował, widocznie chciał coś powiedzieć, lecz nie śmiał.

Dyrdejko spojrział mu bystro w oczy. Wstał, zhliżył się do niego, a ująwszy za klapę od sukmany, rzekł:

— Słuchajno, Marcinie, tyś tu takż bez kozery nie przyszedł, mów więc śmiało, co chcesz? sami tu przecież jesteśmy.

— Dyc to prawda, panie, chciałem ja se wymiarkować tu jedne karkulację i długom myślał, czy do wielemoznego pana tu przyjść — czyli do samej dziczicki ?

— No — i przyszedłeś do mnie ?

— A juści — bo to je taka stuka, co nie kobieckiej głowy do niej potrzeba. Kwarda rzec i markotna! jesce by się pani zalamentowała — i tyło!

— I jakaż to sztuka? nie straszno stary, tylko gadaj.

— Tedy zydy gadały, co mają Zarzeczce kupić, het ze wsyćkiem jak je — i nawet mnie namawiały, żebym z niemi do współki był. Mądre oni som, panic! zara las het wytną, a ziemię wezmą zadarmo, a potem do miemców pojedą i na kolenije folwark puszą...

— I cóż? przystałeś Marcinie do współki? Zaczerwienił się chłop.

— Wielemozny panie! bez co mnie pan tak. bešta ?

— Cóż to za besztanie? interes, korzystny nawet...

— Niech je ta marność z takim jenteresem — jo nie cygan!

— Więc nie chciałeś?

— Powiedziałem żydóm ze się namyślę — no i przysedłem do pana. Dyć grosowiny troche mam, a i jensze gospodarze nie przez grosa, a co z nim robić? Juści wiadomo, ze ziemia nalepsa, ale i dziedzicki skoda, zeby się miała z dzieciarni gdzie tułać po świecie... Wedle tego ja tu jestem, wielemozny panie.

Dyrdejko się zamyślił i długo nie odpowiada!; — chłop tymczasem do kieszeni sięgnął, tabakierkę z kory brzozonej z niej wyjął i zażywał powoli, jakby dając czas tamtemu do namysłu.

Przez chwilę trwało milczenie; Dyrdejko pierwszy głos zabrał.

— Poczciwy jesteś, stary! — rzekł z uczuciem.

— Chłop... — odpowiedział Gajda — ni taki, ni siaki, jeno chłop prosty... nicyjej zguby nic pragnący.

— Jakże więc?

— A tak, wielcmozny panie. Folwarcysko wielgie je; gdzie tera, przez pańsyczny. takiej kobyle poredzi ? Na tyli stuk gruntu, tyła łakowi toć to skaradnej forsy trzeba, a zkad ją weźmieta? Więc ja se tak pomiarkowałem: Mają zydy kupo

wać, las zmisczyć, a resztę miemconi przchandlować, to możeby lepiej nase gospodarze co wzięły...

— Kupić chcecie ?

— A niby... Widzi wielmożny pan te łąki, co het za Zastawieni, gdzie pan będzie tyle sztuk drogi po siana posyłał? albo całe to pole za lasem? Nim parobek ze sochą tam dojdzie, to i południe będzie, a nam toby dycht pasowało. Niech se wielmożny pan pomiarkuje, bo mnie się zdaje, co ja sprawiedliwie gadom...

Dyrdejko zamyślił się i szybko po stancyi chodzić zaczął.

— Masz ty rację, Marcinie — rzekł — ale niech ci się nie zdaje, że to tak łatwo zrobić.

— Bez co nie łatwo? panie.

— Form dużo, prawnych form, segregacyj, pomiarów, różnych rzeczy.

Nie będę ci tłumaczył, bo się na tem nie znasz, ale powiadam ci, że to rok, dwa lata przejdzie, nim się to uregulować może, a tymczasem ...

— Miarkuje fa panie, tymczasem zydy...

— No tak, tak, mój Marcinie.

— Wielemozny panie, to bajki! ja tak se karkuluje po chłopsku. Papierów my orać nie będziewa, jeno grunt, a jak nam pan on grunt wydzieli zebyśwa orać mogli, to my, choć dziś, zara pieniędzy przyniesiewa, a papiery niech by ta i później. Omentra tez moze potem odmierzyć. Sprawiedliwie powiadom, wielemozny panie, co państwu

po tych kawałkach? a sprzedawsy, możeby się trochę połatało.

— Prawda, ale przecież bez dziedziczki tego nie zrobię; toć to nie obwarzanek za grosz sprzedać! Bądź co bądź, dziękuję ci Marcinie, żeś z tem przyszedł, i miło mi jest że myślałeś o nas — dziś jeszcze z panią pomówię i mam nadzieję, że się zgodzimy. Nawet, wiesz co, pójdź ty do niej sam pierwej.

— A no, jak pójść to się i pójdzie, ale jesce chciałem się pana o coś zapytać.

— O cóż to ?

— Cy... jakiego pisma nie było?

— Od niego?

— A juści, jak on tam sierota na świecie se redzi ?

— Było pismo, ale niewesołe, biedę klepie, o swoich pamięta, a i ciebie Marcinie, kazał pozdrowić.

— Bóg mu zapłać! prawdziwie bo dobre panisko było, niech go tam Najświętsza Paniienka poCI esy i przy prowadzi szczęśliwie. On się, wielmożny panie, nie będzie gniewał, jak my te kawałki pokupujemy, bo on sam, choć niby i dziedzic, zawdy powiadał, że to tyło próżna mitrega dla dworu. Pójdę ja, panie, do dziedzicki, co będzie, to będzie! a jeśli jej się spodoba, to ja zara z chłopami pogadam i po obrzędku tu do wielmożnego pana przyjdziwa. Ja tak miarkuję, że, choć na to mó

wiaćy — i między nami zdybie się jenszy kręciel, to przecie i taki za kupą pójdzie ...

Poszedł Marcin do pani. Dyrdejko sam w stacyjce pozostał.

Przypatrzmy się temu źmujdzinowi. Była to oryginalna figura. Jle Jat życia mógł liczyć, tego z powierzchowności jego niktby nie odgadł.

Wyglądał na pięćdziesiąt, a miał siedmdziesiąt co najmniej. Nizki, krępy, o szerokich ramionach, z twarzą czerstwą jeszcze, ruszał się żwawo, gestykulował z ogniem.

Twarz jego miała wyraz sarkastyczny. Z pod krzaczastych, gęstych i najeżonych brwi, błyszczały oczy nieokreślonego koloru, pełne ognia. Czy był blondynem, czy brunetem niegdyś, któż mógł zgadnąć? Nad czołem jego piętrzyła się czupryna gęsta, twarda jak szczotka, barwy niby szpakowatej, niby płowej, jakby przykurzonej nieco. Kości policzkowe wystające miał, nos niewielki, wąsy przystrzyżone krótko. Ręce suche, żyłaste, znamionowały niepospolitą siłę fizyczną.

Ubierał się oryginalnie, gdyż garderoba, skompletowana jeszcze przed trzydziestu laty, wystarczała mu aż dotąd.

Znaleźć w niej było można i frak cynamonowy z guzikami żółtymi i jakieś rajtroki przedpotopowego kroju i kołnierzyki, co z mantynowej chustki jak dwa rogi sterczały. Te kostjumy wszakże przywdziewał Dyrdejko tylko w uroczystych życia

godzinach, na codzien bowiem nosił długa z chłopskiego sukna bekieszę, szamerowaną suto.

Pokoik, który zajmował, był bardzo ubogo umeblowany. Proste łóżko, skórą łosiową przykryte, skórzana na niem poduszka, nad łóżkiem mata słomiana, krucyfiks i wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, do której stary Dyrdejko szczególne miał nabożeństwo. Pod obrazem wisiał gruby, staroświecki zegarek, który ongi, dawno już jeszcze, ś. p. dziadek Fulgentego kupił w Gdańsku i jako klejnot rodzinny wnukom przekazał. Oprócz łóżka, znajdowało się w stancyjce krzesła drewnianych kilka, stół staroświecki dębowy, papierami założony, szafka i ciężka skrzynka okuta, do podłogi przymocowana śrubami.

W tym pokoiku bielonym, niewykwintnym, już Dyrdejko blisko dwadzieścia lat przepędził. Co wyrwało go ze Żmujdzi Świętej, jak ją nazywał? jaka go siła przyniosła z rodzinnych Dziundzisek tu, na szerokie mazurskie płaszczyzny? długoby opowiadać trzeba. Epopeja to cała. Syn niebardzo zamożnych rodziców, od małego czuł pociąg do świata, do książki, do szerszego życia. Należał on właśnie do tej garstki ludzi, co ukochawszy ideał jakiś całą potęgę młodej, a zdrowej i silnej natury, mc płyną za prądem, lecz nadstawiają pierś własną, sądząc, że ona jest opoką, o którą się bystra fala roztrąci. Był to jeden z tych Syzyfów cichych a nieznanym, co chcieli głazy przez wulkan wyrwane, na dawne miejsce podźwignąć, a rzeki roz

drobnione i wpół wyschłe, wepchnąć w dawne, wspaniałe łożyska. Ileż ten biedny Syzyf guzów oberwał! ile razy spadający głaz staczał go razem z sobą ku przepaści! ale nie rachował tego twardy żmujdzin, nie pozował na bohatera, skromny był zawsze a i mówić o sobie nic lubił.

Tułał się, włóczył po całej Europie, ba, i dalej nawet! wszystkimi prawie językami mówił, a czy się mową Goethego czy Danta odezwał, zawsze zachowywał ten przeciągły, śpiewny akcent, którego się niegdyś, w Dziundziszkacli jeszcze, od matki nauczył.

Za granicą poznał się Dyrdejko z panem Piotrem Ostojkim, ojcem Karola, poznał się, a przechodząc z nim razem dole i niedole, pokochał go szczerze. Po powrocie do kraju raz tylko pan Fulgente w rodzinne strony zajrzał, lecz nie popasał tam długo. Jeszcze bardziej smutny, bardziej milczący powrócił i na stałe w Zarzeczu przy panu Piotrze osiadł.

Rządcą tam był, pracował gorliwie, od świtu do nocy był na nogach, a bez jego rady pan Piotr żadnego ważniejszego interesu nie przedsięwziął.

Po śmierci Piotra, Dyrdejko przy młodym dziedzicu pozostał, a tak się wszyscy do niego przyzwyczaili, że uważali go poniekąd za członka rodziny.

Do Dziundziszek stan dziwak wybierał się umrzeć, ale mieszkać i żyć w rodzinnej wiosce nic chciał, zanadto bowiem zraniono mu tam serce.

Boć i Dyrdejko kochał. Wyjeżdżając z kraju, pozostawił w sąsiedztwie piękną, modrooką Jadzię, sentymentalną blondynkę, o powlóczystem wejrzeniu, rozmarzona zawsze, zapatrzona w gwiazdy. Odjechał z miłością w sercu, z przysięgą wierności na ustach i sądził, że i Jadzia czekać będzie na niego.

Niestety! zakochany biedak tak długo był nieobecny w Dziundziszkach, że Jadzia zdążyła przez ten czas wyjść za pana Kiełpsza, zostać matką sześciorga cherubinków i dojść do wcale okazałej tuszy.

Kiedy po powrocie wyciągnęła do niego na przywitanie pulchną rączkę, sądził Dyrdejko, że serce mu pęknie. W pamięci stanęły mu żywo obrazy minione, cała wiosna młodości, w której, na tle zieleni i kwiecica, rysowała się sylwetka smukłej, modroukiej Jadzi, Miłości już od niej żądać nie miał prawa, ale mniemał, że jak żebrakowi jałmużnę, rzuci mu jakieś słówko usprawiedliwienia, że się tłumaczyć będzie.

Ale gdzieżtam! Pani uśmiechnęła się tylko, gdy jej Dyrdejko o miłości wspomniał, i rzekła:

— Karamuszki dziecinne! faramuszki! kochany panie Fulgenty, ot, lepiej u nas na kołduny dziś zostań.

A gościnnie Kiełpsz dodał:

— Zostań, brateńku, zostań, kiedyś dobry — toż ty u Niemców ludzkiego pożywienia nie widział, a u mojej Jadzieńki kołduny, jakich w całym powiecie nie znajdziesz!!

Został na kołdunach Dyrdejko, ale już od tej pory kobiet unikał jak ognia i za wietrzne je uważał istoty. Pożegnał łzawem wejrzeniem Dziundziszki i Żmujdz swoją Świętą, westchnął ciężko, potem ręką machnął, jakby pragnąc wyrazić tym gestem, że już abdykował ze szczęścia — i powlókł się na mazury, do przyjaciela, któremu serce swe i prace ofiarował. Cenne to były ofiary, bo przyjaźń wierna, a praca sumienna i wytrwała, żelazna można powiedzieć.

Gdy Dyrdejko pana Piotra pochował, pozostał przy jego synu i był mu we wszystkim pomocą, opieką i radą.

Pomimo różnicy wieku, młody dziedzic Zarzecza lubił towarzystwo Dyrdejki. Raz tylko posprzeczali się mocno. Było to na krótko przed

chwila, w której piękna, młoda gosposia wejść miała po raz pierwszy do zarzeckiego dworku.

— Nie rób ty głupstwa! Karolku, nie waryuj takoz, bo i cóz ci po tem? To wszystko lalki... puste głowy, bez serca...

Jadzieńkę swoją miał stary na myśli.

Ostro przemówili się wtenczas. Później, gdy już piękna pani wniosła pod strzechę dworku ten błogi ład i harmonijny spokój, który roztacza w koło siebie zacna polska kobieta, Dyrdejko trzymał się zdaleka, dziczył się jeszcze. We dworze tyle go tylko widziano co na obiad, a kiedy czasem goście byli, to się bólem głowy wymawiał i do

swojej stancyjki uciekał, chyba że partyjkę preferansa znalazł, a przy niej o Bożym świecie zapominał zwykle.

Dzieci dopiero rozbroiły żmujdzina. Pozwalał im na kolana siadać, za wasy targać, a szczebiot tych młodych, niewinnych istotek, w żrenicach których mieścił się błękit niebios i czystość duszy anielska, rozrzewniał go prawie.

Gdy pieścił się z niemi, marsowata twarz jego nabierała dziwnie łagodnego, kobiecego prawie wyrazu. W oczach, ponurych zwykle, znać było rozrzewnienie; usta, do których przyrósł niemal wyraz wiekuistego sarkazmu, składały się do dobrotliwego uśmiechu. Dyrdejko usiłował nawet szczebiotać, wymawiać wyrazy pieszczotliwie, po dziecinnemu.

Nieraz też, nabawiwszy się z dzieciakami, mówił do pana Karola:

— No, Karolku, braciszku, głupstwo takoz zrobiłeś, to prawda; ale te błazenki wasze to rozkosz! takie to kochanieńkie, durnieńkie maleństwo!

pilniejszemi uporał się długami i podatki opłacił; to też propozycji starego Gajdy bardzo przychodziła mu w porę.

Byłby się chłopu na szyję rzucił, gdy jego słowa usłyszał, ale umiał zapanować nawiąsoba. żeby nagłym objawem radości interesu nie popsuć. Zimnego i obojętnego udawał, a jednak gdy się słońce ku zachodowi już miało, niecierpliwie wyglądał przez okno, czekając zapowiedzianego przyjścia gromady. Od pani Karolowej, która na dwa

lata przedtem została tytułarną właścicielką majątku, upoważnienie łatwo otrzymał — mógł więc zupełnie swobodnie działać.

Kiedy już zmrok szarawy zapadał, na dróżce ode wsi wiodącej, ukazali się upragnieni goście. Ciągnęli po wąskiej ścieżce sznurem, jak żurawie, a na ich czele kroczył Marcin Gajda, którego długie, białe włosy, wymykały się z pod czarnej, kształtem wronie gniazdo przypominającej, czapki baraniej.

Niebawem stacyjka pana Fulgentego była pełną. Gorąco i duszno się w niej zrobiło, gwar panował. Perorował stan Gajda, odpowiada! mu Dyrdejko, a reszta naradzała się półgłosem, czyniąc szmer podobny do brzęczenia pszczoł w ulu.

Dyrdejko wielką mapę na stole rozłożył, a dwadzieścia głów ciekawych pochyliło się nad nią, śledząc ruchy ołówka, którym pan Fulgenty krajał pole za lasem i łąkę na Zastawiu. ową łąkę piękną, która słusznie mogła być szczytem marzeń dla włościan zarzeckich, mających sianożęcia niskie i zalewane prawie corocznie.

Kto zna naszych włościan, zwłaszcza przy układach i interesach pieniężnych, nic zadziwi się wcale, iż Dyrdejko z siebie kapotę zrzucił i

czoło fularową chustką ocierał. Wymyślał on musiał tysiączne kombinacji, tłumaczyć, perswadować, krzyknąć nawet, udawać, że układ całkiem zrywa. Jan nie chciał brać kawałka łąki nad brzegiem. Maćkowi

dostawało się trochę krzaków, na półku Onufrego duże dwa kamienie leżały, Michałowi znowuż przy drodze działek wypadał ... Ładu dojść z nimi nie było sposobu!

Ale i stary Gajda nie próżnował. Wyczęstował wszystkę tabakę z tabakiery, uderzał kumów i swatów w dłonie, że im aż puchły, aż nareszcie doprowadził do zgody.

Dobrze już po północy było, gdy na krótkim kontrakcie przez Dyrdejkę spisany, chłopci znaki krzyża kłaść zaczęli, poczem każdy woreczek z za sukmany dobywał, odwracał się i liczył z trudnością, powoli, pilnie każdy papierek przeglądając.

Rozweseliły się twarze, gwarno się w stancjce zrobiło, Dyrdejko targu solennie dobijał, każdego w dłoń uderzał, szczęśliwych urodzajów i zbiorów pomyślnych życzył i nawzajem też życzenia odbierał. Poczem z szalki duży gąsior wydobył, wódki się z niego napił i chłopów częstował. Dla większej ważności kupna w oczach tych ludzi prostych, poszedł Dyrdejko do dworu i panią Karolową poprosił. Czuwała ona jeszcze i czekała na rezultat układów. Nie do snu jej było. Przewracała machinalnie karty jakiejś książki, lecz myśl jej błędziła daleko, a czarne, załzawione oczy, nie widziały ani liter, ani kart książki. One usiłowały przedrzeć się przez mgłę oddalenia i niepewności i pobiedz w obce strony, za myślą, za tęsknotą do ukochanego męża.

Gdy pan Fulgenty drzwi otworzył, wstrząsnęła się nerwowo jakby przestraszona i zwróciła ku niemu spojrzenie wół pytające, wół trwożne.

Z twarzy jednak starego nie można było nic odgadnąć. Był zimny, spokojny, jak zwykle.

— Trzeba — rzekł — żeby pani poszła do nich takoz, podziękować chcą...

— Więc skończone?

— Zaledwie.

W milczeniu wyciągnęła reke, którą zmujdzin szczerze w swej żylastej dłoni uścisnęła. Zarzuciła chustkę na ramiona i do oficyny poszła.

Chłopi skłonili się nisko i dziękowali za sprzedaż. Ona życzyła im pomyślnej pracy na nowonabytych fortunach i zbiorów świętnych.

Po chwili Marcin, który w gromadzie słusznie poniekąd za prowodyra i kierownika był uważanw rzekł że już północkowe kury pieją i że do domu czas. Z ukłonami i życzeniami, chłopi zaczęli pokoik Dyrdejki opuszczać. Marcin odprowadzi! panią ai na próg dworku, a potem, za gromadą ku wsi podążył.

Fakt zgromadzenia się chłopów na dworze, w celu nabycia gruntów, wywołał wrażenie niemałe, W całej wsi, oprócz dzieci, nikt nie spa! i w każdej chacie migotało światło. Baby oczekiwały na mężów, aby się dowiedzieć o rezultacie układów. Dziewuchy, którym uśmiechała się nadzieja zamążpójścia i chłopcy starsi, cieszyli się z powiększenia ewentualnej sukcesyi po rodzicach.

Najbardziej jednak zajęty, najbardziej tym nagłym zamiarem kupna gruntów dworskich zainteresowanym był, jak się zresztą łatwo domyśleć, pan Jankiel Pacanower.

Dowiedziawszy się, że chłopci nad wieczorem mają iść do dworu, już od południa biegał po wsi jak szalony, chłopów odmawiał, kobiety przeciw nim buntowały, żeby nie pozwoliły na kupno. Nie udały się wszakże zabiegi, bo wpływ starego Gajdy był większy, a sam interes zbyt korzystny, żeby chłopci mogli tak łatwo od niego odstąpić.

Nie dziw więc, że był imćpan Jankiel w fatalnym humorze, tem więcej, że i kontrakt dzierżawy propinacyi w Zarzeczu za parę miesięcy ekspiował. Z kim innym możnaby na to poradzić, dać dzierżawę za kilka lat z góry i zostać przy karczmie — ale z Dyrdejka wogóle sprawa była trudna...

Widział więc żyd wielkie prawdopodobieństwo konieczności opuszczenia Zarzecza, po którym tyle sobie obiecywał! Wszakże miał niezadługo zostać właścicielem tego folwarku, już poczynił nawet odpowiednie kroki, miał współników na las, na młyn, ba! nawet o dzierżawcach ogrodu owocowego już pomyślał — a tu naraz widzi się strąconym ze szczytu marzeń i przez kogo? przez prostego chłopca, za którego rozum i przebiegłość złamanego szeląga dać by nie chciał.

Biegał Jankiel po wielkiej izbie szynkowej, za brodę się targał, a tak był roztargniony i myślami własnymi zajęty, że wędrownemu druciarzowi.

który wszedł do karczmy wypocząć i wódki zażądał, rzetelnie cały półkwaterek odmierzył, co mu się jeszcze od urodzenia nigdy nie zdarzyło.

Ciągle do okna przybiegał, brudną szybkę przecierał i patrzył czy nie wracają ze dworu. Łudził się nadzieją, że się układ odwlecze, a w takim razie on się postara, ażeby go zerwać, ale na to potrzeba trzy dni czasu przynajmniej.

— Trzy dni! trzy dni! — to majątek! — mówił do siebie i za brodę się targał.

Miarkując, że już około północy być musi, nie mógł dłużej nad ciekawością panować i poszedł w stronę dworu.

Akurat, w środku wsi prawie, ujrzał powracającą gromadę, na czele której szedł Gajda.

— Aj waj!! zawołał z przekąsem — musiała was dziedziczka na herbate zaprosić, kiedyśta do północkska we dworze sobie siedzieli. Macie redit, moje ludzie, coście sobie zabawili trochę, bo tam już dawno żadne goszczów nic było.

— Musi ty załujes, ześ nie był — odezwał się chłop jakiś z gromady.

— Wielgie mecyje herbata! niby to mnie pierwszyczna? żeby ja miał tyle tysięcy, wiele ja u różnego hrabstwa wypił herbate z arakiem? albo czy wy się znacie na tego! To nic do chłopskie gebe taki delikane jadło!

— Widzita go, jaki delikatny, bestyjo, jak jangielski psiocek.

— Niech un będzie jangielski, ale co wyśta tam robili we dworze}

— Kupiliśwa gruntu, łęków — i tyło ! zawołał nie bez pewnej dumy jeden chłop.

— Ny, ny, za co nie? wy tera wielgic panowie ! obuwatele! a more morajne! wy nie długo nie zechceta gnój wozić, jeno samych dobrów kupować! A kto będzie żemię orał? kto będzie snopków młócił ? kto pójdzie, za pozwoleniem, to paskudne stworzenie paszcz? kiedy wy takie wielgie obuwatele, co handlujecie z dobrami?

— Żydów se do roboty najmiewa — odparł spokojnie stary Gajda. Jankiel cierpliwość tracił.

— Tak! tak! — krzyczał — a wy będzieta za żydów!? ładne żydy z was beda! niech moje wrogi takie szczęście nie widzą! To wy, Marcinie, jesteście pierwszy machennik do tych interesów, ale pamietajta wy sobie: kto chce psa uderzyć, to kija zdybie.

— Wiadomo — ale kij ma dwa końce.

— Ny, ny, was sąd z obydwoma końcami obije i jeszcze na kryminału was wsadzi.

— Goś ty zgłupiał?

— To wy bardzo sobie zmadrowali; wy my ślita, co ja nie mam świadki, jako zrobiałem z wami współkę? Nie bójta się; moja zona stojąta przy oknie i te dwa żydy, co sobie na jarmark jechali, uni przysięgną na sumienie, co wy mieli ze mną współkę.

Roześmiał się chłop.

— To je prawda rzetelna — rzekł.

— Słuchajta, słuchajta gromada! un sam nie zapiera, powiada, że się zgodził do współkie!

— Bo juści tak. Mieliśwa kupić het cały folwark, ja miałem wziąć grunt...

— Ny, tak, ja wam mówiłem, co wy weźmieta grunt, a mnie sze ostanie trocha las, trocha młyn i trocha te kiepskie propinacye, co nic nie warto jest.

— To tez ja tak zrobiłem. Ja se z gospodarzami kupiłem krzynkę gruntu, a ty se kup cały las, cały młyn i całą" propinacją, skoro twoja wola. Broni ci kto I ?

Gromada wybuchnęła śmiechem. Jankiel splunął i klnąc półgłosem, pobiegł napowrót do karczmy.

IV.

Nadszedł koniec maja. Na liściach drzew drgały jeszcze krople przelotnego deszczu, a słońce wychyliwszy się z za chmury, która przed tchnieniem wiatru uciekła, zdawało się uśmiechać dobrotliwie do ziemi, do ludzi, i do zgliszczy zczerniałych. Na polach wznosiły się już zielone ściany żyta i pszenicy; owies i jęczmień powschodziły ła

dnie, a na łąkach miliony drobnych kwiatków wychylały główki z pośród trawy.

Na ugorach bydło się pasło, z oddalenia dochodziły odgłosy fujarek pastuszych, zlewające się w jeden harmonijny akord z śpiewem ptactwa i łagodnym szumem lisci. Była w całej pełni wiosna, ta wiosna, co

rozsypuje hojnie lilie i róże, obrzuca bukietami bzy, jaśminy i czeremchy — i wlewa w dusze stęsknione — nadzieję.

Na folwarku w Zarzeczcu bielili się świeżo obrobione belki; tracze na warsztatach drzewo tarli, a kilku gonciarzy, których z po za ogromnej sterty wiórów i strużyn ledwie co widać było, pracowało z pośpiechem. Stary żmujdy.in uwijał się wśród gromadki robotników i z domorośłym budowniczym — cieślą obliczał długość i wysokość projektowanych budynków.

Czas naglił. Na jesień już stodoły, obory, stajnie i śpichlerzyk pod dachem stanąć musiały, a tymczasem inwentarz mieścił się w skleconych naprędce barakach.

Skromne bardzo, niewykwintne budyneczki wznieść postanowiono — lecz i te, na owe ciężkie czasy kosztować miały dość drogo, i musiał pan Fulgenty dobrze głową kręcić, żeby przeznaczonego na ten cel funduszu nie przebrać.

Oszczędność konieczną była, gdyż gotówki wciąż brakło, a wydatków było mnóstwo. Indemnizacja i fundusz ze sprzedaży gruntów poszły na

spłatę nagłych wierzytelności hipotecznych, wywłaszczeniem grożących; zaś osobisty kapitalik pana Fulgentego zażegnał grozę sekwestratora i służyć miał zarazem do przeprowadzenia gruntownej, a nieuniknionej w gospodarstwie reformy.

Sypiać Dyrdejko nie mógł, tyle miał różnorodnych spraw do załatwienia, a przez ten czas głowa jego, a raczej nieokreślonej barwy czupryna, coraz bielszego nabierała koloru.

Gdy inni, w podobnym położeniu będący ziemianie, szukali ratunku w bajecznie taniej sprzedaży lasów, lub też w najbardziej uciążliwym kredycie lichwiarskim, gdy sprzedawali zboże na dwa, trzy lata naprzód, Dyrdejko przewidujący!, ostrożny, może do zbytku podejrzliwy nawet, wyrobił sobie zupełnie inny system ratunku i obrony, a mianowicie — oparł się na chłopach.

— Ratujmy życie — mówił nieraz do pani Karolowej — a później także pomyślimy o zdrowiu; trupowi lub konającemu nie pomoże już żadne lekarstwo, a osłabienie chwilowe da się nawet dobrem powietrzem usunąć.

Z wierzycielami Trzymał się ostro, żadnych ulg i prolongacyj. kosztem wysokiego procentu, zyskiwać nie chciał, a w przeprowadzeniu raz wytkniętych planów, konsekwentny był i stanowczy) uparty nawet. Plany jego były proste i wcale nie skombinowane. Według jego mniemania grunt i podstawę ratunku stanowiła robocizna. Szło mu więc o to.

aby tę robocizną mieć, a grosza gotówki na nią nie wydać, bo gotówka znowuż potrzebną była na pomnożenie liczby inwentarza, na narzędzia. Więc też z chłopami w różne kombinacji wchodził; powypuszczał im pastwiska, posprzedawał drzewo na budowlę, a wszystko na odrobek, tak, że kiedy sąsiedzi myśleli jeszcze, z kądem na dokończenie zasiewów pożyczyć pieniędzy, on już o żniwa był zupełnie spokojny. Gospodarstwo po staremu, rutynicznie prowadzi!, ale pilnie u sąsiadów wszelkie innowacje obserwował, a gdy mu robiono uwagi, że nie stara się o postęp, odpowiadał z przekąsem:

— Chleb, dobrodzieju, przedewszystkiem, chleb i kapota, a później także marcepany i fraczek!

Niektórzy śmieli się z niego, ale stary na to nie zważał — i swoje robił.

Od świtu samego już na nogach był, wszystkich robót dojrzał, pola konno objechał, często też do miasta wpadł, aby interesa załatwić, bo nie lubił się nikim wyręczać i nie dowierzał nikomu...

Wieczór nadchodził. Słońce kładło się do snu pogodne, uśmiechnięte jak dziecko; nad wodami brzęczały roje muszek drobniutkich, motyle uwijały się jeszcze nad kwiatami, korzystając z ostatnich chwil dnia. Lipy stare i klony szumiały w ogrodzie a u stóp ich pokładły się cienie długie. Wiatru nie było prawie, jakaś błoga cisza panowała w powietrzu. Bocian powrócił na gniazdo z całodziennej wyprawy i klekotał radośnie.

W ogrodowej altance siedziała pani Karolowa i szyła jakąś sukienkę dla swej faworytki najmłodszej. Janka nie było, gdyż pomagał Dyrdejce w dozorowaniu robotników; przy matce siedziała Helenka i wypracowywała jakiś nowy kostyum dla lalki, a Władzia biegała po ogrodzie i zbierała kwiatki.

Tylko proszę cz!telnika nie posądzać tej młodej osoby, że zrywała kwiaty bez celu, li tylko dla przyjemności niszczenia. Nie — ona miała nawet plan bardzo jasno określony. Usiłowała zrobić prześliczną lalkę z samych kwiatów i z jednego patyka. Ta lalka miała mieć główkę z pączka róży, korpus z samych bratków, spódniczkę z kielicha lilii ogrodowej, a kapelusz z narcyza! I byłaby z tego zrobiła się prześliczna osóbką — ale cóż? kwiaty nie chciały się trzymać patyka! Zmartwiona Władzia dała więc pokój lalce i zaczęła robić wianeczek, który miał służyć za obrożę

dla pieska, ale w trakcie roboty zmieniła projekt. Zamiast obróżki dla pieska, postanowiła zrobić bigos dla mamy i to jej się najlepiej udało. Oskubała kwiatki, zmieszała je doskonale w fartuszku i poszła poczęstować mamusię... Niegrzeczna mamusia nie chciała jednak jeść takiej doskonałej potrawy!

Pani Karolowa obejmowała dzieci spojrzeniem łagodnym, słodkim, które tylko w oczach matki dostrzedz można. Była w nim macierzyńska miłość, duma i obawa pewna o swoje skarby najdroższe. Często podnosiła wzrok od roboty i patrzyła

na córki, a wówczas na drobnych, pobladłych jej ustach, osiadał uśmiech przelotny.

Właśnie już miała robotę składać i dzieci do pokoju zabrać, gdy furtka ogrodowa skrzypnęła i w alei ukazał się Dyrdejko.

Wbrew zwyczajowi swemu szedł powoli, z głową pochyloną, jak gdyby pod brzemieniem jakiegoś ciężaru.

Zbliżył się do altanki, kapelusza uchylił i milczał czas jakiś. Nareszcie zwracając się do Helenki, rzekł:

— Weźmij ty, duszeńko, Władziunie za rączkę i do pokoju zaprowadź, tam Janek jest także... a jakiego ślicznego motyla złapał, żebyś wiedziała...

Dziewczynki motyla co prędzej pobiegły oglądać, pani zaś na starego oczy z wyrazem pytania podniosła.

Żmujdzin kapelusz miał w ręku.

— Chciałbym jedną rzecz powiedzieć — rzekł.

— Słucham, panie Fulgenty.

- Ot, widzi pani, kłopot takież...
- Czyż ich nie mamy ciągle ?
- No tak ... ale to...
- Nowy jaki ?
- Nie, nie, nie lękaj się pani, to nawet nie kłopot, tylko głupstwo małe !
- Cóż więc?
- Jechać mnie w drogę potrzeba.
- Teraz ? w tym czasie ?

- Nawet na noc, żeby na ranny pociąg do kolei się dobrać,
- Więc wyjeżdża pan koleją? ale dokąd? zkad taki powód nagły ?
- Nie odpowiada! zaraz zmujdzin, pomieszany był, sam nic wiedział, co ma mówić.
- Ot, casus! — rzekł — pilno i dla tego chciałbym pani to i owo powiedzieć, na czas nieobecności mojej...
- Więc ta nieobecność dłużej ma potrwać?
- Bóg wie — dwa... może trzy tygodnie. Kobieta powstała przelekniona.
- Na miłość Boską! panie Fulgenty, co się stało ? mów, nie oszczędzaj mnie, najgorsza wiadomość lepsza jest od niepewności. Na honor cię zaklinam, panic, mów, dokąd jedziesz?
- Za... za granicę — wyjąkał Dyrdecjko. Kobieta za głowę się chwyciła.
- Karol! Karol! krzyknęła rozpaczliwie i bezprzytomna prawie upadła na ławkę.
- Żmujdzin, który w największych kłopotach i nieszczęściach radzić sobie umiał i nigdy krwi zimne; nie tracił, wobec spazmatycznego płaczu kobiety stanął jak oszołomiony i sam nie wiedział co czynić.

Za rękę ja ujął i jękał:

— Pani... pani kochanieńka! zmiłuj się, nie mglej! No, dalibóg! cóż za dzieciństwo! nie bójże się... nie płacz!

Widząc, że perswazyje nie pomagają, zerwał się nagle i pobiegł do dworu po wodę i po sól; słyszał bowiem kiedyś, że remi środkami trzeźwią zemdlone kobiety.

Przez drogę, zasapany, mrucał: — Jezusie kochanieńki ratuj! ach te baby! te baby! także komedia z niemi!

Gdy o ile można najprędzej, zdyszany, z woda i sola powrócił, pani Karolowa płakać przestała; przyjęła wodę podaną, napiła się troche i prędko, urywanym, ale stanowczym głosem mówiła:

— Nie, nie! nie oszczędzaj mnie pan, mów prędko, cokolwiek się stało, ja muszę wiedzieć! ja powinnam wiedzieć! jestem jego żoną i matką jego dzieci, panie! ja muszę wiedzieć!

— Ja bo chciałem... bąkał Dyrdejko.

— Pan mnie chciałeś oszczędzać, dziękuje ci za to, ale woję pewność, mów co się stało ?

— Mała rzecz — chory troche...

— Może umarł!...

— Na uczciwość, pani, nie obawiaj się — żyje.

— Miałeś pan wiadomości? kiedy?

— Od niedawna... list przyszedł.

— Od niego? pokaż mi pan ten list

— Nie, pani, nie od niego, ale od jednego mego przyjaciela. No, nie rozpaczaj pani, powiem wszystko, powiem. Karol chory... ma skaleczoną rękę.

— Ale gdzie? w jakim wypadku? czy bit się z kim ? broń Boże!

— Przypadek, pani... w fabryce. Zbliżył się nieostrożnie do maszyny, reka jakoś dostała się W tryby, no — i wypadek!

— Boże! Boże! cóż to jest? same zagadki! fabryka, maszyny! ale cóż Karol miał z tem wspólnego ?

— Uspokój się pani, wszystko takoz porządkiem opowiem, tylko proszę obetrzeć oczy, proszę nie płakać, bo dalibóg i ja takoz zgłupieję do reszty przy tym lamencie...

Pani Karolowa białą, szczupłą rękę przycisnęła do piersi, jakby pragnąc uspokoić przyspieszone bicie serca. Otarła łzy i głosem suchym, w którym jednak przebijał się dźwięk rozpacz, ukrytej w pozornym, sztucznie udanym spokoju, rzekła:

— O, mów pan, proszę, słucham, patrz pan, wszal jestem już tak spokojna...

Dyrdejko z przerażeniem na tę gorzką spokojność spoglądał. Widział, że twarz, na której tak niedawno jeszcze drgał wyraz życia, w tej chwili powlokła się trupa bladością, a oczy pały dziwnym jakimś blaskiem. Ujął panią Karolowa za rękę zmużdżin.

— Pani droga — rzekł — wierz przyjacielowi staremu, straszno tu nic nie masz...

— Mów pan, mów, proszę.

— Wiesz pani, że obliczywszy nasze skromne środki, jakiemiśmy mogli po przebytych katastrofach rozporządzać, przekonaliśmy się, że przy największej oszczędności, możemy posyłać Karolowi pięćdziesiąt rubli miesięcznie zaledwie.

— I pan posyłałeś je zapewne ?

— Najregularniej — i co pani powiesz, najregularniej także odbierałem napowrót te pieniądze.

— Napowrót?

— Wszystkie, co do grosza. Leżą one u mnie jak depozyt święty, jak legat z ostatniej woli pochodzący.

— Więc nie przyjmował ich Karol? dla czego? czy pogardził naszą pomocą? czy nie potrzebował jej może ?

— Eh! pani droga! Niestety to także szkoła wyborna — daje nam nauki tak mądre, jakich żaden pedagog nie udzieli. Szkoda tylko, że te nauki czasem zapóźno przychodzą...

— Panie, my odchodzimy od przedmiotu...

— Ani na włoskę nawet, pani dobrodziejko, a pierwszy na to dowód, że Karol pieniędzy naszych nie chciał.

— Więc z czegoż żył ? na Boga!

— Z pracy, pani, z pracy, z tej ciężkiej pracy, przy której pot oczy zalewa i grzbiet także trzeszczy. Z tej pracy ...

— I pan! pan, przyjaciel jego, pozwoliłeś na to?

— Ja? jabym jemu za to był ręce całował, bom widział że dorósł, że mężczyzną stat się... człowiekiem takż nakoniec.

— Czyliż nie uważałeś go pan za takiego poprzednio ?

— At! co o tem gadać? Dzieciak był takż, pani dobrodziejko — jak drudzy — dzieciak tylko, ale posłuchaj pani. Kiedy już na obczyźnie stanął, a osamotniony cała przeszłość w myśli przebiegł, kiedy zrobił obrachunek za te lata, które przeszedł już w życiu, zobaczył nui w bilansie! Nui!, nui!, czyli zero, jak wy nazywacie!, jednym słowem nic! Ja pani powtarzam wyrazy jego listu, który, jeżeli wola, przynieść moge. To jego słowa własne.

Pani Karolowa oczy rękami zakryła, Dyrdejko zaś ciągnął dalej.

— Nie nauczono mnie, pisał, nic — ale to literalnie nic, chociaż umiałem przecież to wszystko, co każdy człowiek mojej pozycyi towarzyskiej u nas umie, a kiedym się znalazł wśród obcych, kiedy zadałem sobie to pytanie: co robić ? ujrzałem z przerażeniem, że ja nic nie umiem!

— Zkąd jemu takie myśli?

— Poczekaj pani, pamiętam ja te listy, nie zapomniałem żadnego wyrazu. Ach, mój Fulgenty, braciszku, pisał Karol, jak smutno dojść do przekonania, że się jest... piątem kołem u wozu! Nie mogłem dostrzedz tego przy łagodnem i jasnem świetle pogodnego słońca, lecz dojrzałem wyraźnie przy oślepiającym blasku błyskawic, wśród grzmotu

i ognia piorunów! Rozumiesz pani, jak. on to powiedział: wśród ognia błyskawic i piorunów!

— Ja tego nie rozumiem — szepnęła kobieta.

— Ależ pani, to jasne jak słońce! tak się budzi z uśpienia dusza zacna, serce prawe, charakter męski ! lecz, czekaj pani, jeszcze kilka słów. Tak pisał dalej: i kiedy dziś z moich oczu bielmo spadło, ty także, przyjacielu wierny, upokarzasz mnie zasiłkiem! jałmużną!

Z piersi pani Karolowej dobyło się ciężkie westchnienie.

— Mów, mów pan dalej — rzekła.

— I od kogóż mi ty braciszku, tę jałmużnę przysyłasz? czy od kobiet)! nieszczęśliwej, co sama jedna na gruzach dawnego majątku została ? Czy od dziatczek drobnych, pólsierót już prawie? Nie! nie! weź ty sobie także te pieniądze napowrót, oddaj im, a żony mojej proś, żeby Janeczka inaczej niżli mnie chowano... ot, masz pani sens listów, jakie ja miałem od niego.

— Lecz...

— Pozwól pani dokończyć, bo to już krótka historia. Dobry człowiek z niego, a ponieważ nie chciał jeść darmo sierociego chleba, a inaczej pracować nie umiał, poszedł na prostego robotnika do fabryki.

— Na robotnika! ? on ?

— Korona mu także z głowy nie spadła! ale nieszczęście się stało. Robił przy maszynie, tryby jakoś pochwyciły za rękę, no — i chory.

Kobieta zerwała się z ławki.

— Jadę tam natychmiast! — rzekła z mocą.

— Nie, pani tu zostaniesz, ja pojedę.

— Niepodobieństwo!

— Ani myśl pani inaczej.

— Któż mi może odmówić miejsca przy nim? kto mi zabroni pośpieszyć do ukochanego? do męża?

— Rozum, rozum, pani kochanieńka — i rozwaga. ,

— Ja chcę, ja muszę być przy nim! zawołała z płaczem.

— Tak, pani musisz być przy nim — a kto będzie przy dzieciach? kto im matkę przez ten czas zastąpi ? Pozostawisz że pani te sierotki kochane ?

Pani Karolowa twarz rekami zakryła, w sercu jej odbywała się walka uczucia matki z przywiązaniem żony.

Milczenie przez jakiś czas trwało — wreszcie Dyrdejko je przerwał.

— Pani kochanieńka, komu w drogę, temu czas; dla mnie już konie gotowe. Zaledwie godzina pozostała nam na porozumienie się co do interesów, które na czas nieobecności mojej w pani ręce chcę złożyć. Jutro rano będę w naszym gubernalnym mieście; znajomych tam mam, więc ceremonie paszportowe jak sądzę. nie potrważą zbyt długo, a jeżeli co nieprzewidzianego nie zaskoczy, to za trzy dni najdalej Karola zobaczę.

— Prawda, masz pan słuszność, mnie od dzieci nic sposób, choć się dusza do niego wrywa.

choć takbym pragnęła być przy nim! Zresztą, cóż ja sama, słaba kobieta, na obczyźnie, nieznająca stosunków tamtejszych, mogłabym mu

dopomóż? Spiesz więc pan, spiesz do niego, zanieś mu od nas uściśnienie serdeczne i powiedz, że może gorąca, szczerą modlitwą przywiązanej kobiety wyprosi zdrowie dla niego... o jedź, jedź już, panie Fulgenty.

— Bal jedź! jedź! nibyto pan Fulgenty złapie także tłómaczek na plecy i poleci jak fircyk — a folwark ? interesa ?

— Cóż one znaczą w porównaniu...

— Każdy drobiazg znaczy, moja pani, każdy drobiazg; ja nie wiem jak tam długo pobyc wypadnie, więc muszę pani wszystko rozpowiedzieć, co się ma robić i kiedy, kasę także pani oddam, bo majstrów płacić trzeba, a fabryki przerywać niepodobna, każdy dzień drogi teraz. Ot, sianokos niedługo, żniwa, ani się obejrzy jak snopki wozić zaczniemy, a gdzież je składać, jak stodoła nie będzie?

Widząc, że pani Karolowa niezbyt chętnie słucha, łagodniej zaczął przemawiać.

— Ja pani zaraz z miejsca depeszę przyślę i list codziennie napiszę długi, szczegółowy, żebyś pani spokojniejszą była.

— O! proszę, błagam pana o to.

— Napiszę z pewnością, napiszę szczerą prawdę, wszak wiesz pani, że kłamać, nawet w dobrym celu, nie potrafię.

— Podziękuję panu całym sercem.

— A teraz pójdźmy na chwilę do domu, przecież nie mogę odjechać, nie pożegnawszy tego kochanieńkiego maleństwa. W gospodarstwie tu, podczas mojej nieobecności, dopomoże pani stary Marcin, ja zaraz poślę

po niego i rozpowiem mu co ma się robić, to chłop uczciwy, może mu pani zaufać w zupełności.

Pani Karolowa i Dyrdejko poszli ku dworkowi przez starannie wygracowane uliczki. Ona zamyślona i milcząca, zmujdzin zaś ożywiony, mówiący... Zamaskować on chciał troskę, która ciężkiem i na jego barki spadła brzemieniem", dlatego też starał się mówić dużo, wesołego prawie udając, żeby tym sposobem dodać siły i męztwa nieszczęśliwej kobiecie. Wszedłszy do dworku, Dyrdejko ucałował dzieci, które się już do snu zabierały, zjadł naprędce kolącyę i pobiegł do swego pokoiku w oficynie. Maleńki tłómaczek podróżny przygotował, a potem papiery ze stołu zabrawszy, napowrót do dworku przyszedł.

Oddał pani Karolowej książki i rachunki, szczupły zapasik pieniędzy jej wręczył i o wszystkich interesach pilniejszych i o zamierzonych robotach szczegółowo objaśniał.

Młoda kobieta słuchała wszystkiego uważnie, ale szeroko otwarte jej oczy zachodziły łzami, a od czasu do czasu dreszcz jakiś nerwowy nią wstrząsał; starała się być spokojną, panować nad sobą.

Nareszcie przed ganek z turkotem zajechała bryczka. Dyrdejko na zegarek spojrział i szybko z krzesła się zerwał.

— Czas — zawołał — czas także już wielki, jechać trzeba.

To rzekłszy, panią Karolowa za rękę ujął i długi na tej ręce pocałunek wycisnął.

— Dobrej myśli, pani kochanieńka, odwagi — szeptał z ojcowską czułością. — Wrócę z dobrą nowiną, a kto wie? może wrócimy oba... stosunki jakie takie są... wszystkie poruszę.

— Bóg by przez twe usta przemawiał, panie Fulgenty.

— W jego mocy wszystko — rzekł żmujdzin i na ganek wyszedł. Pani Karolowa odprowadziła go do bryczki, a gdy się stary z trudnością na wysokie siedzenie gramolił, mówiła jeszcze półgłosem:

— Szczęśliwej drogi, a pamiętaj pan powtórzyć Karolowi wszystko com mówiła, wszystko mu powtórz, o dzieciach mu opowiedz, że kochają go, że nawet mała Władzia mówi o nim często. Powiedz, że ja o jego zdrowie się modłę, a nic zostawiajcie mnie bez wiadomości... wracajcie...

wracajcie obadwa!

— Paniusiu kochanieńka, napiszę... telegram zaraz przyślę... bądźcie zdrowi.

Marcin, który stał dotychczas przed gankiem i ze stangretem rozmawiał, pokłonił się nisko Dyrdejce.

— Niech ta pana Najświętsza Paniienka prowadzi i psyprowodzi sceśliwie.

— Bóg zapłać ci, stary, a o tem co mówiłem pamiętaj.

Bryczka ruszyła i niebawem zniknęła, za bramą słyhać było tylko oddalający się, a coraz cichszy jej turkot i ujadanie psów. strzegących chałup wiejskich.

Pani Karolowa załamawszy ręce, na ławce w ganku usiadła i puściła wodze łzom tłumionym tak długo. Pierś jej podnosiła się gwałtownie, ze ściśniętego bólem gardła wydobywały się łkania.

Chłop stał jeszcze przed gankiem, patrzył na ten płacz rzewny i sam oczy rękawem grubej sukmany ocierał. Widocznie pocieszać pragnął, ale przemówić nie śmiał, miał tylko czapkę w ręku i pokaszliwał, z nogi na nogę przestępując.

Nareszcie, gdy spłakana kobieta uspokajać się zdawała, odezwał się nieśmiało:

— Prose łaski pani, a dyć to je gzech tak przeciw Boskiej mocy ustygować

...

— Ach! mój Marcinie, nieszczęście takie... kaleka! nie wiesz o tem zapewne.

— Wiem, wiem, prose pani, bo mi pon rządcą powiadał, co bez niasyue...

— Nieszczęśliwy ... może rękę straci! pomyśleć o tem nie moge.

— I — prose pani, dla tego, choć i na to mówiący, przez jednej reki je kiepsko, to zawdy się jesce drugą można jako tako oganiać.

— Ależ to straszne kalectwo!

— Zawdy gorsa bieda przez oców, a przez Jedne) ręki, byle się jeno mógł cłek drugą przeżegnać a łyżkę w garści utrzymać, to żyć zawdy można. Westchnęła ciężko pani na tę smutną pociechę, a chłop mówił dalej.

— Niech się wielmożna pani nie markoci, toć i stary Oiiuler. co tu był za gajowego bez dwa roki, tez ręki nie miał, bo mu we młocarni pięść urwało, a potem mu dochtory urzneni według równości, ze mu jeno kikut się z niej ostał J dla tego jaki był jesce chłop z niego! Drugi niezguła z dwiema rękami tego nie stojał. A jak raz posed cyganów spędzać z pola, a te do niego z kijami przystąpiły, to ich tak jedną ręką i kikutem sprął gai anto, ze nie wiedziały, bez który zagon skikać! Niech się tez wielmożna pani i o nasego pana nie frasuje, bo jesce, da Bóg miłosierny, i z niego ludzie będą.

Tak stary chłop pocieszał strapioną dziedziczkę. Naturalnie, pocieszał ją jak mógł i jak umiał, a na tę scenę patrzył z góry księżyc jasny, pełny,

oblewający łagodnym światłem dworek i ogród, przeglądający się w rzece, w której falach łamały się, migotały i drżały srebrne jego promienie. Wietrzyk lekki osuszał łzy płynące po pięknej twarzy kobiety i igrał z długimi, białymi włosami chłopca, który strapiłona tak szczerze pocieszać się starał.

Księżyc oświetlał także drogę żmujdzinowi staremu, a drogą tą był gościniec piaszczysty, szeroki. Konie z trudnością ciągnęły bryczkę, podnosząc kopytami tumany kurzu — stangret drzemał na koźle. Właśnie do lasu wjeżdżano. Noc była prześliczna, w oświetleniu księżycowym drzewa wyglądały wspaniale. Sosny, jak baldachimy czarne, wznosiły się nad brzozami białymi, nad krzakami leszczyny i nad całą masą roślin drobnych, karzełków, co się stóp olbrzymów czepiają. W gęstwinie odzywał się chór słowików, a silny, donośny głos tych ptaszek szarych, potęgował się jeszcze i olbrzymiał wśród uroczystej ciszy nocnej. Zdaleka, z odległego bagna, dolatywał chór żab rechoczących; czasem sowa cichym lotem przemknęła po nad drogą; z po za lasu, ukazywały się światełka kolorowe — sygnały ze stacji kolei. Dyrdejko, żmujdzin nabożny, jak każdy z nich prawie, pacierz półgłosem szeptał, ale wrażenia dnia ubiegłego przeszkadzały mu w modlitwie, to też przerywał ją co chwila i znowu do niej wracał, a kiedy mu na myśl przyszła smutna, załamiona twarz pani Karolowej, zastanawiał się nad sercem kobiecym w ogóle, to znowuż myślą w odległą, własną przeszłość powracał... porównywał, kombinować się zdawał.. Widocznie jednak i te porównania przekonać go nie mogły, bo ostatecznie machnął ręką niechętnie i rzekł półgłosem:

— Jak ty sobie chcesz, braciszku, a zawsze kłopot z babami!!!

V.

Chociaż nad ziemią, ustrojoną w zieleń i kwiaty, jaśniało niebo pogodne; chociaż przyroda c;iała tchnęła życiem, śpiew ptasząt napelniał powietrze, a bzy kwitnące kapały się w blaskach słonecznych, pani Karolowa zdawała się tego nie widzieć. W duszy jej; smutno było i posepnie, dnie wydawały jej się szare i smutne jak na jesieni późnej, a każdy z nich włókł się i ciągnął tak długo, jak gdyby jedna godzina miesiąc trwała.

Ciągle, nieustannie prawie, czarne, zażawione oczy osamotnionej zwracały się ku oknu, pragnąc dostrzedz na drodze posłańca z przyobiecana wiadomością. W nocy, gdy tylko psy szczekać zaczęły, już była na nogach, zapalała światło i czekała... napróżno.

Tak upłynął tydzień cały, tydzień długi jak rok. Zdawało się, że przez ten czas Dyrdejko mógł już pół świata objechać, a jednak żadnej wieści, żadnego znaku życia nie dawał.

Smutna, stęskniona i niespokojna stała przy oknie, przecierając wciąż szybę i patrząc na aleję lipową, przez którą się z gościńca do folwarku wjeżdżało... gdy nagle w te właśnie aleję, nie

wjechał, lecz wpadł w całym pędzie dobrze znany w Zarzeczcu ekwipaż. Była to dwukołowa biedka Jankła. Pan Pacanower nie siedział, lecz stał w niej raczej, jedną ręką z całej siły za lejce targał, drugą zaś okładał biczem wychudzonego kasztanka, który, zniecierpliwiony że go chlebowdawca tak bez miłosierdzia ćwiczył, spuścił łeb ku ziemi i wierzgał, uderzając z całej siły kopytami w przód biedki. Była to homeryczna walka bata z kopytami, lecz że przy bacie zawsze bywa racya, więc i w tym razie kopyta ustąpiły i biedny kasztanek całym pędem, jak gdyby się na wyścigowym torze popisywał, sadził przez aleje, wpadł na dziedziniec jak szalony i zakręcił przed dwór tak nagle, że oś biedki uderzywszy o kamień, pękła, a Jankiel Pacanower w całym impecie upadł na piasek.

Po tym akcie wielkiego wysilenia, kasztanek zapomniawszy o przejściach bolesnych, z filozoficzną obojętnością zaczął gryźć trawę, nie troszcząc się o to, co się z jego gospodarzem stało.

Na szczęście, pan Jankiel, oprócz lekkiego stłuczenia, większego szwanku nie doznał. Zerwał się na równe nogi zaraz i zaczął kamlotowy swój żupan z kurzu otrzepywać, gdy ukazała się pani Karolowa, która widząc z okna owo salto mortale, przestraszona na ganek wybiegła.

— Co to jest? co wam się stało? — spytała Jankła.

— Bogu dziękować, proszę wielmożnej pani, nic... Takie kuń, niech jego moje oczy nie widzą, niech un zara zdechnie, jak ja jego sprzedam! Ja tu leciałem do wielmożnej pani jak ptak! jak zajac!

— Cóż się stało ?

— Aj waj! wielgie nowina! Pani wie, co z miasta jest dwa mile drogi z ogonem, a ten ogun, niech jemu djabli wezmą, to za drugie dwa mile znaczy — to ja nic jechałem więcej jak jedną godzinkę! Widzi wielmożna pani, aż mi się biedka złomiła i ten kuń... ten waryat... pewnie sobie ochwaci.

— Biedkę wam każę naprawić, ale mówcie co się stało ... prędzej!

— Oj! kiedy z tego giewaltu tak mi koło serca pika, co nawet gadać nie moge. Uf I to jest wielgie nowinę! to jest wielgie ścięcie!

— Zmiłuj się. człowieku, mów już raz, nie trzymaj mnie jak na rozżarzonych węglach!

— Oj, oj! jak mnie kole serca pika; czy wielmożna pani trzyma los na brunswińskie loterye ?

— Ależ nie trzymam wcale.

— To może na warsiawskie! pewnie pani trzyma ?

— Więc cóż?

— Jakto co ? teligraf do pani jest!!

— Gdzie? gdzie? pewnie z zagranicy... o Boże I dawajcież go prędzej! Żyd po kieszeniach szukać zaczął i mówił.

— Ja sobie stojałem na rynku, tymczasem sam nacielnik z teligrafu przyleciał i powiada, co jest bardzo pylne depesie do wielmożnej pani...

ny, ja zaraz jego brałem i powiedziałem, co za godzinę już un u pani będzie.

— Dawaj, dawajże tę depeszę Janklu, jak najprędzej!

Żyd jeszcze raz do kieszeni sięgnął, wreszcie przestraszony zawołał:

— Aj waj! nieszczęście!

— Co?

— Ja tego teligrafa zgubiałem !!

— Bój się Boga, człowieku! to niepodobna!

— Proszę wielmożnej pani — i ja sam tak miszlę — rzekł zatrwożony Jankiel, szukając po wszystkich kieszeniach — napróżno.

— Mój Boże, mój Boże! — wołała pani Karolowa — a czy wy wiecie, Janklu, że w tej depeszy mogło być całe moje szczęście!... ca(y los!

— Oj, waj! gwałt! cały los! a ja sobie miszlałem, co wielmożna pani ty!ko jednego czwartkę trzymała! Cały los! a gance los! to mi dopiero szczęście !

— Ależ ja o żadnej loteryi nie myślę, ja czekam depeszy od meza! może gdzie w drodze zaginęła? zmiłuj się, Janklu. przypomnij, może gdzie wstępowałaś jadąc ?

Żyd zamyślił się, nie przestając jednak po kieszeniach szukać.

— Gdzie ten teligraf się podział?... djabli jego wiedzą! nu, gdzie un się podział? to całe kimedye, żeby ja tak zdrowie miałem!

— O którejże godzinie wyjechałeś z miasta?

— Przed samym wieczorem wczoraj... jeszcze krzynekę słonko pokazywało na niebie.

— Przecież mówiłeś dopiero, że ledwie godzinę jechałeś.

— Ny, ny. ja sprawiedliwie godzinę jechałem, tylko że stojąłem trochę na drodze. Miałem wielgie niescieście! Zara za miastem ten mój kuń, niech jemu djabli wezmą, co to za kuń! jak się rozpędził z wielgiego giewałtem, to zara sobie psiewrócił i leżał na gościńcu jak bik I dopiero chłopcy z Wygnanki jechali, więc obiecałem im dać wódki, co ledwie podniesili tego waryata. Aj waj, co ja miał kramu!

— Więc może tam depesza wypadła ?

— Nie, na moje sumienie, nie, proszę pani, bo pamiętam, co ja tego teligrafa pokazywałem Fajwłowi w Zawadkach.

— Cóżście tam robili ? to przecież nie po drodze.

— Ja wielmożnej pani przyznam się całe prawdę. Ja z tego Fajwła mam współkie do gesiów, a po drugie, co ja chciałem tak krzynkę przenocować.

— Wiec nocowałeś w drodze?

— Jakie to nocowanie!? na terajsze noc, czy to człowiek nocuje? Tylko co się trochę" prześpi,

już dzień! Nawet pacierzów nie mówiałem, rano tylko brałem pice gesiów na biedkę i zara duchem pojechałem w drogę. Proszę wielmożnej pani, czy to z takim wielgim teligrafem można bałamucić w drodze? ja leciałem jak ptak! co ja gadam jak ptak! jak dwa ptaków!

— Mój Boże, mój Boże! i taką ważną, tak oczekiwaną wiadomość zgubić! to okropność!

— Niech wielmożna pani poczeka, ja jego zdybię, ja jego z pod żernie wykopię. Jak to może być, żeby ja zgubił? ja jeszcze jak moje życie, jedne dziesięć groszy nic zgubił! Ja bardzo dobrze pamiętam, że go w Woli Zarzeckiej widziałem i w Stawkach.

— Cóżście w Stawkach robili ?

— Tam było licytacja po księdzu... całkiem niewielgi interes! Tamte zidy dali mnie trocha odstępnego i zara odjechałem, tylko co kunia napoiłem i duchem leciałem do wielmożnej pani. Na moje sumienie! toć wielmożna pani widziała jak ja jechałem! mało mnie kuń nie zabił!

— Ach! cóż mi z tego, kiedy depeszy nie ma... o Janklu, Janklu! co wyście mi najlepszego zrobili ?

Niech sobie wielmożna pani nie frasufe, to nie może być! pójdę ja, poszukam w biedkę, między słomę, może ten teligraf tam wyleciał ? Z temi słowy Jankiel wybiegł przed ganek i rozpoczął ścisłą rewizję zawartości swego ekwipażu i roztrząśnionej na miejscu wypadku słomy

—

lecz pani Karolowa na rezultat tych poszukiwań nie czekała. Myśl, że może mieć tyle upragnioną wiadomość o losie ukochanego człowieka, dodawała jej siły i energii.

Na żyda nie zważała już nawet. Nietylko bowiem prawdopodobnem, ale pewnem nawet jej się zdawało, że w wędrowce, w której tyle różnorodnych interesów załatwiał, mógł łatwo zgubić depesze. Natomiast przyszła stroskanej kobiecie inna myśl. Niezawodnie na stacyi telegraficznej muszą mieć kopie depesz, a jeżeli nie, to może urzędnik, ze względu na niewielką ilość telegramów, treść przynajmniej pamięta. Pragnęła więc pani Karolów!a być w miasteczku lotem ptaka. Kazała tez konie natychmiast zaprzęgać, a sama zaczęła się z gorączkowrm pośpiechem do drogi ubierać.

Rzeczywiście toaleta nie zajęła jej więcej nad dziesięć minut czasu. Ubrana i zupełnie już do drogi gotowa, chodziła szybko po pokoju, oczekując na konie. Posyłała służące jedną za drugą do stajni, żeby spieszo, a chociaż stangret się zwijał i karbowy z Marcinem pomagali mu także, jej się zdawało, że ci ludzie zaprzęgają godzinę, że mają ręce drewniane. .. że psuje się im wszystko!

— Prędzej, prędzej! — wołała zniecierpliwiona tupiąc nóżką, a w oczach jej błyskały iskry, usta zacinały się gniewnie, kurczowo zaciskała dłonie, a nadbiegłej z pieszczotami Władzi kazała iść do swego pokoju.

Dziewczynka rozplakała się rzewnie i powiedziała, że już nigdy w życiu nie pocałuje mamusi, kiedy taka zła.

Tymczasem pan Jankiel Pacanower jeszcze za wygraną nie dawał. Przetrzęsał starannie całą zawartość swej biedki, szukał w słomie, nareszcie zaczął czynić poszukiwania koło siebie.

Pomimo że ciepło było, miał jednak kilka żupanów na sobie. Jankiel przypuszczał, że może przez rozdartą kieszeń telegram za podszewkę się dostał. Sondował więc swą długą i wwbudłą ręką tajemnicie podszewek i właśnie w chwili, gdy pani Karolowa już na bryczkę wsiadła i konie ruszyły, znalazł zgubę i krzyknął z całej mocy!

— Wiwajt! teligraf jest!. Stój! stój! już un jest! już ja mu teraz nie zgubię! Pani Karolowa w jednej chwili wyskoczyła z bryczki, wyrwała depeszę z rąk Jankla i wbiegła do swego pokoju.

Wzruszenie tamowało jej oddech...

Tak tej depeszy pragnęła, tak oczekiwała na nią, a teraz, gdy ją posiada, gdy trzyma ją w ręku. nie śmie zerwać pieczętki... nie śmie przeczytać.

Położyła ją na stoliku i drząc na całym ciele, patrzyła na nią trwożnie, jak gdyby pragnęła odgadnąć, czy ten papier szary nieszczęścia jakiego nie przynosi.

Wreszcie rękami drżącymi rozerwała depeszę. Przebiegła ją jednym rzutem oka — i w tejże chwili z okrzykiem padła na kolana przed obrazem

i głośnym wybuchnęła płaczem. Twarz ukryła w dłoniach, z piersi zaś, falującej szybko, wydobywały się przytłumione jęki i łkania.

Konwulsyjnie załamała ręce i długo, długo w tej pozycji klęczała, wznosząc od czasu do czasu oczy na obraz, na którym nie wykwiłtnym, ale natchnionym widocznie namalowana pędzlem, widniała twarz Matki Bolesnej, z oczami wzniesionymi w niebo i sercem siedmioma mieczami przebirem...

Widocznie modlitwa pokrzepiła strapioną, gdyż wstała, otarła oczy — i z ciężkiem westchnieniem, ale już spokojnie, przypatrywała się depeszy, jak gdyby z martwych liter pragnęła ułożyć obraz szczegółów tych chwil ciężkich, przez które mąż jej przechodził.

Ale depesza była małowowna, lakoniczna, w kilku wyrazach donosiła ona, że operacja się powiodła i że chory ma się dobrze. Więcej nic nad to! Operacja! a zatem ręka odjęta! Karol kaleka! marzenia jego o pracy, której się oddał tak szlachetnie i zacie, skończone!

I pocóż brał się do roboty, zakończonej tak fatalnie? Dlaczego? co go do tego zmuszało? Dyrdejko powiada, że Karol przejrzał, że w szkole nieszczęścia i niedoli myśleć się nauczył, być może... lecz czemuż przejrzenie to musiał aż krwią własną i kalectwem okupić ?

Cofnęła się myślą w przeszłość i mówiła do siebie:

— Tak dobrze zapowiadało się życie. Zdawało się, że jest samemi kwiatami usłane... Był spokojny, miłość wzajemna, dzieci takie rozkoszne, jak cherubiny z nieba zesłane. A teraz... teraz... barwy jasne zniknęły, zamiast kwiatów ciernie, oddalenie, tęsknota i kalectwo! Smutno i czarno dokoła.

I zadumała się biedna, kochająca kobieta, utonęła w myślach posepnych i byłaby Bóg wie jak długo w pokoiku, samotna, z myślami czarnymi pozostawała, gdyby nie to, że służąca oznajmić jej przyszła że Jankiel czeka i o chwilę rozmowy bardzo prosi.

Pani Karolowa ocknęła się z zadumy, otarła oczy, poprawiła suknię na sobie i kazała żyda do pierwszego pokoju poprosić, dokąd też sama miała przyjść niebawem.

Jankiel wszedł i jarmułkę na głowie poprawił, twarz czerwoną chustką obtarł i przyjscia pani oczekiwał.

Nie bez planu przybył on tutaj — i depezę nie bez planu wioził. Kontrakt na karcznię za parę tygodni upływał, a on odnowić go pragnął, gdyż nie chciał Zarzecza opuszczać. Postanowił też z nieobecności Dyrdejki korzystać i z samą panią układ zawrzeć; — kontent był nawet, że żmujdzina w domu nie było, gdyż stary w interesach twardy był jak kamień i najmniej skłonny do ustępstw,

a już bezwarunkowo głuchy na wszelkie obietnice i pochlebstwa, któremi zazwyczaj sprytni żydkowie robią co chcą z dobroduszną szlachtą. Nieobecność Dyrdejki tedy była bardzo Jankłowi na rękę — i bądź co bądź, postanowił sobie te korzystną dla siebie chwile wyzyskać. Przybrał też minę bardzo układną, grzeczną a pokorną i przybycia pani oczekiwał.

Niedługo na siebie dała czekać. Weszła do pokoju, bledsza jeszcze niż zwykle, ale poważna, spokojna, a w oczach jej nie było już nawet śladu łez, których tak wiele wylała przed chwilą. Boleść w sercu własnem zamknęła i nie chciała jej pokazywać nikomu.

Jankiel zobaczywszy wchodzącą, niemal do samej ziemi się skłonił i przepasza!, że tyle niepotrzebnego kłopotu zgubieniem owej depeszy narobił.

— Na te nasze kochane prepmacye — mówił — to nawet człowiek nie ma na kawałek porządne kapotę! same dżurów i łatów — i bez to się ten teligraf zapodział, proszę wielmożnej pani.

— ?le wam idzie ? spytała.

— Ot, nic wiem sam jak mam wielmożnej pani powiedzieć, terajszy czas bardzo kiepskie jest, a te propinacye zarzeckie to ni tak, ni owak, jak to powiadają, co ani pachnie, ani, za pozwoleniem, szmierdzi... tyle co jeno człowiek żyje z dzieczami.

— Cóż? nie martwcie się, bo zdaje mi się, że już od świętego Jana kończy się wasz kłopot...

— Właśnie, ja wedle tego chciałem się z wielmożną panią rozmówić.

— Na co? źle wam tu... traciecie.

— Ny, to prawda jest, co ja tracę, bo te chłopy to nie długo harbate zaczną pić... bardzo mało co okowita odchodzi; tylko, jak to powiadają ludzie, co i kamień na jedne miejsce sobie obrośnie, to ja chciałem prosić wielmożne pani według prolongacye...

— Na stratę?

— Ny, niech moje wrogi to mają, co ja u państwa straciłem!... tylko zawdy człowiek sobie miszli, że co w jednego roku stracił, to w drugiego odbije; a po drugie izba jest... ogrodu kawałek, to choć sze urodzi jaka kwarta grochu dla dzicczów...

Pani milczała, żyd dalej ciągnął.

— Proszę wielmożnej pani, my nie pójdziemy do wójta. .. jabym nawet, choć na moje stratę, krzynke postąpił — dałbym na jakie dwa lata z góry... bo państwu pieniędzy potrzeba...

— Mamy dość, z łaski Boga.

— Aj ! co to doszcz? czy to można mieć za dużo pieniądzom ? to tylko, niech Bóg zabroni, słaboszcy może być za dużo, a pieniądzów nigdy nie jest doszcz! Zgódźmy sze, niech wielmożna pani na tego samego kontraktu swoje godne brnie podpisze !

— W każdym razie odpowiedzi stanowczej dać wam nie moge, mój Janklu, bo wszystkie

interesa załatwia pan rządca, czekajcie zatem, on zapewne niedługo powróci.

— Co pan rządca! pan rządca.! albo un jest, przez urazy, wielmożnej pani matka, co przez niego nawet jeden goździk we szcianie wbić nie można? Ja nawet wielmożnej pani mogę pod sekretem powiedzieć, co un tyż ma swoje szpikulacye, un grubijan jest! un na pani krzywdę interesów prowadzi.

— Co do tego, to już pozwólcie mi Janklu, mieć swoje własne zdanie.

— Ny, ny, niech i tak będzie — a z młynem to un niby ładny interes zrobił?

— Cóż takiego?

— Toć wielmożna pani wie dobrze. Bez piętnaście lat siedział Berek, płacił regularnie jak bank! jeszcze wygodził wielmożnemu panu czasem, ale pan rządca tera puścił młyn Michałowi.

— Bo dwa razy tyle płaci i spokój z nim jest, skarg żadnych, procesów nie ma.

— Żeby jemu tylko nie przytrafiło się jakie nieścieście...

— A cóż mu się może przytrafić?

— Ny, ja nie wiem, ale w drugich miejscach, co takie nowotne młynarze brali arendę po żydkach, to się różnie trafiło... ny, na co daleko szukać, w Stawkach młyn się spalił, a przy żydku dwadzieścia lat stał!

— Nie obawiam się o to, nasz młyn ubezpieczony.

— Niech Bóg zabroni, żeby un sze miał palić — ale bywa zdarzenie. Pani dobrodżyka wie, co czasem jak Pan Bóg dopuści to i z kija wypuści, a jak kto pruszy ogień, to sze musi zrobić dymu... różnie sze trafi na tym świecie.

— Być to może, jednak ja sama z wami układu kończyć nie moge. Przyjedzie pan Dyrdejko, to będzie sam wiedział co robić.

— Proszę wielmożnej pani, co un może wiedzieć ? un to tylko wie, że chciałby wsistkie zidy zapędzić do sochę, albo do karczunku w lesie, a handlowałyby tylko z chłopami ! Un wie! co un wie ten stary! Un dobrze nic nic wie, a pani wielmożna to jego sze słucha, jak kogo dobrego! Rozśmiała się pani Karolowa.

— Cóż dziwnego? — rzekła. — Kobieta jestem, sama, więc muszę kogoś słuchać.

— A za co sze pani mnie nie słucha?

— Czy także jak matki ?

— Jak bardzo ziczące osobę... przecie ja dla wielmożnej pani małym życie nie stracił, tak z tego teligrafa leciałem...

— Ach, prawda, macie racyę, mój Janklu, pójdźcie też zaraz do Marcina, niech wam da pół korca owsa dla konia,

— A prepinacye?

— To już poczekajcie, pan rządca niedługo przyjedzie... ja się w to nie wdaję.

Jankiel zły, że mu się interesu zrobić nie udało, wyszedł, kłaniając się nisko, lecz jeszcze za

wygrane nie dawał; postanowił użyć wszelkich środków, lecz potrzebował namyśleć się dobrze, skombinować wszystkie okoliczności. Biedkę złamaną na dziedzińcu zostawił, a sam na kasztanka wsiadłszy, powoli ku karczmie pojechał.

Wieczór już nadchodził, słońce ku zachodowi się zniżało. Czas był piękny, wietrzyk chłodził powietrze. Pani Karolowa pragnęła orzeźwić się trochę. Zdawało jej się, że szum drzew, wonny zapach łąk uspokajająco oddziałają na nią. Chciała być samą, zebrać myśli, po doznanych wrażeniach smutnych odetchnąć, a kto wie? może też w samotności zapłakać, może wypowiedać się z trosk swoich i cierpień przed krzyżem przydrożnym... przed gruszką samotną na miedzy.

Szła ku łąkom, ku rzece, po lekkiej pochyłości wzgórza, przez ścieżkę wydeptaną wśród pola. Z jednej i z drugiej strony ścieżki wznosiły się zielone ściany żyta, a po za tem polem otwierał się widok na rozległe, barwne sianozęcia, na których już niedługo kosy zabrzączyć miały.

Na polu owem, na łące, każdy krzak, każde drzewko, dobrze znane jej było. Ileż to razy przechodziła wtedy szczęśliwa, kochająca i kochana, wsparta na ramieniu męża, który jej pola i zbiory spodziewane pokazywał. Siadali nieraz oboje nad samym brzegiem rzeki, słuchali plusku jej fal modrych, albo też zrywali maliny nad brzegiem rosnące.

Przeszły te chwile, skryły się jak jasne słońce za chmury, a pytanie, czy kiedy jeszcze przyjdzie wiatr pomyślny i czy te chmury ołowiane rozpędzi?

Smutno, smutno,..

Słońce zapadało za las. W krzakach nadbrzeżnych świergotały jeszcze ptaszki, sadowiając się już do snu na gałązkach, bociany dążyły do gniazd. Jeden z nich tylko nie spieszył z powrotem. Podlatywał, znów siadał, później się zrywał do lotu i zataczał w powietrzu kręgi szerokie, nareszcie usiadł na zeschłej gałęzi topoli i długo, długo klekotał.

Był to biedny samotnik bez pary. Silniejsi odbili mu towarzyszkę życia, więc też tułał się sam bez gniazda, pocieszając się zapewne nadzieją, że może gdzieś za górami, za wodami... towarzyszkę swoją odnajdzie.

VI.

Żniwa były w całej pełni. Na polach pracowali ludzie, a stary Marcin uwijał się między niemi.

Swojem gospodarstwem nie zajmował się już, gdyż oddał je dzieciom, I nawet, na czas nieobecności Dyrdejki, z chałupy się wyniósł i w folwarku w stodole sypiał, żeby być bliżej dworu, nad którym obecnie rozciągał opiekę.

Co prawda, dumnym był potroszę z roli jaką odgrywał — i powierzone sobie obowiązki spełniał sumiennie. Z ludźmi kłopotu wielkiego nic miał, gdyż we wsi wszyscy go za najstarszego uważali i słuchali jak ojca, to też robotnika nie brakło mu nigdy i żniwa odbywały się bardzo szybko i pomyślnie. Nowe stodoły nie mogły całkowitego zbioru pomieścić, więc ustawił Marcin dwie sterty pokaźne na polu, aby zdaleka widziane świadczyły, że w Zarzeczu źle nie jest i — chleba nic zabraknie.

Janek biegał po polach i o ile mu czas wolny od lekcyj pozwalał, ciągle Marcinowi towarzyszył, a gdy na bliższych polach żęto, to i Helenka z małą Władzią przybiegały do robotników.

Marcin zjednął sobie szczególną sympatyę Władzi. Raz przyniósł jej małego zajączka, którego w zbożu złapano, to znowuż kwiatków jej narwał; to jak był na łąkach, z sitowia ładny koszyczek jej upłół, skutkiem czego tak się dalece wkradł w łaski dziewczynki, że zapowiedziała, iż się z nim ożeni.

Chłop protestował, tłumacząc się, że stary już, że babę swoją ma, ale to jednak nic nie po . mogło. Władzia rozplakała się i nie uspokoiła prędzej, aż mamusia przyrzekła, że jej sute wesele z Marcinem wyprawi... jak się kartofle wykopią.

Dni upływały jednostajnie i w Zarzeczcu nic się nie zmieniło, prócz tego, że dobry nasz znajomy, pan Jankiel Pacanower karczmę opuścił i do

miasteczka się wyniósł, a na jego miejsce zainstalował się rzeźnik z pobliskiego miasteczka, który przed pół rokiem jeszcze kontrakt z Dyrdejką zawarł. Ten nowy propinator sklepik mały przy karczmie założył i jakoś nieźle mu się działo, a że był człowiek spokojny, kościoła w niedziele nigdy nie opuścił, więc też i ludzie we wsi polubili go nawet i kontenci byli z tej zmiany.

Pan Jankiel wyniósł się do miasteczka; w kupnie zboża pośredniczył, małe dostawy na siebie brał, lecz chociaż wiodło mu się nieźle, na losy wciąż narzekał i przeklinał złych ludzi , którzy go usunęli z Zarzeczca.

Do pani Karolowej przychodziły listy. Stary zmujdzin rzetelnie przyrzeczenie spełniał i co kilka dni, ciężką, niebardzo do pióra nawykłą ręką, relacye o zdrowiu Karola podawał, przyrzekając, że za powrotem najbardziej szczegółowo i detalicznie o wszystkim opowie. Taką obietnicą kończył zazwyczaj list każdy, nie zaniedbując przytem

skreślenia szczegółowej instrukcyi — co robić w folwarku, gdy pogoda będzie — co, gdy się na dłuższy deszcz zaniesie. Informował też o szczegółach wykończenia budowli, o odrobkach od włościan należnych, jednym słowem, chociaż z oddalenia, starał się całym gospodarstwem kierować.

Pani te instrukcyje Marcinowi odczytywała, chłop je spełniał sumiennie i zapewniał, że jak pan rządca powróci, nic w gospodarstwie do zganienia nie znajdzie, przeciwnie, kontent być powinien,

gdyż pogoda dopisywała staie, zbierało się pomyślnie, a ludzi do roboty nie brakło, chociaż się w sąsiedztwie powszechnie na brak uskarżano. Obawa o zdrowie Karola mijała. Donosił Dyrdejko że ręka się goi i że do pewnego stopnia brak jej da się sztuczną zastąpić; donosił, że ogólny stan zdrowia jest dobry, że Karol pogodził się z losem, który takie zesłał na niego kalectwo — i że zajmuje się już planami zatrudnienia swego na przyszłość.

O powrocie Karola jakoś nie wspominał złujdzin, przeciwnie, wnioskować było można, że to najdroższe marzenie opuszczonej kobiety nie spełni się jeszcze tak rychło.

sPani nasza kochanieńka — pisał stary — nie poznałabyś swego Karolka, jaki poważny z niego człowiek! jaki sensat! Po całych dniach my tu takż z sobą gadamy o pani, o tych dureńkach małych, co teraz pewnie ciągle w polu przesiadują,

Zarzeczu, no i pani dobrodziejko, o tysiącach takich Zarzeczów jak nasze, opuszczonych dzisiaj, rozkawałkowanych, rozbitych. Co z nich w przyszłości będzie, o tem my z Karolkiem po całych dniach gadamy i

godzimy się na jedno, że to się odrodzi jeszcze, wzmocni, odmłodnieje także — ale, jeżeli umiejętnie pracować będzie. O Janku my radzili, co ja gadam o Janku, o tysiącach Janków! jak ich wychować, żeby ludzie z nich byli. Pokutniki to małeńkie, droga pani, za grzechy ojców i dziadków, którzy im także twardy los zgotowali...

No, toż trzeba ich też inaczej wychowywać, praktyczniej do życia sposobić. Gadaliśmy, gadali, pani kochanieńka, aż nieraz w gardle zaschło i gęba zaboląła, a obaśmy na jedno się godzili. Opowiem ja to wszystko za powrotem dokładnie, bo do wypisania się ja nie majster, a i Karolek także od pisania odrywa, a o was ciągle się pyta. Da Bóg, gdy powrócę niedługo, to dowiesz się pani, co Karol dalej zamierza. Do fabryki już nie wróci, bo nic może — a beczynnienie także siedzieć nic będzie, chleba darmo przyjąć nie chce. Obmyśliliśmy plany, ale jeszcze uprzedzać ich nie chce, cóż bo także ryby przed niewodem łapać?... powrót mój niedługo nastąpi, a z nim i relacja też będzie. Tymczasem cierpliwości, pani kochanieńka, spokoju — a jak bardzo żałośnie na duszy będzie, jak zateśkniesz pani ciężko, to weźmij które małeństwo na ręce, popatrzaj jemu w oczki... a wnet także i siła się znajdzie ...

Kilkakrotnie odczytywała pani Karolowa ten list i niejedna łza gorąca spadła z jej oczu na papier szary, na grube, niezgrabne litery.

Z gorączkową niecierpliwością oczekiwała zapowiedzianego powrotu Dyrdejki i łudziła się do ostatniej chwili nadzieją, że może... może. obok niego, ujrzy jeszcze kogoś, komu z okrzykiem radości na szyję się rzuci... kogo powitać tak gorąco, tak serdecznie pragnie.

Noc już była późna, stary zegar gdał miarowo, a jego wskazówki już się ku dwunastej zbli

iały. Wioska, folwark i cała okolica tonęła w ciemności i ciszy. tylko gałęzie drzew, poruszane tchnieniem wiatru szumiały, a od czasu do czasu pies we wsi szczeknął.

Pani Karolowa nie spała jeszcze. Czuwała ona wsparłszy głowę na dłoniach. Dokąd biegły jej myśli? domyśleć się łatwo. Błądziły one daleko, daleko od Zarzecza, od ziemi rodzinnej, na skrzydłach miłości przebywały przestrzenie, spieszyły tam, dokąd głos serca je wzywał. Wśród ciszy nocnej nagle rozległ się dźwięk metaliczny, donośny i powtórzył się echem w lesie pobliskim.

Zdawało się pani Karolowej, że to sygnał trąbki pocztowej...

Z okrzykiem, który mimowolnie wydarł się z jej piersi, rzuciła się do okna, otworzyła je na oścież, i rozszerzonymi źrenicami oczu usiłowała przeniknąć ciemność nocy.

Dwóch, czy tylko jeden? zapytywała trwożnie, a serce jej uderzało przyspieszonym tętnem, rumieńce na twarz wybiegły.

Dwóch, czy tylko jeden?

Nie, nie! dwóch będzie, wszak Bóg dobry, On wysłucha tylu modlitw gorących, tylu łez, tylu westchnień! Dwóch będzie z pewnością!

Już ich tylko co nie widać, ale czemuż jadą tak powoli? Głos trąbki rozlega się tak wyraźnie, tak donośnie przecię, muszą więc być tuż za wsią... ale nie, to złudzenie... może dopiero wyjechali

z lasu, a głos tak aie wyraźnie rozlega po rosie... Nie! to niepodobna! tak długo, tak okropnie długo... ai ten pocztylion nieznośny, zamiast popędzać konie, wytrębuje jakiegoś krakowiaka, jak gdyby się chciał popisać muzykalnym talentem!

Tak myśląc, wychyliła się przez okno otwarte, bardziej, coraz bardziej wyteżala wzrok, usiłowała usłyszeć turkot kół,

I Marcin, śpiący w stodole, dźwięk trąbki pocztowej usłyszał i zmiarkował zaraz, że to nikt inny nie jedzie, tylko rządca. Po oddalonych, chociaż wyraźnych dźwiękach poznał, że dość daleko jeszcze musi być ekwipaż, to też nie spiesząc, powoli bramę otworzyć poszedł, a otworzywszy ją, na kamieniu usiadł i pacierz mówił półgłosem.

Tymczasem trąbka odzywała się coraz bliżej, słyhać było jak koła zadudniły po moście i niebawem lekka bryczka pocztowa wpadła na dziedziniec.

Na bryczce siedział Dyrdejko... sam jeden. Pani Karolowa o nic go już pytać nie śmiała, stary obie jej ręce pochwycił i pocałunkami pokrywał — i zaraz oboje do pokoju weszli.

Służąca zaspana, przecierając oczy fartuchem, krzątała się, nakrywając do stołu. Dyrdejko w dużym krześle usiadł i milczał czas jakiś.

— Jak dzieci? — zapytał po chwili.

— Dobrze, zdrowe — wyrzekła — to jedno co pociesza w nieszczęściu.

— I za to Bogu dziękować — ucałować je kazał ojciec, małe upominki im przysłał, zawsze także o nich myśli.

— Czy zobaczą go kiedy — te sieroty ? zapytała nieśmiało.

— Cierpliwości pani i mężstwa... teraz nic myśleć o tem. ale jest nadzieja... czas przyjdzie.

— Czy nie zwodzisz mnie, panie?

— Nie — rzekł głosem stanowczym. Spójrzała mu w oczy, wiedząc że kłamać nie

umie. Stary wytrzymał to spojrzenie i rzekł.!

— Niedługo może.

Pani Karolowa dopiero teraz spostrzegła, że przez czas tej podróży Dyrdejko zmienił się jakoś, twarz jego przeciągnęła się t pobladła, kości policzkowe wystawały więcej niż dawniej, a oczy zapadły.

— Czy pan nie chory? — zapytała trwożnie.

— Zkąd znowu? Ot, tylko po tych różnych psich drogach zmęczyłem się trochę, odpocząćb y się chciało... kości stare już także, to je i lada głupstwo sforsuje. Bagatelka! w pole pójdę to i zdrowie znajdę. I wnet na inny przedmiot rozmowę zwrócił, o gospodarstwo i wszystkie szczegóły dopytywać się zaczął, chwalił jedno, zrzedził na drugie, o wydatki się pytał, każdy szczegół odrazu chciał zbadać.

Dopiero gdy się pożywił cokolwiek, gdy już ze stołu sprzątnięto i służąca oddaliła się z pokoju, zniżył głos trochę i rzekł:

— A wie pani kochanieńka, że Karolek nasz już ze Szwajcaryi wyjechał.
— I gdzież jest? — spytała z niepokojem.
— Do Belgii jego takż zawiozłem, tam osiadł i zapomogę od nas przyjmować będzie. Ciężar to na folwarczek, ale powróci się z czasem.
— Co też pan mówisz?! Choćby mi przyszło zadłużyć się, majątek sprzedać, w służbę pójść! jesczebym nie pomyślała że to ciężar — to obowiązek mój przecież!
— A zawsze ideały, zawsze poświęcenia! zawsze serce!...
— Czyż może być inaczej ?
— Ideały, pani kochanieńka, ideały! a to takż zguba nasza była. Poświęcić się, to tak jak orzech zgryźć! Poświęcić się! i siebie panie dobrodzieju zgubić i kogo nie poratować. Folwark sprzedać, pieniądze przejeść, w służbę pójść, a potem takż... łapkę lizać!
— Ależ to obowiązek mój najświętszy.
— Faramuszki, pani dobrodziejko, faramuszki, serce częstokroć nas gubi.
— I pan to śmiesz mówić? pan, który nam dałeś tyle dowodów dobrego serca, nam, ludziom obcym prawie.
— Proszę pani, cóż tam ja? to znowu insza kategoria, kury do indyków nie należą ...
— Więc nie powstawaj pan na poświęcenie, skoro się sam poświęcałeś dla drugich.

— Nie w tem rzecz, pani kochanieńka, nie w tem rzecz. Nie rozumiemy się; pomódz a pomódz to dyferencya duia, a i nasz KaroJek poświęcenia nie żąda. To z sercem człowiek, on jałmużny nie przyjmie.

— Jałmużny? spytała z wyrzutem.

— Paniusiu kochanieńka, nie płacz, nie krwawię sobie serca... pogadajmy oto spokojnie jak przyjaciele, jeżeli ten zaszczytny tytuł przyznasz mi pani...

W odpowiedzi na to pani Karolowa rękę staremu podała.

Uścisnął ją serdecznie, a przysunąwszy krzesło swe bliżej, mówił głosem niższym:

— Widzi pani kochana, my wszyscy sercem grzeszyli, a nagrzeszyli tak dużo, że ledwie rozum długich lat te grzechy odkupi! Tak nas wychowano, tak myśmy nasze dzieci chowali! a przez to było źle i jest, pani kochanieńka, źle, bardzo źle jest z nami...

Nie odpowiadała pani, żmujdzin zaś rzecz swą dalej prowadził:

— I wychowanie nasze jakież było? Niby to każdy umiał coś, tu chwytął, tam połapał, a w gruncie rzeczy nic nie było, bo nie było podstawy żadnej. Ot, w salonie, w towarzystwie, z ładnemi paniami także gadać to się umiało, no — i jak przyszło poświęcić się, to już się poświęcało bez granic! — ale trzeźwości, rozumu pani kochanieńka, nie było — i w tem nieszczęście, w tem

zguba nasza, każdy był do wszystkiego zdatny, a jak do czynu przyszło ___ et I lepiej o tem nie mówić...

— Rzeczywiście, panie, gorzka to prawda,

— Widzisz pani, gorzka, ale pożyteczna, nauka w niej jest, nauka, jak dzieci do życia sposobić, jak się starych przesądów pozbywać, jak ludźmi być i po ludzku rzeczy rozumieć. Ot, wczmij pani naprzykład choćby ziemian tylko, gospodarzy. Byłże który gospodarzem naprawdę? wiedziałże dla czego pszenicy po pszenicy siać nie można? ot, robiło się takoż jak pradziadki, jak dziadki, ta sprzedało się żydom co Bóg zarodził, a zresztą nic, nic więcej. Karolek panią serdecznie prosić kazał, żeby Janka uczyć praktycznie, że jeśli gospodarzem być zechce, żeby fachowym był koniecznie, żeby kształcił się na to.

— Czyż ja wiem, co z niego będzie ? takie dziecko...

— No, no, nie teraz, później; ale tak prosił, tak prosił, że na co pani chcesz chowaj go. aby chowaj dobrze!... Ma li szewcem być, niech umie buty szyć, niech na skórze się zna, niech wie gdzie sprzedać swój towar, bo to grunt, pani kochanieńka, to grunt! bez tego żyć nic można. Zycie dziś twarde, paniusiu, jak krzemień...

— O twarde! zaprawdę, strasznie twarde jest ono.

— Tembardziej, pani. Ot i Karolek nasz tak rozmyślił, chociaż kaleka teraz biedak, jedne rękę

ma tylko, ale nie chce na świecie żyć próżno, nie chce, żeby majątek przejadał. Wróci on do was, wróci niezawodnie, przyrzeczono mu to, ale jeszcze czekać trzeba. To właśnie my myśleli oba, żeby on przez ten czas uczył się, do szkoły rolniczej chodził — or, i po to ja jego do Belgii zawiozłem, droga pani. On tam nauczy się i jak z powrotem przyjedzie, to gospodarzeni prawdziwym już będzie. On znajdzie sroki na edukację dzieci, na spokojny kawałek chleba na starość. Tak, tak, droga pani, nie

plącż że go jeszcze nie widzisz, on powróci, ale powróci już innym, odrodzonym — i będzie pożytecznym tobie pani, dzieciom... i krajowi całemu. Już może moje stare oczy nie zobaczą tego, lecz wy młodzi zobaczycie, zobaczy to maleństwo, w którym dzisiaj cała wasza nadzieja i ufność...

Długo tak prawił stary żmujdzin, aż się już i jutrzienka zarysowała na niebie, a za nią blade światło do pokoju zaczęło się wciskać.

Pani Karolowa spostrzegła się dopiero, że czas tak szybko przeleciał, a starowina potrzebował przecież wypoczynku po drodze.

Prosić go więc zaczęła, by na spoczynek się udał, by kości nieco po uciążliwej drodze wyprostował.

Żmujdzin z trudnością dźwignął się z krzesła i ciężkim, chwiejnym nieco krokiem, do oficyny poszedł. Pani zamknęła się w swoim pokoju, przed natrętnym światłem dnia zasłoniła roletę i po

modli wszy się gorąco, w ubraniu rzuciła się na łóżko.

Dyrdejko jednak spać nie poszedł. Przed drzwiami oficynki czekał na niego stary Marcin, który miał mu do powiedzenia tak dużo. Ile kóp zwieziono, ile jest żyta w stertach, ile stogów na łące, ile jeszcze do zżęcia zostało, co tam przy budowlach brakuje?

Wszystko recytował stary, a Dyrdejko słuchał, głową kiwał, wąsa siwego pokręcał.

I o kłopotach różnych też Marciu zdawał relację. To wójt w same żniwa o jakieś zaległe stójki pretendował... to Wojtek szkodę w łąkach zrobił, to znowu srokary koń zakulał, jeden wól do świeżej koniczyny się dorwał i odratowano go ledwie. Było, było kłopotów różnych co niemiara!

Uważnie słuchał Dyrdejko, jedno chwalił, drugie ganił, ale ostatecznie Marcinowi podziękował i rękę mu uścisnął, a potem walizkę podróżną otworzył, jakiś przedmiot w papier owinięty z niej wydobył i wręczył staremu, mówiąc:

— To ci, mój Marcinie, dziedzic przysłała, na pamiątkę, za twoje dobre serce i życzliwość.

Chłop papier rozwinął powoli. Była w nim ładna tabakierka, napełniona wonną francuzką tabaką.

— O! Bóg zapłać paniskowi kochanemu — rzekł Marcin — że o mnie starym pamięta jeszcze, choć i między niemcami za morzem; ale na co se

taki koszt wielgi zrobił? dyć to tabakiera, co jensy probosc takiej nie ma!

— No, pamiątkę chciał ci dać, na znak, że cię szanuje i lubi.

— To je stuka piękna — mówił — schowam ją też na same dno we skzynkę, bo juści z takiego statku pięknego to jeno chyba na wielganoc tabakę niuchać się godzi... albo jaką osobę spaniałą potraktować; — na codzień to i moja brzozowa tabakierka z rzemykiem je dość.

— No, już jak tam twoja wola, mój bracie, a tymczasem w pole mnie trzeba...

— A dyć, wielmożny panie, pole nie zając, nic ucieknie, a tymczasem wartoby się krzynkę wywczasować po drodze... tyli stuk świata przejechawsy.

— Nic, nie, Marcinie, pójdz ty do stajni, każ mi konia osiodłać, a sam takoz podjezdka jakiego weź, to pojedziemy oba. Zobaczę ja, co wyście tu zrobili ?

— Na co dworskiego kunia dla mnie brać, dyć tu i moje kobyłsko je, co mi dziedzicka pozwoliła, żeby się za stodołą pasła.

— No, to idźże bracie, a prędzej, bo ja niecierpliwy całą tę naszą biedę zobaczyć...

Po chwili fornal przyprowadził osiodłanego konia, a niebawem nadszedł i Marcin, prowadząc za grzywę swoją małą szkapinę.

On tam nie potrzebował ani uzdeczki, ani siodła, tylko peto ze szkapiny zdjęte w reku trzymał i tem swoją wierzchówką kierował.

Niebawem obaj w pole ruszyli. Dyrdejko małego wzrostu, krępy, na rosnącym koniu siedział, Marcina zaś wysokiego chłopca, niosła szkapina mała, tak, że prawie nogami ziemi dotykała.

Marcin ręką na pole wskazywał.

— Zyto zerznąłem wsyćko za pogody — mówił — a z siebie miarkowałem że na owies i jęczmień we stodole miejsca nie siła, takera. zara na parobków huknął i takie ci dwie sterciska skaradne duchem postawili, jak kościoły wielkie, proszę pana.

— Dobrze, dobrze.

— Żeby jeno ludzie nie urzekli bez zajdrość. bo piękne zyto było... z kuniem by się schował; a psenica, też galanta, jeno co owies pod lasem przypaliło krzywkę, ale że i on też kiepski całkiem nie jest.

— Pani kontenta pewnie ?

— Musi kontentna, ale musi i nie, bo lamentuje skaradnie... pewnie za dziedzicem tak...

— Ha! sama jedna...

— I pewnie — bo choć to je pani grzeczna i delikatna, ale zawdy, na to mówiący, babie przez chłopa je markotno.

Dyrdejko się rozśmiał.

— Tak powiadasz, Marcinie?

— A wiadomo panie, ze tak. Ot, choć nie przymiezając i moja...!ino ze ja tu tera we folwarku siedzę, to juz tak cuduje stara, ze jaz strach.

— Czemu?

— A bo jej się kucy...

— A ileż twojej babie lat będzie?

— Kto ją ta wie ? i pewnieby som pisorz me zrachował! Ja jej gadom: Małgoś, cegozje ty chces bestyjo? po dobrości — a ona nic, lamantuje i gado: siedi w chałupie, kiej ci dobrze... a co mi ta z chałupy? ja juz stary, grunt dzieciom odpisałem, jeno com se krowine i to škapsko ostawił.

— To wiesz ty takóž co ? kiedy tak, to ja ci tu mieszkanie każe wyporządzić, ordynaryę i pensye ci dam... Na karbowego chodź do nas, będziesz miał kawał chleba do śmierci.

Chłop po głowie skrobać się zaczął.

— Cóż ? na łasce dzieci będziesz siedział ? patrzył im na ręce ?

— To je panie prawda, jeno ze...

— No, wiec cóż ?

— Zawdy przeškoda je...

— A jakaž to, mój ty kochaneńki ?

— Jedna, to widzi pan; baba...

— Baba?

— A bo nie? Zawdy hambicyjo taka, gospodynią była, a tera na starość we służbę, to jej się niebardzo spodoba.

— No, a druga?

— Druga panie gorsa — to je mój urząd.

— Jaki znów urząd?

— To wielmożny pan nie wiedzą? Dyć ja jestem za sołtysa.

— To takóž głupstwo kochanie... z babą pogadaj, namów ją.

— E! panie, abo to kto babę namówi jak se co uwidzi ?

— Wiec cóż zrobisz ?

— Wypiorę babsko galanto i siabas! — to bajki, panic, ale najgozej z uzedem.

— No, to już ja się postaram, żeby cię zwolnili i innego wybrali, tylko ty baby nic bij, bo to takóž czort wie do czego podobne!?

Chłop milczał.

— No, namysł się braciszku — mówił zmujdzin — źle tobie z nami nie będzie, toż ty dziedzica naszego dzieciakiem na ręku nosił.

— Oj! abo to raz, prose pana?

— A no, więc tembardziej...

— Oj, nosilem ja go, wielmożny panie, nosilem, jak jesce nieboscyka starego pana młodym nazywali, a ten znowu prawdziwy stary pan, niby tego co go starym popóźnij nazywali ociec... to juz był letni człowiek i niezadługo tez pomer. Dyć oni tu wsyćkie przy mnie urosli i wychowali się — jeno ze na żadnego taki ścisk skaradny nie przysedł, jak na tego nasego pana...

— Na pana Karola?

— A juści, na onego pana Karola... pamiętam dokumentnie jak go krzcili; to heca była, bo nicboscyk, choć i pan Pieter, niech tam se z Bogiem odpoczywa, bardzo za chłopami był, a nieboscka pani, no, jak pani, toby znowu ze samemi hrabiami chciała — i bez to bywały między niemi chwestyje...

— Kłócili się?

— E! nie — toć w pańskim stanie tak się aie swarzą, jak u nau. jeno jak co, to nieboscka pani w lament i zara se kaze powóz zaprzętać i duchem do ciotki, według pociesenia; a nieboscyk pan Pieter jeno się śmieje, bywało. Tak jak się, na to mówiący, pan Karol narodził, tedy go bez cały kwartał nic krzcili, bo Pani się chciało hrabiego z Dolinówki za kuma, a pan znow chciał prostego ślachcica, i znów się przemówili, bez to pani zara dziewczkę do stajni pchnęła, zuby do powozu zakładać — i do ciotki! a pan, niby nieboscyk pan Pieter, znowu huknął na fornala, zeby do wozu zaprzęgał.

— No, takóż komedya! i pewnie do jakiego wujaszka pojechał ?

— Gdzie zaś? wielmożny panic. Čtyry konie do woza założyli, a wóz był wyrychtowany w drabiny jak do siana. Kiej Maciek, juz on nie zyje dawno ten Maciek, zajechał przededwór, tak pan mówi do dziewczki: — siadaj z bachorem! niby z panem Karolem — i pojechali na wieś. Dopieroz we wsi — stój! Nieboscyk pan z woza zlął i zawołał gospodarza jednego, co się nazywał Karol Jaskółka.

i znów z drugiej chałupy gospodynię, babę Wincentowe i powiada, ja was, moje ludzie, w kumy prose! Zara siedli se na wóz, pojechali do kościoła,

okrzcili, i według tego krzesnego ojca dali dziecku na imię Karol. To taka stuka była! — A cóż pani?

— Ha, cóż miała robić ? drugi raz już ksiądz nie okrzci! jeno jej się to najgozej przykzyło, że imię dali chłopcu paskudne, bo ona chciała jakości Pumptlion, počtolijon ... cy jakoś... bo i spamiętać trudno.

— A to ja nic nie wiedziałem o tem.

— Tak je panie, sprawiedliwie, toć ludzie we wsi wiedzą", — co tam później między państwem było, to ja nie wiem, jeno że się dzieciok chował na psa urok... a dowścipny był panie i grzecny... i później człowiek z niego był dobry, jeno że tera Bóg miłosierny taką biedę na niego dopuścił...

Jechali jakiś czas milcząc. Dyrdejko po polach oczami wodził, chłop zaś w dawnych wspomnieniach zatonał, machinalnie tylko szkapę pętem po bokach uderzał, aby z koniem Dyrdejki dążyła.

Żmujdzin przypatrywał się polom, na których niewiele już do zbierania zostało.

Słońce, które właśnie wschodziło, oblewało całą okolicę złotym jakimś blaskiem, woda perliła się w rzece.

Po chwili Dyrdejko do przerwanej rozmowy powrócił.

— Jakżeż, Marcinie, namyśliłeś się ? widzisz, mnie także jakiś uczciwy człowiek potrzebny, mnie już lata ciężą... jakoś nie tego się czuję...

— To tak z niewywcasu, wielmożny panie, jeno żeby się pan przespał krzynkę.

— A no, może i to być, ale tymczasem wyręczenia nie mam... namyśl się więc.

Chłop zastanowił się trochę, po chwili wreszcie rzekł z rezygnacyi:

— Ha, kiedy pan tak powiada, to już co będzie to będzie, ryzyk fizyk — ostaje.!

— No, to i dobrze, a co masz robić to wiesz.

— Co wypadnie, proś pana, ludzi pobudzić, kuzdej roboty dojrzeć, dobytku dopilnować, jak wiadomo przecie w gospodarstwie. Mógłby ja i tak, przy dzieciach, jako tako do śmierci przebiedować, ale i pani mi krzynkę zał i przez roboty się kucy... no, i ornalija też będzie ...

Nim dojechano z powrotem do domu, już umowa stała. Marcin miał objąć niebawem mieszkanie i rozpocząć służbę, to też już nie wstępował na folwark, tylko wprost do wsi pojechał, żeby babie swej przeperśwadować. Dyrdejko wszakże upominał go surowo, żeby przy tej perswazyi nie używał ani pięści, ani innych tak zwanych tępych narzędzi, co chłop przyrzekł z niechęcią, twierdząc, że tak tylko na gębę baby w żaden sposób ani przekonać, ani przegadać nie można.

Dyrdejko powoli wjeżdżał do folwarku — dostrzegły go przez okno dzieci, które rano zazwyczaj wstawały, i ledwie stary z konia zdażył zsiąść, już Janek zawisł mu na szyi, Helenka pochwyciła za rękę, a mała Władzia czepiała się surduta.

— Ach, dureńki wy moje kochane — wołał stary — robaczki najmilsze! I każde zosobna całował i pieścił, o bagatelki różne dopytywał.

— Was tak tatus upieścić kazał, sto razy pocałować każde i gościńca wam przysłał ładnego — tylko już po to do mnie do stancyi chodźcie, bo tam w torbie zapakowane jest wszystko.

Z krzykiem wpadła dziatwa do skromnego pokoiku żmujdzina, a gdy się owa torba, niby puszka Pandory otwarła, krzyk jeszcze większy się zrobił. Janek dostał kilka książek prześlicznych z obrazkami, Helenka szkatuleczkę do robót, w której były nożyczki, szydełko, igiełki i napastrzek maleńki, a Władzia otrzymała prześliczną lalkę z oczami, z włosami, a taką przytem mądrą, że jak ją ścisnąć to wołała mama, a jak położyć, to zaraz zamykała oczy.

Władzia nigdy jeszcze tak mądrej lalki nie widziała; postanowiła też zaraz wszystkie dawne lalki za płot powyrzucać, jako brzydkie i głupie fatalnie. Chcąc ten zamiar natychmiast wykonać, wzięła nową ulubienicę na rączki i szybko pobiegła do dworu. Helenka znowuż pragnęła się popisać przed mamą pięknym podarunkiem, a Jankowi pilno było ciekawe obrazki oglądać.

To też mali goście otrzymawszy podarunki, opuścili szybko pokoik Dyrdejki — i żmujdzin sam jeden w stancyjce swojej pozostał.

Rzucił okiem po ścianach bielonych, spojrzął dokoła, jakby witając wzrokiem przedmioty, do których się od lat tylu przyzwyczaił... potem

głowę kilkakrotnie zimną wodą obiał, żeby rzeź wie jszym być, i zaraz wziął się do przejrzenia i uporządkowania rachunków. Pomimo znużenia i niewywczaśu, spać nie szedł, gdyż przyzwyczajenie całego pracowitego życia nie pozwoliłoby mu zamknąć oczu przy świetle dziennem, kiedy wszystko dokoła rusza się i żyje.

Koło południa już rejestra i rachunki uporządkował i przekonał się z nich, że się rezultat pracy zapowiada dobrze, że dochody nietylko na bieżące potrzeby i na zapomogę Karolowi, ale nawet na spłatę pewnej części długu wystarczą. Rozjaśniła się twarz starego, wstał, przeszedł się kilka razy po pokoju, zatarł ręce, a potem wzrok na obraz nad łóżkiem wiszący rzucił.

Szczera modlitwa dziękczynna była w tem spojrzeniu...

VII.

Od czasu owego upłynęło lat dziesięć.

Dziesięć lat! Jak łatwo wymówić lub napisać dwa te wyrazy króciutkie, a jednak ileż to godzin pracy, ile uśmichów, lub też łez i westchnień, składa się na ten okres czasu... Ile łez i westchnień, gdy zwłaszcza droga życia nie ściele się

różami, gdy wędrówka odbywa się po ścieżce wąziutkiej, wśród ostrych cierni i głogów.

Dziesięć lat! Kawał to czasu niemały — przeszedł on dla Zarzecza cicho, jednostajnie, bez nagłych wstrząśnień i zmian gwałtownych. Rzeka toczyła jak przedtem srebrne swoje wody, niezmordowany młyn gdakał i trajkotał jak dawniej, stare lipy szumiały, na stodole klekotała dziesiąta generacja bocianów — i wszystko było jak niegdyś, tylko drzewa już cień większy dawały i rozrosły się bardziej, tylko w folwarku kilka nowych przybyło budynków.

Zniknął ślad pogorzeliska, nie masz już zgliszczy dymiących, wszystko zdaje się odradzać, do nowego życia wyrwać...

Wiatr poziewał popioły, węgle przyorano już dawno, a mogiły zapadły i zrównały się z ziemią. Macierzanka rośnie na nich i rozchodnik, młode zajaczki tu igrają, czasem skowronek zapadnie i znów się wzbije w górę i śpiewa, zawieszony w powietrzu, między grobami a niebem.

Słońce pali się wysoko, złoci łąki i zboża, perlistą rosę z ziół spija; w górze białe obłoczki gonią się, rozdzielają i łączą, niby gołębi stada, a wietrzyk figluje na łące i barwne główki kwiatków kołysze; to je zupełnie w trawę chowa, to znowu podnosi i prostuje — ot, jak pustak zwyczajnie, za mały jeszcze na to, żeby śmigi u wiatraka obracał, więc poszedł figlować na łąkę...

Biały bocian kroczy poważnie po smugach, wrona za sochą dąży i pędraki z rozoranej roli dobywa; wysoko, wysoko w powietrzu bystrooki jastrząb się waży — jak zawsze, jak codzień, jak co rok.

I któżby powiedział, że ta ziemia pokryta zbożem bujnem, dźwigająca na sobie ryle istot żyjących, zestarzała się o całe lat dziesięć, kiedy jeszcze jest taka młoda, taka żyzna a piękna! Czas nie odbiera jej nigdy uroku

młodości, on tylko dzieła rąk ludzkich niweczy, a na czołach naszych bruzdy orze.

Zobaczmy też, jakie ślady na naszych dobrych znajomych w Zarzeczcu zostawił.

Wśród lśniących, czarnych jak krucze skrzydło, włosów pani Karolowej, przewijają się gęściej niż przedtem nitki srebrne, ale twarz nie straciła pomimo tego piękności dawnej i uroku. Z wyrazu oczu więcej już pogody, więcej nadziei przebija, na ustach błądzi czasem uśmiech, a biała, drobna ręka, nie jest tak wyszczupiała i sucha jak dawniej.

Kobieta to piękna, chociaż już jej wiosna, a nawet południe życia przeminęło, piękność jej da się porównać do piękności naszej polskiej jesieni, uśmiechniętej, pogodnej, spokojnej. W sercu tej kobiety! nie wygasła jeszcze i tęsknota i żal. Samotna jak dawniej, czeka jeszcze — ale czeka z nadzieją, z pewnością już niemal, że dni smutków są policzone. Gdy o tem myśli, serce jej żywiej uderza, na twarzy wykwita rumieniec przelotny. I dla niej

się jeszcze szczęście uśmiechnie — i dla niej powróci wiosna życia, którą niezwykle mrozy zwarzyły przedwcześnie ...

Wszak bywa tak czasem i w naturze, zdarza się że jabłonka na jesień obsypuje się kwiatem, że fiołki powtórnie kwitną...

Krótkotrwałe to kwiatki, co prawda, lecz kto same ciernie miał w życiu, temu i ów jesienny, przez kaprys przyrody rzucony kwiateczek, skarbem wydawać się musi.

Listy częste, coraz częstsze bywały i nadzieja rosła — a stary, wierny jak zawsze Dyrdeiko, z niecierpliwością ziszczenia się tej nadziei wyglądał.

Oczekiwał, wyglądał. Czuł, że mu lata już ciężą, sił braknie, że jakaś niewidzialna dłoń żelazna schyla mu głowę ku ziemi. Często w zadumę wpadał i dziwna, niewytłomaczona ogarniała go tęsknota.

Wprawdzie najbliższych swoich przeżył; — wszyscy, których kochał niegdyś, pomarli, a nawet piękna ongi, modrooka, rozmarzona Jadzieńka, co później zapomniała o nim i za Kiełpsza poszła, także opuściła już ten padoł płaczu i niedoli, i legła na wiejskim cmentarzu na Żmujdzi... Sani jeden został starowina, sam tylko, więc nie miał się spieszyć do kogo. Tu raczej, w Zarzeczu, mogło go coś wiązać do ludzi, bo tu znalazł serca przychylne, szacunek sobie zaskarbił i miłość; — ale pomimo że go najserdeczniejszą otaczano tro

skliwością, niecierpliwił się stary, tęsknił, a wciąż się do drogi wybierał. — Czas mnie już takż — mówił — czas wielki!... już bo i grzbiet się wygiął i głowa ciąży ku ziemi... żebyż już raz nareszcie ten Karolek przyjechał, żeby ja mógł w ręce jemu was oddać i — odejść spokojnie.

— O, nie mów pan tak smutnie, panie Fulgenty — prosiła pani Karolowa — żyliśmy tyle czasu razem w ciężkiej doli — czyż więc teraz, gdy już lżej nieco, gdy promyk nadziei błyska, mamy się rozstawać, rozłączać i

— Ej, próżna to pociecha, pani kochanieńka, niedługo my z sobą będziemy... już bo do Dziundzisek mnie pora... matka mnie woła...

Żmujdz święta. Tamby się chciało kości stare złożyć, tam spocząć, przy kościółku biednieńkim, drewnianym, co go ledwie z pośród starych lip widać. A jak tam cicho — jak pięknie!... Rwie się dusza do tego miejsca, rwie serce... ot, zdaje się piechotą, o kiju powłóklby się człowiek w strony tamte, oj powłókł...

Pani Karolowa uspokajała go, prosiła. Wmawiała w niego, że trzyma się jeszcze dobrze, że zdrow — chociaż sama wierzyć w to nie mogła.

Ow silny, krepny żmujdzin, do niepoznania się zmienił. Dreptał wprawdzie jeszcze po folwarku, niekiedy kałamaszką małą w pole wyjeżdżał, ale czuł biedak, że mu już sił braknie, i nogi odmawiają posłuszeństwa. Już teraz wygod większych

potrzebował, snu więcej — a zdarzało się czasem, że na krześle usiadłszy, głowę schylił na piersi i drzemał. Sił brakło...

Gęste włosy zbieleły mu całkiem, jak mleko, twarz pokryła się licznymi zmarszczkami. Uśmiech rzadko się na tej twarzy pojawiał, ale za to, gdy w marzeniach starowina utonął, gdy obrazy minionych czasów przywoływał na pamięć, to do oczu napływały mu łzy i dużymi kroplami spływały po twarzy.

W ciężkich godzinach doli twardej, w smutnych chwilach życia nie płakał nigdy Dyrdejko, mężnie każdą przeciwność i każdy ciężar znosił, a teraz, z lada powodu rozrzewniał się jak dziecko ...

Czyż każdy człowiek musi wszystkie łzy swoje wypłakać ?

Z upadkiem sił i zdrowia wymykał się także i zarząd gospodarstwem z rąk Dyrdejki. Pani Karolowa, która była ciągłym świadkiem pracy żmujdzina i zrozumiała doskonale jego system, teraz, nieznacznie, stopniowo, sama obejmowała rządy, a czyniła to z wysoką i szlachetną delikatnością, ze staraniem szczególnym, aby nie dać poznać żmujdzinowi, że już stary i słaby, że steru w drżących rękach utrzymać nie może.

Nominalnie wszystkim zarządzał Dyrdejko, w każdej kwestyi zasięgano jego rady, a klucze od spichrza, ten rodzaj rządcowskiej buławy, Marcin co wieczór regularnie do stancyjki pana Fulgen

tego odnosił, i o całym dniu relację dokładną mu zdawał.

To przekonanie, że jest jeszcze użytecznym, że pracuje — utrzymywało Dyrdejkę przy życiu i przy Zarzeczcu. Gdyby nie ono, niechciał by starowina chleba darmo jeść — i powłókłby się pewno do swoich Dziundziszek, śmierci czekać, tak jak teraz przyjazdu Karola oczekiwał. Starano się uprzyjemnić chwile staremu. Celowała w rem szczególnie Helenka, która już na piękną pannę wyrosła. Umiała ona zawsze zabawić i rozweselić żmujdzina. Dźwięcznym, metalicznym głosem czytywała mu często Mickiewicza, którego starowina bałwochwalczo uwielbiał, albo też Kaczkowskiego, z dawniejszych czasów obrazy. Stary słuchał, zachwycił się, płakał nieraz, a piękną swą lektorkę po rączkach całował i najdroższą swoją wnuczką nazywał.

W szachy też z sobą często grywali, a że Dyrdejko miał szczególną do strategii słabość, więc też plany szerokie rozwijał, ożywiał się a cieszył każdym wzięciem figury, każdym posunięciem szczęśliwym. Z wygranej radował się jak dziecko.

— Widzisz także, Helusiu! czego się zachciało? Nie ze mną tobie wojować! nie ze mną! Ot, jeden szach, ot drugi i mat!! lecz nie martw się panienko. Wielki Napoleon był wielki, a czasem także zfuszerował porządnie... No, no, nie gniewaj się mała — daj łapkę, pocałuję za to.

Helenka udawała, że się martwi, że ją ta przegrana bardzo żywo obchodzi — a Dyrdejko śmiał się, cieszył, potem, zmęczony, ciszej już mówił, aż nareszcie w zwykłą swą zadumę zapadł, głowę na poręczu krzesła oparł i — usnął.

Wówczas Helenka z troskliwością, jak matka dziecka, poduszczkę małą wsuwała Dyrdejce pod głowę i po cichutku wychodziła z pokoju.

Ze wszystkich dzieci pani Karolowej jedna tylko Helenka znajdowała się w domu obecnie. Janek już szkoły skończył i w instytucie rolniczym się kształcił. Władzia była w Warszawie na pensyi — Helenka tylko, ukończywszy edukacyę, powróciła pod strzechę niskiego dworku w Zarzeczcu.

Dworek też z przybyciem jej ożywił się znacznie. Ściany zdawały się bielsze i kwiaty piękniejsze, bo tu, gdzie niedawno jeszcze słyhać było westchnienia tęsknącej i osamotnionej kobiety, dziś dźwięczał nieraz śmiech srebrzysty, lub rozlegały się tony rzewnej piosenki.

Młodość jest bowiem jak wiosna, rozpacza ona w koło siebie czary i uroki, a widok jej starych nawet zachwyca i do życia zachęca.

I.ecz przypatrzmy się Helence, którąśmy na początku niniejszego opowiadania jako sześciolletnią, lalkami zajętą dziewczynkę, poznali.

Zdawało się wówczas, że sensatka wielka z niej będzie — ale ta przepowiednia nie ziściła się ze wszystkim, gdyż na różowych usteczkach

dziewczęcia błądzi ciągle uśmiech wesoły a w dużych oczach świecą iskry życia.

Dziecko na piękną pannę wyrosło. Co święto w skromnym wiejskim kościółku nie jedno spojrzenie zwraca się ku niej, spojrzenie, pod wpływem którego dziewczeczka spuszcza powieki, a wówczas długie, jedwabiste jej rzęsy rysują się wyraźnie na tle białej, zarumienionej lekko twarzyczki.

Dotychczas jednak serce dziewczęcia uderza spokojnie i równo. Dumki jej płyną cicho, jak kryształowy strumień wśród łąki. Dziewczyna kocha serdecznie matkę, ojca, do którego tęskni, Janka, Władzię i starego przyjaciąła Dyrdejkę; zresztą serce jej jest wolne zupełnie, uśpione jak dziecię na kwiatach...

Helenka już pół roku w domu przebywa. Pomaga matce w zatrudnieniach domowych, pielęgnuje starca, który coraz więcej potrzebuje opieki. Pani Karolowa marzy, że gdy mąż powróci, to dom wówczas otworzą, przyjmować zaczną i może znajdzie się ktoś, dla którego serce dziewczęcia żywszem tętnem uderzy.

Kochająca matka może już upatrzyła kogoś, może snuje jakieś bliżej określone plany, ale te na później, na później odkłada i myśleć o nich nie lubi, bo ciężko będzie matce rozstać się z ukochaną pieszczotką swoją. Tak dobrze jej z córką — takby ją długo przy sobie mieć chciała...

Spędziły razem lato i jesień — i zimy doczekały już. bo oto koniec lutego się zbliżał. Noc była.

W dworcu i folwarku spali już wszyscy oddawna, tylko w stancyjce Dyrdejki, w oficynie, paliło się światło.

Wicher hulał po polach, tumany śniegu rzucał, drzewami starymi wstrząsał. Ciężko było na świat wyjrzeć — psy nawet tuliły się pod budynkami skomlać żałośnie, taki szkaradny był czas tej nocy. Dyrdejko w stancyjce swojej leżał.. Światło lampy padało na jego twarz, jak воск żółta, na oczy głęboko zapadłe... pierś podnosząca się z trudnością.

Wyschłe ręce starca skubały ciągle koldrę, wzrok utkwiony był staie w punkt jeden.

Po chwili chory wyciągnął rękę, wziął dzwonek ze stolika przy łóżku i głośno dzwonić zaczął.

Na ten dźwięk dziewczyna zaspana, w ogromnej chustce na głowie, do pokoju weszła.

Żmujdzin zobaczywszy ją, na poduszkach się uniósł i słabym głosem rzekł;

— Marcina zawołaj...

Nie w smak to było dziewczynie biedź w nocy na folwark, tembardziej że wichura nabawiała ją trwogą, ale spojrzawszy na twarz chorego, domyśliła się zaraz że o coś ważnego tu idzie...

Przeżegnała się też kilkakrotnie i boso pobiegła po śniegu, a po chwili całą siłą pięści kołatała do okienka w czworaku, wołając:

— Marcinie! a wstawajta ze duchem!

Wstał stary, obuł się, kozuch wziął na siebie i poszedł, chcąc dziewczkę rozpytywać po drodze, ale nie dowiedział się wiele.

— A juści — rzekła — mom gadać!? dobrze wom w butach! a mnie ten śmig, psia dusa, parzy jak zielazo po nogach. Miała słuszność Magda — i zanim Marcin dziesięć kroków uszedł, ona już była w sieni.

Chłop po cichu do stancyjki się wsunął i przy drzwiach stanął "pochwalonym rzekłszy.

Dyrdejko skinieniem ręki przywołał go bliżej.

— Słuchajno, Marcinie — rzekł głosem słabym — źle ze mną..

— Dyć je Bóg miłosierny, panie, poratuje...

— Ja też już tylko Boskiego poratunku pragnę i dla tegom cię budzić kazał.

— Cy według dochtora może ?

— Eh! bajczs takoz ty Marcinku z doktorem; doktor cudu nie zrobi! Śmierć idzie. Ot, ty do sanek każ zaprządz i po księdza mi pojedź, a pospiesz, pospiesz braciszku, bo już dnia nie doczekam może... proboszcza samego ty poproś.

Chłop milcząc do odejścia się zabierał, Dyrdejko jeszcze skinął na niego.

— Tylko, mój Marcinie, mój stary, podchutku to zróbcie — dzwonka do sanek nie brać — pań nie budzić — niech one śpią spokojnie.

Marcin prędko sprawić się przyrzekł, a załzawione oczy rękawem ocierając, nachylił się nad chorym i szepnął:

— Je Bóg Wszechmogący, On przemieni...

I z temi słowy wysunął się z pokoju. O ile stare nogi pozwalały, szybko do stajni pobiegł, fornała obudził i nie upłynęło dziesięć minut a już wyjechali z folwarku.

Śnieg pozawiewał wszystko, nigdzie śladu drogi, konie stąpały ostrożnie, parskając, węsząc drogę, schylały coraz łby ku ziemi, jakby chcąc ślady znaleźć. Ale gdzie tam ślad jaki!?

Trzeba się było zdać na instynkt zwierząt, bo nawet chłopskie oko, do ciemności i do dróg nocnych przyzwyczajone, nie mogło nic rozróżnić.

Zaraz za folwarkiem stracili drogę, sanki uderzały o zagony, konie zapadały w rowy, jamy jakieś, Marcin głowę tracił...

Nareszcie ujrzeli jakieś światełko i obaj z fornalem zgodzili się na jedno, że to w Kościelnej, żyd karczmarz świeci jeszcze. Postanowili więc, nie szukając już drogi, wprost ku temu światłu się kierować. Na rzece łód mocny, a byle się tylko na łąki dostali, to pospieszą.

Rzeczywiście, wśród zawieruchy szkaradnej i ciemności, był to środek jedyny.

Fornal popędził konie i niezadługo uczyli, że spadają z jakiejś wysokości, którą, jak się domyślili łatwo, był urwisty brzeg rzeki. Podnieśli sanie, poprawili poplątana uprząż na koniach i szczęśliwie wydostali się na brzeg przeciwny, na łąkę.

Tu już, na równej przestrzeni, droga bezpieczniejszą była i konie czując pewniejszy grunt pod

nogami, pomknęły szybko o tyle, o ile na to wiatr straszny pozwalał.

Marcin wzdychał ciężko i pacierz półgłosem odmawiał, fernal od czasu do czasu na konie krzyknął, a czerwone światełko coraz się bliżej a bliżej przysuwało.

Gdy stary Gajda z fornalem, wśród zamieci i wichru, przebijali się przez zasy śnieżne, dążąc ku Kościelnej, w Zarzeczcu na folwarku i we dworze ruch się zrobił; we wszystkich prawic okienkach zajaśniało światło.

Uspionych zaalarmowała Magda, która lękając się być blisko konającego, pobiegła zaraz do kuchni i pobudziła służbę.

Na krzyk że rządca umiera, zerwali się wszyscy na nogi.

Pani Karolowa z Helenką, ubrawszy się naprędce, wnet do oficyny pospieszyły.

Dyrdejko nieprzytomny prawie, z oczami na wpół przymkniętymi leżał.

Pochyliła się nad nim Helenka i mówić do niego zaczęła.

Chory oczy otworzył i uśmiechnął się do niej. Podali mu łyżkę wina starego. Widocznie orzeźwiło go ono, gdyż rękę do pani Karolowej wyciągnął i cichym głosem przemówił:

— Dzień to już, czy noc jeszcze ?

— Noc. noc — odparła — widocznie było jakieś osłabienie chwilowe, dzień nadejdzie, z nim polepszenie i ulga.

— A czy Marcin pojechał? — spytał zmujdzin.

— Już, już, co tchu popędził, tylko co go nie widać.

— To dobrze, dobrze, pani kochanieńka, chciałoby się po chrześcijańsku umrzeć, z Bogiem i ludźmi pojednać...

I znowu głowa starca na poduszki opadła. Helenka jeszcze mu trochę wina podała, chory je wypił i w senność wnet zapadł. Widocznie jednak wino

pokrzepiło nieco siły już nękane, bo sen był spokojny, oddech równiejszy, nawet na wybladłych policzkach ukazał się słaby, ledwie dający się dostrzedz, rumieniec.

Tylko ręce na piersiach złożone poruszały się chwilami, skubiąc kołdre, lub mały krzyżyk zawieszony na piersiach.

Pani Karolowa uklękła przy oknie i modliła się rzewnie. Helenka siedziała przy łóżku i zażawionemi oczyma patrzyła w twarz starca. Patrzyła z żalem i trwogą pewną, z tym nieokreślonym niepokojem, z jakim dziecko w grób otwarty spogląda ...

Magda po stancyjce się krzątała, nakryła stół serwetką białą, świece w srebrnych lichtarzach z dworku przyniosła. Rozpoczęły się przygotowania smutne. Żmujdzin spał ciągle. Stan zegar gdański miarowo, minuty za minutami upływały, a każda tak się ciężką zdawała, tak długą.

Helenka pocichu zbliżyła się do matki. Ujęła ją za ręce — podniosła.

Obie kobiety spojrzały na siebie — jedna drugą uspakajała wejrzeniem, gdyż przemówić nie śmiały, by choremu snu nie przerwać. Matka oparła głowę na ramieniu córki, i tak splecione w uścisku, podtrzymując się wzajemnie, płakały pocichu.

Świtać już zaczynało. Od wschodu na niebie pas jaśniejszy się rysował, już i drzewa zaczęły się wychylać z ciemności.

Na dziedzińcu ukazały się sanki. Fornal spienione konie przed oficyną osadził. Z sanek wysiadł ksiądz z Marcinem.

Rozległ się cichy dźwięk małego dzwonka, a na ten odgłos Dyrdejko oczy szeroko otworzył. Uniósł się na łóżku, westchnął i wyschłą ręką na księdza skinął.

Wszyscy wyszli z pokoiku, tylko spowiednik przy chorym pozostał. Długo trwała ta spowiedź, w której nabożny żmujdzin obrazy całego życia swego przedstawiał, przewinienia i błędy swe na pamięć przywołując, a gdy już Sakramenta przyjął, pragnął jeszcze z panią Karolowa pomówić. Nagle jednak inna myśl do głowy mu przyszła...

— Marcina mi tu przyślij, księżę proboszczu — rzekł — mnie z nim trzeba w cztery oczy pomówić.

Ksiądz uściskał serdecznie dłoń starca, poszedł do dworku gdzie oczekiwano na niego, a po chwili Marcin przywołany przyszedł.

Dyrdejko pocieszony już, spokojny, rzeźwiejszym się zdawał. Nie leżał, lecz siedział raczej na poduszkach oparty, głos miał pewniejszy i w ogóle polepszenie czuł znaczne.

— Marcinie — rzekł do chłopca — żyliśmy tyle lat po Bożemu i zgodnie... ty więc i teraz nie odmówisz mi ostatniej przysługi?

— A co pan chcą? — zapytał pocichu. Dyrdejko ręką pod poduszkę sięgnął i pęczek kluczy wydobyl.

— Weź no ten kluczyk maleńki — tam pod ścianą dębowa skrzyneczka stoi — otwórz ją.

Chłop skrzynkę na stole postawił i otwierać zaczął.

— Tam — ciągnął Dyrdejko — woreczek taki szary znajdziesz, nieduży a co, jest?

— Je, panie, worecek, maleńki akuratnie.

— To weźże ty jego, mój bracie, i przyjdź tu z nim bliżej, do łóżka; a wieszże Co tam w nim jest w środku ?

— Nie wiem, panie, ciężkie coście jak piosek.
— Nie piasek to Marcinie, nie piasek, ale garstka ziemi... świętej ziemi, mój bracie, ze Żmujdzi, ztamtąd gdzie się urodził.
— Daleko musi ztąd ?
— O daleko, daleko, mój stary. Widzisz więc, jak ja umrę, to ty mi oczy zamkniesz i na nie tej ziemi nasypiesz. Wszak zrobisz mi to, mój Marcinie, nie odmówisz tej przysługi ostatniej ?
Chłop załzawione oczy ocierał.

— A dyć ja myślałem, że wielmożny pan mnie staremu garść ziemi na trumnę rzuci...

— Wola Boga, braciszku — szepnął z cicha Dyrdejko — nie tu ja chciałem umierać — ano Bóg zrządził. Pójdźno ty jeszcze, pani i panienki tu poproś, niech ja popatrzę na nich.

Nie rrzeba było prosić, gdyż w tej chwili pani Karolowa z Helenką do stancyjki weszły. Marcin ku drzwiom się cofnął.

— Pani kochanieńka — mówił Dyrdejko, ujmując rękę zapłakanej kobiety — i ty Helusiu kochana, przebaczcie jeśliś was w czym ukrzywdził, lub obraził — nie wspominajcie źle... Ja was tak bardzo kochałem i Karolka naszego i Władziunię i Janka... Nie wspominajcie źle i niech was Bóg nie opuści nigdy...

Matka i córka głośnym wybuchnęły płaczem. Helenka wyschłą rękę starca pochwyciła, przycisnęła do ust, oblewała łzami.

Przez jakiś czas trwało uroczyste milczenie, przerywane tylko tłumionym łkaniem kobiet i ciężkimi westchnieniami Marcina. Dyrdejko podniósł się trochę, na poduszkach oparł i zaczął mówić spokojnie.

Mówił długo o interesach, o folwarku, o gospodarstwie. Radził jak i co robić zanim Karol powróci, prosił pani Karolowej, żeby Marcina nadal zatrzymała — a i do niego także przemówił, żeby pani nie opuszczała i zawsze uczciwym, zawsze był wiernym, jak dotąd.

Chłop odezwał się jakby z wymówką:

— A dyćbym sumienia chyba nie miał, żebym tę panią, matkę naszą, miał tak ostawić we frasunku — sierotą.

— Ja też ci wierzę, mój bracie — mówił zmujdzin — wierzę ci zupełnie, tyś dobry człowiek Marcinie.

Upłynęła godzina prawie, przez ten czas chory to w senność krótkotrwałą zapadał, to znowu ożywiał się, o różnych przedmiotach mówił i wogóle spokojnym był, tylko palcami wciąż przebierał i od czasu do czasu spojrzenie na obraz rzucał.

— A wieszże ty, Marcinku — zapytał — gdzie co na wiosnę się będziemy?

— Wiem, wiem, wielmożny panie, dyć pan tyle razy pokazowa!.

— A tak, pamiętajże bracie: owies będzie pod lasem, groch tam, wiesz, od gościńca, jęczmień za stodołą zaraz...

To były ostatnie jego słowa.

Obfite krople potu wystąpiły mu na czoło, głowa opadła na ramię, z piersi wyrwało się ciężkie westchnienie.

Pani Karolowa na kolana przy łóżku upadła, bezwładną rękę starca pochwyciła i przycisnęła do ust.

— Przyjacielu... opiekunie nasz! ojcze!... — szeptała. Helenka zanosila się od płaczu.

Zrobił się krzyk i lament w całym dworze. Służba się zbiegła, gromnice zapalono.

Marcin do pani się zbliżył.

— Niech pani nie lamantuje — mówił — Die płace... Bóg Najwyższy go zabrał, wola Jego Święta . Już tu pani i panience robić tera co nie ma, ja się som przy nieboscyku ostanę.

Zanosząc się od płaczu kobiety wyszły z pokoju, W którym rozpostarła się żałobna powaga śmierci. Marcin ciało zmarłego wyprostował, grabami palcami wpół otwarte powieki przymknął, a potem woreczek rozwiązał i zgodnie z ostatnią wolą żmujdzina szczyptę ziemi na nie nasypał. Resztę zachował starannie, by do trumny mu włożyć.

Służba, która się zbiegła z folwarku, patrzyła na to w milczeniu, a Marcin krzyżyk czarny ze ściany zdjął, w skostniałe palce umarłemu włożył i mówił:

— NieCh cię Bóg wsechmogący do chwały swojej przyjmie, boś był cłek sprawiedliwy, miłosierny, cudzej kzywdy niepragniący, na! gros ludzki niechytry. ..

To rzekłszy, stary ręce zmarłego ucałował i zwracając się do obecnych ludzi, rzekł:

— Wy wsyćkie, chtóre tu jezdešta, klęknijta, zmówta pacierz za dusę nieboscyka, aby se odpoczywał we spokoju wiecznym.

Na to wezwanie wszyscy na kolana padli i rozległ się gwar wspólnej, gorącej modlitwy, a nad gwarem tym górował głos srebrnowłosego chłopca, poważny, uroczysty, westchnieniami ciężkimi przerywany.

Twarz zmarłego nie wyrażała śladu cierpień przebytych, zastygł na niej raczej uśmiech dobrotliwy i jakby zaduma jakaś na poważnym, Wysokiem czole.

Płomyk wielkiej, żółtej świecy woskowej drgał lekko, nad nim unosiła się czarna nitka dymu i ginęła w górze, zmieszana z westchnieniami ciężkimi i szmerem żarliwej modlitwy prostaków...

VIII.

Wiosna przyszła z całym bogactwem barw, woni i jasnych promieni słonecznych. W powietrzu zawieszały się śpiewające skowronki, zwinne jaskółki zataczały kręgi nad wodą, muskając aksamitnym skrzydłem powierzchnie mieniającej się fali.

Ptactwo roiło się wśród gałęzi drzew, pszczoły pracowały na kwiatkach. Ze śpiewem ptasząt mieszały się ludzkiej pieśni dźwięki — złota wierzba kąpała w rzece końce swych długich warkoczy.

Nawet brzozy na cmentarzach, te żałobnice smutne, szemrały gałązkami weselej, a na grobach barwne kwiateczki wykwitły.

Woły ciągnęły ciężkie pługi, konie pospieszały w bronach, a tu i owdzie, na poletkach małych, miedzami przedzielonych gesto, uwijali się chłopci, rzucając w rolę grube ziarna jęczmienia.

Dworek zarzecki odnowiony, wybielony, jaśniał zdaleka, widocznie się na ciemnej drzew zieleni rysując, gałązki dzikiego wina oplatające ganek, liśćmi się pokrywać zaczęły.

W oknach białe firanki widać było i mnóstwo kwiatów pięknych, utrzymywanych starannie. Jedynie tylko w oficynie, w tym pokoiku, który przez lat tyle zajmował Dyrdejko, okiennice pozamykane były. Nikt tam nie mieszkał...

Dobry, wiemy, stary druh i przyjaciel dawno już legł w ziemi — i to w jakiej ziemi jeszcze!

Pani Karolowa, na wniosek Helenki, spełniła chociaż po śmierci, gorące pragnienie żmujdzina — i zwłoki jego w dwóch trumnach, zalutowanych szczelnie, wysłała tam daleko... do Dziundziszek, ua cmentarz. Leży teraz, jak marzył, w swojej ziemi, wśród swoich, tuż przy ubogim kościółku drewnianym, którego z po za lip starych nie widać.

Tak więc spełniło się jedyne marzenie, które tyle czasu żywił w swej duszy dobrej, zacnej, szlachetnej.

W Zarzeczcu wspominają o nim często — a nietylko wspominają ci, dla których opiekunem był w niedoli i ojcem prawie, ale mówią o nim częstokroć i we wsi, przypominają uczciwe jego rady — i nie masz w całym Zarzeczcu chłopca, któryby wymawiając nazwisko starego rządcy, nie westchnął ze szczerym żalem, serdecznie, bo prawość i zacność to ma do siebie, że każde serce

zniewala, bez względu, czy ono pod cienkim surdudem, czy też pod gruba siermięgą, uderza.

W tej wiosce, w ustroniu cichem położonej, nic ustawała praca, ale też i dobrobyt się wzmacniał, a nie tylko na folwarku znać to było, bo i włościańskie siedziby wyglądały lepiej. Bielsze ściany chałup, większe okienka były niż dawniej, a nawet i ogródki pozakładano. W środku wsi, z inicjatywy Dyrdejki jeszcze, wzniesiono spory i schludny domek szkolny, na budowę którego pani Karolowa drzewa potrzebną ilość dała. Karczma natomiast nie była tak gwarną jak dawniej, gdy jeszcze w niej nasz dobry znajomy, pan Jankiel Pacanower przemieszkiwał.

I w jego losach także zmiana zaszła. Już obecnie nie szynkuje, nie siedzi na karczmie, a jeżeli handluje okowitą, to już większemi partyami, bo Jankiel to już nie szynkarz teraz — to osoba! Ma w miasteczku swój dom własny, prześliczny, z zielonemi okiennicami, z gankiem na dwóch żółtych słupach opartym. W salonie, w którym zbankrutowanych swoich klientów przyjmuje, są już meble i wielki świecznik mosiężny.

Pan Jankiel jest morejne teraz, co sobota przywdziewa czapkę futrzaną i racimorowy żupan, pas jedwabny nosi, w synagodze na pierwszym miejscu zasiada... Należy do ojców miasta, kachałym jest teraz i nawet go sam rabin odwiedza.

Powierzchność Jankla również uległa pewnej zmianie. Zostały na niej ślady walki, walki

tradycji z postępem — i to walki żarliwe; , zawziętej.

Postęp przystrzygł mu nieco brodę, obrównał ją troche, tradycja zaś wywalczyła dla siebie jarmulke i dwa małe. filuternie zakręcone pcjsiki na skroniach. Postęp obciął mu o kilka cali kapotę, tradycja z pod kamizelki aksamitnej, jakby postępowi na złość, wychyliła białe tasiemeczki, — cycełe. Postęp czyścił mu buty niekiedy, tradycja aksamitną krymkę obsypywała pierzami — i tak dzięki walce tych dwóch sił potężnych. Jankiel był największym elegantem między żydami i najgorliwszym, żydem między elegantami miasteczka.

Utył pan Jankiel, zmężniał, tuszy okazałej nabrał, a chociaż starym jeszcze nie był, jednak już trzech synów ożenił, dwie córki za mąż wydał, i prócz tego jeszcze się .radował w domu widokiem kilku delikatnych bardzo latorośli swego rodu, tak delikatnych jeszcze i małych, że im trzeba było pierniczki dla uciechy kupować...

Co rano, gdy na wzór Ateńczyków, obywatele żydowskiej mieściny schodzili się na forum błotnistem, na rynku — i komunikowali sobie nawzajem najświeższe nowości, przychodzi! także i pan Jankiel.

Jako człowiek mądry, skąpy był na słowa i niewiele zwykł mówić; słuchał jednak uważnie i według tego oryentował się w położeniu, jakie ta mikroskopijna giełda wytwarzała. Wstępował także po drodze na pocztę, gdzie uprzejmy urzędnik

pozwał mu przeglądać W gazecie ceny zboża i okowity.

Wszystko to czynił pan Jankiel z powagą, właściwą obecnemu jego stanowisku.

Właśnie i teraz się na rynek wybierał. Czapką aksamitną głowę nakrył, zakrzywioną laskę wziął w rękę i już przestępował próg swego domostwa, gdy od podwórka wpadł zadyszany żydek, wrzeszcząc zdaleka:

— Reb Jankiele, Jankiele! sy du a grojse nowinę!! a sołche czekawe sache!!

Pan Jankiel, jak na poważnego męża przystało, ciekawości wielkiej nie okazywał. Spojrzał tylko na chłopaka badawczo — i lakonicznie zapytał:

— Ny?

— Aj waj! — wołał żydziak — a Zarzieckie puret ist os de zagranice cygekimt!

Jankiel uśmiechnął się nieznacznie, potem do głębokiej kieszeni sięgnął, a dobywszy z niej czworaka, dał go chłopcu za pomyślną nowinę.

Winniśmy teraz objaśnić, dla czego ta wiadomość mogła być interesującą dla Jankla — i dla czego wywołała ona wielkie ożywienie w całej zabłoconej mieścinie. Obywatelehandlujący przyjęli ją z wielką radością, nie dla tego wszakże, żeby ich tak szczęście cudze miało wzruszyć gwałtownie, lecz raczej z powodu, że przyjazd pana Karola przynosił im jakiś promyk nadziei. Od lat kilku

nastu folwark zarzecki stopniowo, ale staie, przestawał być dla nich polem zarobku.

Dyrdejko do tego dążył konsekwentnie, z uporem i wytrwałością żrnujdzina. Odprzedawszy chłopom część gruntu, wyzwolił folwark od wierzytelności uciążliwych i niebezpiecznych i uniknął konieczności zaciągania nowych długów, a później z pachciarzem kontraktu odnawiać

już nie chciał; młyn wydzierżawił młynarzowi fachowemu, poznańczykowi jakiemuś, a na karczmie osadził mieszczanina rzeźnika. Ostatni opuścił Zarzecze pan Jankiel Pacanower, któremu, jak widzieliśmy, nowy zawód, polegający na prowadzeniu interesów z zachwianymi finansowo właścicielami i dzierżawcami folwarków, przynosił piękne zyski.

W folwarku i we wsi było cicho, spokojnie, pijaństwo zmniejszyło się o wiele, chłopci do zamożności przychodzili potrosze.

Taki obrót rzeczy nie zachwycał wcale mieszkańców miasteczka, którzy też czynili wszystko co mogli, aby na utracone stanowiska powrócić. Przy Dyrdejce wszakże było to niepodobieństwem; dziad bowiem twardy był jak kamień, a nawet na wyższe ceny dzierżawne skusić się nie dał. Po śmierci żmujdzina rokowania rozpoczęły się na nowo; przyjeżdżał do Zarzecza pan Jankiel, tłumaczył ile taki system strat przyczynia, o ile większemi mogłyby być dochody stałe, gdyby korzystne oferty nowych konkurentów przyjęto — mówił

nawet, że brzydtko jest zrywać z tradycją — i z pewną, nawet subtelna dyalektyki dowodził, że Pan Bóg już tak świat urządził, żeby szlachcic bez żyda istnieć nie mógł.

Pani Karolowa bardzo grzecznie Jankla przyjmowała, prosiła siedzieć, częstowała herbatą, pytała o nowości — ale co do interesu oświadczyła stanowczo, że musi się trzymać systemu rządcy — i że, aż do przyjazdu męża najmniejszej zmiany nie zrobi.

Delikatny rozum Jankla i dowodzenia jego pełne godności nie odniosły żadnego skutku — i z tego to powodu przyjazd pana Karola był dla

miasteczka interesującą nowiną , z tej przyczyny żydziak, który Janklowi ją przyniósł, dostał tak wspaniałe, jak na te ciężkie czasy, honorarium. Janklowi wieść niespodziana program całego dnia zmieniła. Zamiast iść, jak zwykle, na rynek, powrócił do domu i do drogi wybierać się zaczął. Jednocześnie też zalecił swemu stangretowi, aby przygotował bryczkę, co nie należało do łatwych zadań, gdyż, przed każdym wyjazdem, kowal i rymarz musieli coś w tym pięknym ekwipażu reperować. Dawniej, gdy Jankiel jeszcze w Zarzeczcu mieszkał, jeździł zazwyczaj biedką, którą ciągnął znany nam już bucefał, ślepy kasztanek, ów waryat, co raz o mało swego chlebobdawcy życia nie pozbawił.

Dziś zmieniły się czasy; kasztanka waryata dawno już psy zjadły na błoniu, a biedka ani zdrowiu, ani sytuacji społecznej Jankla nie odpowiadała. Dziś podróż na tak niewygodnym siedzeniu sprawiałaby panu Janklowi dotkliwe ściskania w sercu, a przecież mąż ten nawet w roku zeszłym do Karlsbadu jeździł, wody pił, a ile go to kosztowało !? Jankiel nie bez pewnej dumy wspominał o tym wydatku, a do rozmowy wzmianki o szczegółach owej kuracyjnej wycieczki wtrącać lubił. Gdy stangret, a zarazem pisarz od różnych interesów „Michel, zajął się kompletowaniem licznych śrubek i rzemiemi, których przy ekwipażu brakowało, pan Jankiel zasiadł do śniadania i rozmyślał, w jaki sposób powracającego po tak długiej nieobecności powitać. Układał on sobie w myśli mówkę krótką, ale serdeczną, która wyraziłaby nie tylko indywidualną radość Jankla, ale uciachę całego miasteczka z powrotu tak godnej i szlachetnej osoby, a zarazem nadzieję, że przy dobrem zdrowiu i bardzo długim życiu, wzajemne stosunki ułożą się

harmonijnie i zgodnie, a system dawnego rządcy ulegnie tyle pożądanej dla obu stron reformie. Tak jak dziś jest, to do niczego niepodobne, tak się nigdy nie praktykowało i zapewne na przyszłość praktykować nie będzie. Bo i do czego to prowadzi ? Nawet zboża nie umieli sprzedawać za dawnego systemu. Niewiadomo było, jaki żyd kupił? kiedy kupił? czy ku

pił? tylko nagle, ni z tego ni z owego, włożyli worki na wozy, odesłali na kolej — i po wszystkim! Co to porządnie jest? Czy to kiedy panowie, godne osoby, w ten sposób interesa prowadzą ? Wolno było tamtemu, jako rządcy, podczas nieobecności właściciela, głupstwa robić, bo go nikt nie kontrolował, nikt mu w tej czynności nic przeszkadzał!, ale gdy sam dziedzic rządy objął, to mu się kompromitować nie wypada, to musi już robić tak, jak inni bardzo godni i porządni panowie...

Długo tak rozmyślał Jankiel, brodę gładził i plan bardzo przekonującej mówki układał; potem wstał, przybrał się w szaty odświętne, nową czapkę włożył i przechadzać się zaczął po stancyi, snując różne plany i kombinacje — a były one widocznie liczne i różnorodne, bo na fizyonomii Jankla różne też malowały się wrażenia. To uśmiechał się ironicznie i szyderczo, to zamyślał poważnie, to znów z gestem niecierpliwości skrobał się po głowie.

Wreszcie na nierównym bruku turkot się jakiś zrobił; po charakterystycznym klekotaniu i brzęku różnorodnego żelastwa, pan Pacanower pozna! swój własny ekwipaż.

Ekwipaż pana Jankla istotnie przed gankiem stanął.

Ryła to najtyczanka na resorach, bardzo starożytnego fasonu, ongi podobność żółta, lecz dziś już nieokreślonej barwy. Z poobdzieranych jej boków

niedyskretnie wyglądała słoma, a złamany stopień do wsiadania był przywiązany postronkiem.

Archeologiczny ów okaz nabył pan Pacanower na licytacji po jakimś eksmitowanym dzierżawcy; ztamtąd też pochodziły i stare szory angielskie, w którą ustrojoną była para koni, dobrze w całym miasteczku a nawet i okolicy, znana. Jeden z nich był ogromnego wzrostu, ranżer kawaleryjski, który, pomimo lat podeszłych, fantazyi nic tracił i zawsze łeb nosił wysoko, druga zaś mała szkapina z zapadłymi bokami i głową spuszczoną ku ziemi.

Pan Jankiel w odświętne szaty ubrany, fajkę porcelanową na giętym cybuchu zapalił i na bryczce z powagą zasiadł. Michel biczem kilkakrotnie szkapy uderzył i ekwipaż z brzękiem i klekotaniem potoczył się po nierównym bruku miasteczka.

Nie będziemy towarzyszyli szanownemu finansście w tej podróży, tembardziej, że zanim do Zarzecza dojedzie, jeszcze po drodze kilka interesów załatwić musi — a natomiast wyprzedzimy go i zajrzymy do znajomego dworku, w którym łzy i westchnienia ustąpiły radości, w którym teraz tak gwarno i wesoło.

Zdaje się, że wszystkie czarne chwile już pogrzebane zostały, a natomiast zajaśniała jutrzienka nowego i lepszego życia.

Co prawda, próżnem byłoby usiłowaniem kusić się o dokładny opis sceny powrotu i powitania po nieobecności tak długiej. W pierwszej chwili milczały usta, mówiły tylko łzy i uściśnienia serde

czne. Ale takie łzy schną szybko i po nich zazwyczaj następuje grad pytań krótkich, urywanych, tych pytań, któreby dziejów lat całych od razu dobadać się chciały — odpowiedzi, pragnących te dzieje w kilku wyrazach zawrzeć.

Pan Karol uszczęśliwiony, spoglądał to na żonę, w której pięknych oczach dawniejsze odnajdywał blaski, to na córkę znowu, co z małego dziecka, niewiadomo kiedy, na tak dorodną pannę wyrosła...

Marcin stary też przybiegł i głośnym płaczem panicza powitał, ludzie z folwarku się zesłi, chłopci z bliższych chat przybyli, tak że chwilowo robota nawet ustała, bo każdy się do dworu cisnął, aby tak dawno oczekiwanego powitać.

Pan Karol, pod względem powierzchowności nie zmienił się bardzo. Zmężniał tylko nieco, spoważniał, czoło stało się wyższem, a blond włosy jakby jaśniejszej barwy nabrały.

Duże, siwe oczy, spoglądały otwarcie i szczerze, jak dawniej, a gdy się ku żonie lub córce zwracały, to w tem spojrzeniu malowały się radość i szczęście.

Była to chwila poobiednia. Helenka do swego pokoiku pobiegła i do pisania się wzięła, ażeby jak najprędzej z bratem i siostrą podzielić się radosną wiadomością, pan Karol zaś, jedyną swoją rękę żonie podał i do ogrodu z nią wyszedł.

Ileż wspomnień łączyło się z tym ogrodem I Cienisty, chłodny szpaler lipowy, słyszał niegdyś ciche szepty miłosne dwojga młodych, szczęśliwych, kochających się istot... tu także rozlegał się dźwięczny śmiech dzieci, a później to wszystko ucichło, ucichło na długo, i tylko westchnieniom osamotnionej, wtórował szmer liści, przez wiatr trącanych...

Dziś. po latach smutnych, a więc długich podwójnie, lipy znowu mają usłyszeć szept cichy, niedomówione wyrazy, które pocałunek w połowie przerywa... Usiedli na ławce, on białą rękę jej pięści, ona głowę na jego ramieniu wsparła i upojona radością, szczęśliwa, wsłuchuje się w dźwięk jego wyrazów, w których brzmi miłość i wdzięczność. Czyż nie należy jej się to słusznie za wytrwałość, za pracę, za staranne wychowanie dzieci? Więc też dziękuje jej słowem, spojrzeniem, uściśnieniem dłoni, dziękuje i nie widzi, że słońce ku zachodowi się schyla, że wielka jego tarcza już się obsunęła tak nisko, że z ciekawością w szpaler zagląda i po pod sklepienie zielone lip rzuca ogromny snop promieni czerwonawozłotych.

W szczęściu tak szybko upływają chwile, jakby je czas skrzydłami obdarzył.

Jeszcze jeden uścisk i jeszcze jeden i jeszcze... po ostatnim następuje ostatni, a potem cały szereg pierwszych znowu.

Ręka szuka ukochanej dłoni do uścisku, pierś szybciej faluje, a w żrenicach drga promień miłości.

Spóźnione to może... lecz i na jesieni bywają dni słoneczne — i październik nawet uśmiecha się czasem do ziemi...

W takich chwilach fijołki kwitną powtórnie i bledniejąca trawka zieleńszcj barwy nabiera...

Mrok już zapadał, w ogrodzie odzywały się słowiki, młodziutki księżyc, jak sierp wygięty, zdawał się płynąć po obłokach i gonić za chmurkami białymi.

Państwo Karolowie powracali do dworku przez ów szpaler lipowy, cichy, tajemniczy, na wpół ciemny już teraz.

Na spotkanie ich wybiegła Helenka. Już napisała listy do rodzeństwa, już uprosiła Marcina, aby je natychmiast na pocztę odesłał, a teraz spieszy do rodziców. Spotyka ich razem, rzuca się ojcu na szyję, szczebiocze do niego, to znowu ręce matki całuje, zapewnia, że dzień dzisiejszy to najszcześniejszy w jej życiu. Żałuje tylko, że Janek i Władzia tego szczęścia nie dzielą.

Wszyscy troje zbliżają się ku dworkowi. Tam Marcin czeka już z raportem, z kluczami, z żądaniem dyspozycji na jutro. Zamówił się dziad tylko temi interesami, a w gruncie rzeczy, chciał on się tylko z panem Karolem zobaczyć, wypytać go o historię wypadku utraty ręki, opowiedzieć, co się przez ten czas w Zarzeczcu działo, jak stary rządca gospodarował i jak umierał... Chciał się wygadać starowina o wszystkim, a tyle się przecież materiału zgromadziło po temu ...

Tymczasem na dziedzińcu turkot dał się słyszeć i psy ujadać zaczęły.

Ekwipaż pana Jankła zatrzymał się przed gankiem.

Jednocześnie, gdy państwo Karolowie z Helenką przez drzwi od ogrodu do dworku wchodzili, pan Jankiel w przedpokoju otrzepywał się z kurzu.

Sani gospodarz drzwi mu od pokoju otworzył i wejść poprosił.

— Kłaniam! bardzo kłaniam wielmożnego pana i winsiuje państwa z tego wielkiego radościów, co pan dobrodziej przyjechał do nas po tak długiego wojażu.

— A jak się masz, panie Jankiel? dziękuję, bardzo dziękuję za pamięć... siadaj pan, proszę, powiedz co tu u was słycać ?

— Uf! jestem bardzo sfatygowany, bo sobie okropnie strzęsiułem. Jak tylko nasze żydki powiedzieli co wielmożny pan przyjechał! to ja zara kazałem zaprzęgać mojemu furmanowi moje pare koni do moje bryczkę na resorach i leciałem tu jak parowa maszyna, żeby wielmożnego pana powitacz.

— To już widzieliście żem przyjechał? zkąd?

— Co my nie wiemy?! to jedno; a po drugie, co my wielmożnemu panu tak wglądali... tak prosili Pana Boga, żeby się pan psiewrócił do nas jak najprędzej...

— Niepodobna?

— Oj, oj! żeby ja tak nieścieście nie miałem, jak u nas było całe nabożeństwo do tego interesu ...

— Za mnie?

— Ny, co wielmożny pan miśli, że zidy to wrogi ? uni tak pana kochają... tak kochają, co ja nawet nie umiem tego opowiedzieć.

— Nie zasłużyłem, mój panie Janklu, nie zasłużyłem na to.

— To bajki, proszę wielmożnego pana, to jeszcze można... odsłużyć.

— No i jakżeż tam przez te długie lata żyjecie ? panic Janklu.

— Oj! takie życie! niech Bóg zabroni! niech nasze wrogi takie życie nie mają!

— Dla czego?

— Dla czego ? ja wielmożnego pana co powiem: bez ten czas to cała okoliczność przewracała sobie do góry z nogami! Co było dobre panowie, to skapcaniało; a co sze ostało, to już nie jest dobre. Cósz jest jakiś czas bardzo paskudne... szlachta sze odmieniła, nie poznać!

— Pod jakim względem?

— Pod kuźdego względ. Dawno to było całkiem insze procedurę. Byli panowie bogate, z pełnem giębem panowie. Prawda, co uni ksikneli: ej ty żydzie! Mordka! Czy Srani! idź tam! psinieś to! trocha po grubiańsku nawet, ale mieli mietkiego serca, dali zidkowi żyć. I to bardzo porządnie była.

— A dziś?

— A dziś? proszę wielmożnego pana, co to jest dziś? Czy to szwiat jest? czy to życie jest? Przyjdzie żydek do dworu, to szlachcic bardzo z

wielgiem delikatnoszczem: — panie Jankiel, panie Szmul, każe jemu szadać na ksiesło

— To właśnie dobrze, to grzecznie.

— Proszę pana, co z tego szedzenie, jak nie ma jedzenie? Un mi każe szadać, un mi mówi panie, a jak przyjdzie do interesu, to un jest takie twarde jak gnat, co jemu i z psieproszaniem wielmożnego pana, nawet pies nie ukąsi. Przy takim politykiem to cała zguba jest!

Rozśmiał się pan Karol — a Jankiel dalej rzecz swoją prowadził:

— Prawdziwe ślachtę — mówił — mało już gdzie tera jest; co było najlepsze, to spiedali ich na licytację za bardzo kiepskie pieniądze; a co sze ostało, to niech Bóg zabroni! sama bieda! a te drugie co jest, te nowotne, to jest takie ludzie, co sze przy nich nikt nie dorobi. Ny, choć przez urazy wielmożnego pana, ten stary rządca, co był tu, co już umarł, to un co dobrego zrobił ?

— Wszystko jak najlepiej, mój panie Janklu, majątek utrzymał, z długów oczyścił, gospodarował dobrze, czegoż pan chcesz więcej ?

— A dla czego un taki mądry był? bo pół majątku między chłopcy poprzedał! wielkie mecyje! cieszył sobie co mu się ostało kołnierz i z rękawami, jak sprzedał prawie całe kapotę!..

— Więc cóż miał zrobić?

— Żeby się nas trzymał... My chcieli jemu dać pieniędzy, my jemu już dawali. Un nie chciał! un wolał tyle gruntu zmarnować! Un młyn popsuł, un propinacyjów popsuł, un pacht popsuł! a greczny, bardzo greczny był! każdego żydka mówił panie . Jak un gadał! jak gadał! un gadał jak z miodem — ale do interesu to był jak z pieprzem. Kto co od niego zjadł,

to miał bardzo gorzko w gbie. Zborzie to un chciał na warsiawskie cenę psiedawać! Czy wielmożny pan słuchał kiedy takie hece?

— Widzisz, panie Janklu, bieda rozumu uczy, rachować trzeba, kto tyle już przeszedł...

— Co psieszedł, psieszedł, wielgie rzeczy! i my psiechodzowali, a diu tego takie zidy jesteśmy jak dawno... przez żadne dyferencye.

— Przechodziliście także ?

— Oj oj! wielmożny panie — i jak jeszcze!

— I pan, panie Janklu? co prawda, nie pamiętam żebym co słyszał o tem.

— Pan nie słuchał, bo pan sobie pojechał; ale ja pana co powiem: że nawet ten psiechodzodzowany trzewik, co już tak psiechodzowany, że sze z niego tylko same dziurów ostało, jeszcze tego nie psiechodził, co ja psiechodziłem!

— Nie może być!!

— Tak jest, nawet, proszę wielmożnego pana, nie tak ja sani psiechodziłem, jak uno po mnie

chodziło, jak dziś sobie psipomnę, to jeszcze mi idzie... mróz na pleców!

— No proszę, ale powiedz mi, panie Janklu, kiedy to było? jak? bo o ile wiem, siedziałeś przecię spokojnie w Zarzeczcu.

Na ustach pani Karolowej pojawił się uśmiech przelotny.

— Co o tem wspominać?! proszę wielmożnego pana, to było pfe! to grubiaństwo było, rozbójstwo!

— Ależ przecię... zaciekawiony jestem bardzo.

— Ny, to ja pana powiem: to było czas bardzo paskudne... nikt nie mógł zmiarkować na wieczór, jaki się jemu rano może psipadek zrobić.

— Tak, to prawda, to prawda...

— Nawet ja pana powiem, co moja zioną miała takie dżywne ciucie od Pana Boga; ja pamiętam co w tego dnia, to w piątek było, una mówiła do mnie, coby ja nie jechał do miasto. Una prosiła mnie, nawet z psieproszeniem honoru wielmożnego państwa, głaszczyła mnie za brodę i mówiła: słuchaj ty, moje Jankiel, nie jedź ty mój kichaneczku do miasta, bo mnie sze zdaje, co tam sze czebie cós złego psitrafi.

— I pan nie posłuchałeś tej rady?

— Cós ja miałem słuchać, kiedy mnie tam trzeba było odebrać od Fiszla pieniędzy?

— No, ale to do historyi przejść pańskich nie prowadzi.

— Oj wazprowadziło mnie uno, zaprowadziło w takie paskudne miejsce, co niech ja jego już więcej nigdy nie oglądam!., ale niech wielmożny pan posłucha, jak sze to całe nieszczęście zrobiało. Pan wie, co to było takie paskudne czas, co każdy musiał sobie poszwiecić ...

— Wiec i pan, panie Jankiel?

— Ny, co pan chce, wsistkie sobie poszwiećili, to i ja nie mogłem ostawać sze w tyłu...

— A cóżeś pan robił ?

— Ja? ja dostawiłem zborzia dla wojsko! Uni tu stojali w miasteczku; antelemie było i dragonów, a ten ciarny Fiszel, wielgi kupiec w te czasów, un był za główny podrajczik! Oj, zięby ja tyle ścieścia miałem, wiele un ciećwierów jednego owsa dostawiul! Tymciasem jemu psistawiah zborzie i drugie zidki, clasem i ja, buwało, kupowałem od chłopy wiela? dwadzieścia, trzydzieści korcy owies... to Fiszel zaraz wsistkich zabierał.

— Jednak robiłeś pan na tem dobre interesa?

— Na owies, to może bić — ale na zito to ja zrobiłem interes! — aj sy git interes! niech moje wrogi dużo takich interesów zrobią! Wie pan dobrodziej, jak to było takie zawieruchę, takie głupstwo — to trudno miałem szukać ziarno co samo celne jest i suche, tymczasem u pana Pękalskiego, co trzymał w Wywrotkach dzierzawę, zdybiało się może sześćdziesiąt korcy takie zito, co było het zrosnięte i mokre, aż sze uno samo ruchało — to

ja kupiałem jego, tak na oko, całe partyje za jedne sto rubli.

— I cóż panu ztąd przyszło ?

— Ja jemu kazałem krzynekę przesuszyć i odstawiłem dla Fiszla, a un oddał dla te dragony. Pamięta wielmożny pan te dragony, co niesili białe lampasów na kaśkiety?

— Pamiętam, pamiętam.

— Wszystkoby było bajki, zięby nie ich pułkownik; pewnie pan dobrodziej wie, taki wielgi buł, z wąsami, co jemu siedzieli przy nos — jak dwa miotłów! To, panie, buł bardzo gwałtowny człowiek I i zły jak całe wilk, może jeszcze gorsze nawet...

— Wiec zapewne nie przyjął tego żyta?

— To, widzi pan, było takie mechanikę, co un sam tego żyto nie widział, tylko że ciasem to un lubił mieć swego fanaberyjów...

— Fanaberye ?

— Ny tak. Napsikład, raz to sze jemu zachciewało jeść żołdackiego chleba. Słuchał pan, co sze jemu zachciewało?! To nawet nic pasowało na takie osobę... z takim wielgiem rangiem i honorem, żeby jeszcz

ordynarne chleb, no, ale on miał swoje fanaberyjów, jak un ksiknął: chleba! to zara sam wachmistrz poleciał i przyniesił jemu tego chleba. Akuratnie un buł z moje zito.

— I zapewne nie bardzo smaczny ? — Ny, dla takie chłopska gebe. jak sołdaty mają, to na co ma być lepszego? ale na pułko

wnika, to un naprawdę troche kiepskie buł. Jak un wziął jeno w zęby kawałek, tak zaczął pluć i bardzo hałas wielgi zrobiu! Sprowadzili tego sołdata co za piekarz jest, przymesili mąkę, przyniesili mojego żyta. Zrobiło się wielgiego giewału, a ten pułkownik to tak krzyczał, tak krzyczał, co ai wsistkie sołdaty frybre trzesiu! Jak un sze już wyaapiu!, wydychał od tej złośczy, tak powiedział do sołdatów, coby jemu pristawili podrajczika — w mig! Uni polecieli, tymczasem Fiszla nie buło, bo pojechał za zborziem, a ja akurat psijechałem w te chwile do miasto. Tak Fiszlowa powiada — ny, na co wam Fiszla? jest Jankiel — un takie podrajczik. Ja nie chciałem iść, ale jak mnie trzy dragony złapili za kołnierz, to leciałem jak ptak.

— Spodziewam się.

— Ny, a co wielmożny pan miszli? czy ja miałem bić się z nimi?! przecie taki dragon to jest chłop, grubijan, może człowiekowi, broń Boże, rękę złomić! Wiec tymczasem uni psiprowadzili mnie do pułkownika...

— Pewnie dobrze nakrzyczał na pana, panie Janklu ?

— Niech Bóg zabroni! Un sobie już całkiem wyaapiu!, już nie miał żadnej złośczy. Pił sobie harbatę. Ja jemu pokłoniłem się grzecznie, delikatnie... un kiwnął z głowem i powiada: — a jak się macie podrajczik? wy

porządny kupiec, wy ładnego zborzia psistawili. To ja się znowu kłaniałem do niego i gadałem, co w każde chwyle moge z wiel

giem akuratnoszczem, dla takie porządne wojsko i dla takie godne kunie, zito i owies psistawić... Un to słuchał, kiwał z głowem i powiada: da, da, wy jesteście bardzo dobre kupiec. .. wam jeszcze za tego zito należy się reszta... Ja mówiałem, co Bogu dzięki, Fiszle mnie wsistko zapłacił i co nie mam ziadne a ziadne pretensyów. Un rozeszmiął się bardzo brzydki i jak ksiknął: Wziąć jego na koniusznie! to nawet nie miałem czasu ksiknąć aj waj.! jak mnie te grubijany tam zaniesili!...

— Domyślam się jakiejś przykrej dla pana awantury.

— Tak, uno było troche psikre. Mnie dali za tego zito resztę... niedużo i niemało — same porcy — jedne sto!! Co to panie za cias był paskudny ! bez sprawę, bez apelacye, bez sąd! To pfe było! grubiaństwo!

Skrziwdzone bułem; miałem w żupanie z tyłu bardzo porządne porcynclowe fajkę, od samego Gdańska, to co pan dobrodźyż powie? całe te fajkę to uni mi potłukli na drobny mak!

— Ale właściwie to Fiszla powinno było spotkać; pan cierpiał za niego

— i on też zapewne wynagrodził panu tę krzywdę ?

— Ny, ny, niech jego... on mi dał żydowską nagrodę! tyle co mi fajkę odkupił, a całe miasto to sobie trzęsiuło od szmichu, zastępcem mnie zidy nazywali.

Pan Karol minę poważną zrobił, bo mu nie wypadało przecież śmiać się z tej przygody Jankłowej.

— Ny, tera to niech sam pan dobrodziej powie — i W swoje delikatne głowę wymiarkuje, jakie jest na szwiecie wdzięczność?

— Jakto?

— Ny, my czerpili, my sobie poszwięcili, a tera, jak trocha lepsze cias jest, to co my z tego interesu mamy ?

— Nie rozumiem pana.

— Dżywuje sze bardzo co pan nie rozumię!. Tera właśnie szlachta toby chciała żyć przez nasze pomoc... Niech pan dobrodziej napsikład obaczy całe swoje majątek! Ma pan krowów, jest karcznię, jest młyn — a gdzie żid? żida nie ma... Jemu wypędzili — a dla czego jemu wypędzili? bo un brat, un wielgie czerpienie miał, un sobie na głupstwo naraził... za to trzeba jemu odsunąć! trzeba tak kuźde rzecz w garści szczysnąć, żeby un nawet kawałek te głupie propinacye nic powąchał! Trza tak wsistko zgniścić, zduszyć, żeby my całkiem życie nie mieii! To jest git interes! to jest myłoszerdzie! to ludzkoszcz jest! Jak tak wsistkie panowie będą robili, to gdzie my pójdziemy?

— Ależ, mój panie Jankiel, moge naprzykład pana zapewnić, że jak pański syn będzie doktorem, to go każdy z nas wezwie i da mu zarobek uczciwy...

— No to co? to wsistkie židy mają doktorziami być? a kto będzie chorował?

— Niekoniecznie — dia czego nie mają być kowalami, rymarzami, dla czego nic mają wyrabiać wozów, maszyn ?

— Ny, co z tego? czy to handel, czy to interes? czy od tego można mieć życie?

— Jeżeli im się to nie podoba, to niech rąbią drzewo, niech się ucą kosić, niech do żniwa idą, do sochy, niech kartofle kopią...

— Co wielmożny pan mówi ? pfe! czy to jest żydowski interes ? taka paskudna robota! czy to z tego może życie być?

— Jednak są ludzie, którzy z tego żyją.

— To nie židy, ale... z psieprosicnieni osoby wielmożnego pana, co tu długo gadać? ja chce panu dać za propinacye, za młyn, za krowów, trzydzieści procent więcej, niż te dzisiejsze dzierżawce, za dwa lata z góry gotówką płacę!

Pan Karol się zamyślił.

— Nie, panie Jankiel — rzekł po chwili — nie zgodzę się na to, nic moge ruszać ludzi spokojnych, którzy osiedlili się już tutaj i pracują uczciwie.

— To jest pańskie ostatnie słowo? — zapytał wstając i biorąc czapkę do ręki.

— Najostatniejsze.

— Ny, to po co ja tu psijechałem?

— Z życzliwości przecież, jakeś pan sam mówił, powitać mnie...

— Powitacz? powitacz?! ny, niech i tak będzie — pfe! żeby to nasze dziadki widzieli, toby sobie do góry nogami psiewrócili... Kłaniam pana dobrodżeja, kłaniam pani. Os dy gesehen? — folwark przez žida, szwiat przez ludzie, dzień przez słońce!... Ładno ciasów jest!!!

Kiedy Jankiel na swej pięknej bryczce opuszczał Zarzecze, już cicha, pachnąca noc wiosenna zapadła.

We wsi migotały światełka, na niebie gwiazdy jaśniały, po nad łąkami i moczarami zaś wlokła się mgła blada, zmieniając się w różne fantastyczne kształty, niby obłok tuż po nad powierzchnią ziemi płynący.

Michel drzemał na koźle, Jankiel zaś milczał i rozmyślał, a tak się dalece w dumaniach swoich zagłębił, że nie spostrzegł nawet, iż porcelanowa fajka gdańska wysunęła mu się z ręki i trzęsła się a podskakiwała na dnie bryczki, zkad mogła bardzo łatwo wypaść na gościniec i stać się łupem jakiego przechodnia.

Utonął Jankiel w myślach poważnych i ciężkich; machinalnie podnosił rękę do głowy, odchyłał czapkę i tarł czoło z całej mocy, pragnąc może ten nawał myśli i kwestyj różnych rozproszyć.

Szary świt już był, gdy się bryczka ku miasteczku zbliżała. Można już było dostrzedz smukłą wieżyczkę kościoła i wielką, murowaną, żółtą synagogę, przy której jak pisklęta drobne przy kokoszy, tuliły się małe domki żydowskie, wpół

zapadłe, brudne, tonące w czarnych jak smoła kałużach.

Patrzył Jankiel zdala na miasteczko i trwogę jakąś uczuwał. Zdawało mu się, że ma sen przykry i że w tym śnie widzi, jak powoli, powoli, mieszkańcy tych domostw brudnych przestają beczynnie wygrzewać się na słońcu, jak jakaś niewidzialna, ale żelazna ręka, biczem konieczności uzbrojona, zapędza ich do pracy, wytrąca z rąk złotodajną kwaterkę i wagę fałszywą i łokieć za krótki, jak pustoszeją hedery... milknie szwargot... jednym słowem, śnił, że się świat przewraca, że się kończy już, że lada moment wielki lewiatan machnie ogonem i cała ta niekształtna bryła ziemi, z gruntami, woda, szlachtą, propinacją, chłopami i żydami, wyleci odrazu w powietrze...

Pod tem wrażeniem Jankiel przymykał powieki, czuł że jakiś chłodny dreszcz wstrząsa jego ciałem, że mu dziwnie smutno na duszy, że jakaś przykra mara go przygniata... Zdawało mu się, że cały ten świat, w którym urodził się, wychował, wzrósł, trzęsie się, niby most oparty na słupach zbutwiałych, w które coraz to nowa ława kry uderza.

Smutno, smutno było Janklowi. Żałował tego miasteczka z całym jego ustrojem, żał mu było hederów dusznych i niechlujstwa i brudu, żał mu było atmosfery próżniactwa i łatwych dorobków.

Czuł, że mu łzy do oczu się cisną, widział, że świat taki jest czarny, brzydki, smutny, szkaradny... Że już żyć chyba niewarto.

Wtem koło od bryczki gwałtownie uderzyło o kamień. Michel o mało I kozła nie spadł, a sam pan Jankiel, skutkiem niespodzianego wstrząśnienia, odrazu oczy otworzył.

W blaskach zarumienionej jutrzeńki ujrzał swoje ukochane miasteczko. Było ono równie brudne, równie brzydkie jak wczoraj. Rure kozy

przeglądały się w kałużach, w niektórych domach okiennice już otwierano, wróble grzebały w śmieciach, a szynkownie otwierały swe gościnne podwoje ...

Jankiel poznał, że był ofiarą snu przykrego, że wszystko dotychczas pozostało jak dawniej. Poprawił więc czapkę na głowie, uśmiechnął się szyderczo i rzekł zcicha, jak gdyby w odpowiedzi marom sennym; — Nie tak to prędko jeszcze...

IX.

Zbliża się czytelniku, chwila, w której opuścimy już Zarzecze i jego mieszkańców; lecz aby wykończyć ten obrazek, aby go mózdz ostatecznie zamknąć w ramki niewykwiłtne, proste i skromne, jak ciche życie wioskowe, należy jeszcze kilka szczegółów uzupełnić.

Przedewszystkiem zmieniło się tło samo. Na początku zabarwiał je blask słońca, co krwawiąc się na zachodzie, zapowiadało dzień wietrzny, chłodny, gotów rzucać deszczem i piaskiem w zmęczone i niewyspane oczy pracowników, złamanych na duchu i smutnych; — dziś zaś światło równiejsze jest, bardziej spokojne, a i samo tło obrazka, chociaż w szarych barwach się trzyma, nie ma jednak na sobie plam czarnych zupełnie. W spokojnem, złotawem świetle zachodzącego słońca, bieleje wioska z długim rzędem domów niskich o strzechach słomianych. Za wioską widać folwarczek porządny, ładnie zbudowany, czyściutki. Łąka pstrzy się milionami kwiatów, rzeka srebrem się przelewa, na pracowicie uprawnych łąkach gęste, zwarte ściany zboża falują, kołysane łagodnem tchnieniem wiatru. Z oddalenia widać wieżyczkę kościelną, na której

złożony krzyż jaśniej, z wieżyczki dochodzi odgłos wieczornego dzwonu.

Zresztą cicho, spokojnie — a nic jest to już martwa, głucha cisza, co na cmentarzach mieszka, ale raczej cisza towarzysząca pracy i skupieniu ducha. Taki spokój bywa w głębiach lasów, o ile go łoskot burz nie przerywa. Drzewa milczą i rosną powoli, a każdy rok dorzuca im nowe słoje, rozwija konary i korzenie bardziej w głąb ziemi zapuszcza.

Z osób w tym obrazku naszkicowanych, zabrakło nam jednej — zacnego, starego żmujdzina. Nie zapomniano jednak o nim. Na ubogim cmen

tarzu w Dziundziskach, na grobie Dyrdejki, postawiono piękny krzyż żelazny i zasadzono kilka wierzb płaczących. Nie mógł mieć stosowniejszego pomnika.

Żelazo było najwłaściwszym symbolem tego charakteru dzielnego i serca. Na krzyżu znajdował się napis skromny — a młodziutkie wierzby szumiały gałązkami nad grobem.

Lecz opuśćmy cmentarze i umarłych — ci niech odpoczywają w spokoju, którego może nigdy nie zaznali podczas doczesnej pielgrzymki — a pójdźmy natomiast między żywych, pójdźmy tam, gdzie młodość do nadziei, a starość do wspomnień się uśmiecha.

W dworku zarzeckim gwarno jest dzisiaj i ludno. Szczery, wesoły śmiech, którym tylko młodość niezwarzona przedwcześnie, rozśmiać się umie, rozlega się tu, pod dachem niskim.

Dzieci państwa Karolów zjechały się razem. Wszystkie są w domu — a jakże niepodobne do tych, któreśmy na początku niniejszego opowiadania poznali.

Helenkę już znamy jako piękną, dorosłą pannę, Władzia wesoła i figlarna jak zawsze, również powróciła do domu i długą sukienkę już przywdziała. Janek między siostrami rej wodził. Agronom to już był przecież, wyższą szkołę rolniczą ukończył i tylko na czas krótki przyjechał do domu,

gdyż miał zamiar w Poznańskie, do pewnego wzorowego majątku na praktykę pojechać. Czas obecny to wakacje dla niego, wypoczynek krótki. Znaczną jednak część chwil wolnych poświęca ojcu. Po folwarku z nim chodzi, w pole jeździ, o zawodzie swym przyszłym rozmawia. Wieczorem za to jest dla matki i pięknych siostrzyczek, które kocha tak bardzo. Tak im wszystkim spokojnie, tak dobrze w tym zaciszu domowym, w tej wiosce cichej, miłej, co się w cieniu lip starych i ogrodów kryje...

Ojciec i matka z pewną dumą spoglądają na te młodzież hożą, cieszą się, widząc dzieci zgromadzone razem, a chwile tej uciechy policzone już są, bo Janek niebawem za chlebem w świat pójdzie, a panienki, tylko patrzeć, jak dom opuszcza.

Helenka nawet już teraz zamyśla się często i roztargnioną bywa, gdyż do Zarzecza przyjeżdża młody człowiek z sąsiedztwa i jest bardzo dobrze przez państwa Karolów widziany. Oświadczy się niezawodnie i nic dostanie odmowy, nie dostanie z pewnością; Helenka musi o tem coś wiedzieć, gdyż się rumieni i gniewa na Władzię, która figlarna jak zawsze, z jej zamyślenia, z jej smutków przelotnych się śmieje,.

I Władzia również długo nie posiedzi w domu. Ładna i dobra dziewczyna podobać się musi, a gdy się w towarzystwie znajdzie, to niejedne oczy gonią za nią uparcie.

Rodzicom, gdy już samotni zostaną, gdy czas coraz szcudrzej głowy im
posrebrzy, pozostanie

tylko prócz pracy, do której przywykli, wspomnienie i kominek — no, i
czasem dziecinny szczebiot wnuków, ta może najmilsza nagroda, jaką
człowiek po spełnieniu obowiązków względem dzieci otrzymuje.
Państwu Karolom w osamotnieniu towarzyszyć będzie stary Marcin, ten
chłop srebrnowłosy, taki podeszły w lata, a jednak rzeźki jeszcze i zdrów.
Tyle się przecież sochy w swoim życiu nadzwigał, tyle ciężką siekierą i
cepami namachał. tyle niewygód użył, a jednak trzyma się jeszcze dzielnie
i wielu młodszych od siebie pochował.
Pogrzebał też i babinę swoją, z którą co najmniej pół wieku zgodnie
przeżył, bo chociaż, gdy się przy czym uparła, przeperśwadował jej co po
swojemu, niemniej jednak to na harmonie ich pożycia nia wpływało i
uważanem było jako rzecz zwyczajna, jako wrażenie, które od czasu do
czasu urozmaicało jednostajność życia.
Po stracie swej kobieciny, Marcin jeszcze bardziej przywiązał się do
dworku i do państwa Karolów, nawet nie codzień na wieś zagładał. Miał
wprawdzie syna i córkę i kilkoro wnucząt jasnowłosych, pyzatyh, ale i
zięć i synowa niebardzo mu się udali — więc też dość zdaleka się trzymał.
Wnuczkom, ile razy do miasta jeździł, zawsze obwarzanków przywoził,
ale im czasu wiele nie poświęcał. Czasem tylko, w niedzielę wieczorem,
na wzgórek pod krzyż przychodził, i zwabiwszy

dzieciaki do siebie, pacierza je uczy — i na tem kończył się jego z najbliższą rodziną stosunek.

W folwarku za to był jak u siebie, cieszył się każdym powodzeniem, martwił suszą, lub deszczem nie w porę, a gdy co do pana Karola o gospodarstwie mówił, to pola, inwentarz, zboże nieinaczcy jak nasze nazywał.

Dzieci bardzo tez kochał. Kiedyś przypomniał Władzi moranse dawne i śmiał się dziadowina Z panienki.

— Dyc ja wdowiec tera jezdem — mówił — ksiądz da ślub przez ambarasu i chwestyi; kiej mie panna Władziunia popierwej chciała, to jo moge tera we cwartek przyjsć w zaloty, a w sobotę zara na zapowiedzie zaniosę. Słówko się zekło, panienko, a tera, chcący nie chcący, trza za pannę młodą być...

Władzia się śmiała.

— Mój Marcinie — mówiła — wprawdzie zrobiłam wam zawód, ale wynagrodzę to — zamiast mojej ręki, dostaniecie za to kolońskiej wody do tabaki — zgoda?

— A juści, lepsy rydz niżli nic, a od złego dłużnika to trza brać i łyka, jak to ludzie powiadają — zaś pachniąca tabaka to pono juz dla starego najlepsze wesiele.

I delectował się stary ową tabaką pachniącą, a gdy Władzia odeszła, mówił do pana Karola.

— Mój Boze miłosierny, jak to porosło prędko, na pociechę wielmożnych państwa...

— Tak, tak Marcinie, czas idzie.

— Przez urazy, co wielmożny pon casu widzioł ? kzynke jeno; ale ja jesce nieboscyka pamietom i wielmożnego pana jak maluśkim dzieciokiem jesce był — i te dziatunki pańskie, z nieboscykiem rządca, niech se ta odpocywa z Bogiem, tośmy na rękach nosili... Tyla ludzi się przewinęło, jedne pomerli, drugie posiwieli, jense porośli, a cłek oto zyje i zyje, jak to stare gruscysko na miedzy, co ją co roku chłop sochą zawadzi, a ona se zawdy jak stojąca tak stoi...

— Jak stara grusza na miedzy? ha, poczęści to i prawda, mój Marcinie.

— Bo i juści ze nie co jeno sprawiedliwa prawda, wielmożny panie.

— A wieszże ty, na co Pan Bóg ludziom niektórym, dobrym zwłaszcza, takie długie życie daje ?

— A chtoby ta woię Boską mógł przeniknąć, chto ją zgadnie ?

— Domyślać się można. Widzisz bo, mój bracie, tam daleko cmentarz... krzyże na nim stoją i trawa na mogiłach porasta — a tu ot, wioska i życie, w każdej prawie chałupie kolebka.

— A juści je, mało nie w kuzdej izbie, a w drugiej to i ze dwie się zdybie.

— Wiec pomiędzy kolebką a cmentarzem starość jest, która te dwie tak sprzeczne rzeczy łączy i jak nić wiąże je ze sobą.

— Jak mić? — zapytał chłop zdziwiony — a bez co taka mić je? nie moge se jakoś pomiarkować tego dokumentnie.

— Posłuchaj, wytłómaczę ci, kiedyśmy się rozgadali o tem. Powiedźżeż, kto młodego nauczy?

— Dyć stary...

— Kto mu powie, co się tu działo dawniej, jak ludzie żyli, pracowali, cierpieli?

— Juści ze stary, on jeno moze se takie dawne historyje spamiętać.

— Widzisz więc, starość powinna być nauczycielka młodości, powinna czas dzisiejszy z dawnym łączyć — i dla tego to jest ona niby nić, łącząca to co już było z tem co jest obecnie...

teraz zrozumiałeś, Marcinie?

— Dyć tak to je, wielmożny panie, sprawiedliwie, zawdy my stare musimy młodych uczyć, bo przez tego toby się tak to wszycko rozwydrzyło, zeby na to mówiący — kijem do kościoła i do roboty nie nagnał.

Długo na ten temat gwarzył pan Karol z Marcinem, bo też stary ten chłop, będący niejako patriarchy swej wioski, nietylko nicią tradycyi łączył z przeszłością terażniejszość, ale był także nicią, która wszystkie chaty z dworem łączyła, wpływem swym dopomógł niemało do ułożenia stosunków sąsiedzkich, w sposób dla obu stron bardzo pożądany. A jednak nie było to tak łatwera jak się zdaje. Nurtowały między ludźmi różne prądy, jak to się powszechnie po naszych wioskach

działo, a i dzieje jeszcze; lecz odwracał je zawsze skutecznie wpływ Marcina, którego słuchano i szanowano we wsi.

Pan Karol, jakkolwiek obecny stan majątkowy pozwalał mu na większe wydatki, jednak ani rządcy. ani ekonoma nie trzymał, sam te obowiązki spełniał, tylko Marcin w dozorze go wyręczał, a pani Karolowa, lub Helenka, rachunki prowadziły, gdyż brak prawej ręki nie pozwalała kalece piśmiennym oddawać się zajęciom.

Oboje państwo prawie ciągle w domu przebywali, w sąsiedztwo nie jeździli często, bo i kółko sąsiadów dawnych, z którymi łączyły ich stosunki zażyłości, pokrewieństwa lub powinowactwa, przerzedziło się znacznie. Jedni na bruk miejski poszli biedę klepać i szamotać się z losem przeciwnym, aby zdobyć kawałek powszedniego chleba; inni. zamożniejsi, nie chcieli prowadzić gospodarstwa w warunkach zmienionych a cięższych, więc pozamieniali ziemię na kapitały, lub na domy w miastach i — wegetują beczynnie.

Liczba dawnych dworów i dworków zmniejszyła się. zmaląła; z niejednego folwarku nie pozostało i śladu, a na miejscach, gdzie niegdyś bory gęste czerniły się zdaleka, dziś po gołym polu wiatr hula, lub też rozbija się o domki kolonistów niemców. W jednym dworze żyd siedzi, pachciarz dawny lub propinator, nie dbając o grunta i o gospodarstwo, resztki lasu niszczy i pustoszy; indziej zbogacony przedsiębiorca lub rzemieślnik, co sielanki

i życia wiejskiego zapragnął, topi zapracowane pieniądze, klnąc ziemię, z którą się zupełnie obchodzić nie umie; a są jeszcze i spekulanci, co na

handel majątki kupuj"ą, rok posiedzą, obniszczą i znów w inne ręce puszczają, byle grosz jakiś zarobić.

Takich folwarków jak Zarzecze, co przetrwały klęski i podźwignęły się z ruin o własnej sile, niewiele — ale też co prawda — i niewielu było takich ludzi jak Dyrdejko nieboszczyk, pracowitych, konsekwentnych, wytrwałych. To też owa garstka tych ocalonych weteranów niedoli trzyma się z sobą krzepko, złączona wspólnością tradycji, celów i przekonań — i żyje w swem kółeczku patryarchalnie. podawnemu, krzepi się nawzajem i wzmaga.

W tej właśnie sferze żyli i państwo Karolowie, z niej pochodzi ów gość w Zarzeczu częsty, na którego Helenka dobrem oczkiem spogląda, w tej sferze i Władzia na swojego trafi — i Janek kiedyś towarzyszkę znajdzie. Węzły przyjaźni i harmonii zacisną się mocniej, szereg bardziej zwartym, bardziej ściśniętym się stanie — i ugruntuje się braterstwo z krwi, z przekonań i z ducha, braterstwo pracy i zacności.

Słońce zaszło pogodnie, na niebie gwiazdy już jaśniejają, cichy wietrzyk szeleści listkami. Noc nastaje cicha, pachnąca. Gdzieniegdzie jeszcze we wsi światełko miga w chatach, a we dworku we wszystkich oknach jasno.

Przed gankiem bryczka stoi w trzy dzielne konie zaprzężona, gotowa do drogi.

Konie z niecierpliwością wędzidła gryzą i kopytami w ziemię uderzają, wąsaty stangret coś koło siedzenia poprawia, a służąca coraz to jakiś nowy pakuneczek do bryczki przynosi.

We dworku gwarno jakoś. Rozmowa ożywiona jest, wesoła prawie; panienki śmieją się i żartują, Janek dotrzymuje im placu, tylko matka jedna ogólnej wesołości nie dzieli i zamyśla się smętnie...

Biedne te matki! — tak często zamyślać się musza...

Zamyśliła się smętnie — i niedziw, syn odjeżdża! na długo, na kilka lat może.

Tak rzadko mogła swego jedynaka widywać; od czasu gdy mundurek szkolny przywdział, już gościem tylko bywał w domu, gościem jest i dziś i zawsze takim tylko dla niej będzie. Kiedyś rodzinę sobie znajdzie i jej już serce całkowicie odda, a matce tylko wspomnienia zostaną.

A jednak wychowała go, wypieściła, wykołysała na rękach swych własnych...

Taka to już dola matek na świecie!

Niedziw więc, że obecnie tak smutnie pani Karolowa spogląda, że oczy jej łzami zachodzą — całuje głowę syna i jeszcze go żegna i jeszcze raz i błogosławi na drogę.

Ojciec spokojniejszym się zdaje; jako mężczyzna, nie objawia uczuć swych łzami, lecz i jemu

smutno. Ścisła silnie dłoń synu i rady mu daje ojcowskie, przypomina O obowiązkach, o pracy.

Zbyteczne przypomnienie co prawda, bo chłopak dobry z gruntu, a matka i Dyrdejko stary dobre w niego zasady wpoili. Będzie człowiek z Janka, bo do pracy wciągnięty, w twardej szkole chowany — rozkoszy za młodu nie użył.

Dyrdejko zawsze mu życie w barwach szarych malował, zamiłowanie do pracy w niego wpajał, a w każdym niemal liście chłopca zachęcał, by o własnych siłach szedł, a na pomoc z domu się nie oglądał. Janek słuchał tej rady — i im wyżej w naukach postępował, tem mniej kosztował rodziców, a od lat kilku sam się już z własnej pracy a ciężkiej, bo z lekcyj, utrzymywał.

Wychowany w takiej szkole i teraz idzie między ludzi pracą kawałek chleba zdobywać.

W tej chwili właśnie już się z rodzicami żegna, a i siostrzyczki, co się tak śmiały wesoło, teraz, gdy już godzina odjazdu nadchodzi, rzucają mu się na szyję, z płaczem prawie.

Cała rodzina na ganek wyszła. Janek raz jeszcze skłonił się wszystkim, na bryczkę wskoczył, konie ruszyły, a ojciec, matka i siostry stali przed domem, dopóki bryczka nie zniknęła w zakręcie lipowej alei.

Noc była piękna, letnia, przezroczysta niemal. W łagodnym jej półcieniu i półświetle od gwiazd i księżyca, można było dostrzedz i wieżyczkę kościelną i rzekę szemrzącą tajemniczo, rzekę, której

Wody to ciemniejsze przybierały barwy, to mieniły się blaskami pożyczonemi z góry, od światel wiecznie jednemi szlakami dążących. Ze wzgórza okolicę całą widać było: — i topole wysokie przy ludzkich siedzibach, jak obeliski smukłe, i obracające się leniwie skrzydła wiatraków — a cały ten obraz, tak powszedni, a jednak tak szczególnie piękny, ujęty był w czarne ramy borów, otaczających wieńcem owo koło przestrzeni dla oka ludzkiego dostępne.

Janek spoglądał na te tak dobrze sobie znane widoki, nie bez tęsknoty pewnej. Oglądał się często po za siebie, czy nie dojrzy jeszcze światła migotających w oknach dworku.

Długo one błyszczały tej nocy — nikt bo jakoś do snu nie miał ochoty. I Marcin stary też nie spał. Pożegnawszy panicza, siadł na kamieniu i dumiał...

O czym rozmyślał, któż zgadnie? Przed oczami jego przesuwała się długa, bardzo długa panorama najrozmaitszych obrazów. Tu się w tej wiosce urodził, wychował, całe życie w niej spędził, tu kiedyś stare kości na spoczynek położy — szerszego świata nie zaznał, a jednak widział tak dużo! A gdy do tego doda to, co z ust ojców i dziadów słyszał, to mu się w myśli wysuwają dzieje całe tego małego zakątka — i zarazem wszystkich takich zakątków dzieje.

W długim paśmie tych wspomnień tyle rozmaitych barw było: — jasnych i ognistych, krwa

wych i czarnych jak rozpacz — i szarych jak ta biedna ziemia, po krócej stąpamy.

Mały zakątek, mała garstka ludzi — a wspomnień smutnych tak dużo — ileż więc ich świat cały posiada?

Zląkł się chłop widać tego pytania, które mu się uparcie do głowy cisnęło, wstał i powoli, ciężkim krokiem, powłókł się ku wsi.

Poszedł ku swojej dawnej chacie, na wzgórek, na którym stał krzyż poczerniały, z fundacyi jego rodziców. Staruszek to już był także, ale trzymał się jeszcze — umocniony, podparty.

Marcin czapkę zdjął, ukląkł na ziemi i w modlitwie zatonął.

Wiatr łagodny rozrzucał jego włosy srebrne, chwycił na swe skrzydła westchnienia i niósł je daleko... daleko.

Chłop półgłosem się modlił i można było w ciszy nocnej dosłyszeć oderwane wyrazy:

— Zmarłym wiecne odpocnienie... żywym Twoje wspomnienie, a tym, które cierpiące są i smutne — pocieszenie daj Panie...

Biegły w przestrzeń słowa serdecznej modlitwy prostaczej, a wtórowały im tajemnicze szmery uśpionej ziemi... te zagadkowe szepty, które tylko sercem odczuć i zrozumieć można...

Ł A C I A R Z.

Smutna noc jesienna ukołysała do snu szlachecką wioskę podlaską. Domki i stodoły utonęły w ciemności, niby w naczyniu olbrzymim, pełnym rzadkiego, rozwodnionego atramentu...

Z po za chmur ołowianych, ciężkich, czasem tylko, przelotnie, gdy wiatr silniejszy zawiał w górze, ukazała się gwiazdka drobna i zniknęła zaraz, jak ten co się pokryjomu przez granice przemyka...

Cisza była grobowa jakaś, uroczysta, światła pogasły, ludzie posnęli... tylko wicher hulający po polach porał się i borykał ze starą wierzbą rosochatą i odrywał z jej konarów połamanych i krzywych ostatnie listki pożółkłe...

Gruby pień tej schorzałej, w górnej części od pioruna rozdartej suchotnicy, był wypróchniały wewnątrz; z bocznych gałęzi rdzeń także już wypadł — i tym sposobem ze starej wierzby utworzył się jakiś flotrowers dziwaczny, z którego tchnienia wiatru kapryśne dobywały tony...

Z odległego boru dolatywały czasem przeciągłe, smutne wycia głodnych wilków i były one jedynym głosem rozlegającym się wśród tej ciemności i ciszy.

Ludzie posnęli snem twardym, kamiennym — tym właśnie snem bez marzeń i widziadeł — jaki jest udziałem ciężko pracujących rekami. Kto się sochy przez dzień cały nadźwiga, lub też cepem dobrze namacha — temu twarda ława nawet starczy za pościel wygodną — temu snu mógłby niejeden możny szczęśliwiec pozazdrościć.

Od kilku już godzin, bo koguty dawno północ obwieściły, Morfeusz samowładnie powiewał w wiosce szlacheckiej i wszyscy jej mieszkańcy

chrąpali tak rzetelnie, jak na prawdziwą, zagrodową, chociaż zawsze wojewodom równą, szlachtę przystoi.

Podczas tej szarej nocy jesiennej, w jednym z dworków na skraju wsi położonym, migotało blade, niepewne światło, a na szybach okienka rysował się cień człowieka pochylonego, zgiętego, wykonywającego wciąż ręką ruchy jednostajne, miarowe, automatyczne niby...

Któż czuwa we wsi o tak późnej godzinie? komuż przyszła dzika myśl palenia światła wśród nocy, która jest na to dana, aby się człowiek mógł wyspać? Zajrzyjmy tam do izby...

Jest ona duża dosyć, o dwóch małych okienkach. Na kominie skwiercząc i trzeszcząc tłą się dwie mokre szczapy brzożowe, po których korze białej przemknie od czasu do czasu płomyk blady, zatrzy

ma się na chwilę i cofa znów do swych rodziców, dwóch grubych głów rozżarzonych, zaczerpnie od nich sił świeżych i silniejszy już, już nawet Krwawym odbłaskiem bogaty, z nowym zapalem rzuca się na szczapę i coraz gorętszym pocałunkiem zdiera z niej skórę białą...

W drugim rogu izby stoi łóżko wielkie i dźwiga na sobie ogromną, kilimkiem w pasy wzorzyste, powleczone pierzynę... Z pod jednego jej rogu widać czepiec i część czerwonej jak cegła twarzy energicznej szlachcianki.

Pod kominem na garści słomy świeżej, chrapie prawa ręka gospodyni, przysadzista Brygida i widocznie ma jakieś sny idyllicznopasterskie, gdyż często czyni gest taki, jakby cudzy dobytek enerwypędzała ze szkody.

Na ławce pod ścianą rozciągnął się chłopak dwunastoletni może, najmłodszy już członek rodziny, głowę oparł na złożonym we czworo

kożuchu, ręce podłożył pod głowę i leży tak spokojnie i cicho, jak wtedy, kiedy letnią porą woły pasąc przededniein, w cichej kontemplacji przyglądał się gwiazdom wędrującym po niebie i tym szlakom mlecznym, po których, wedle podań ludowych, sami świeci chadzają i aniołowie. Sam pan Onufry, dziedzic tej chałupy i gruntu, śpi na drugiej stronie w paradnej izbie, w której sośnina żółtą powleczone farbą stara się jesion udawać, a swojej roboty płótno stół przykrywające imituje obrus.

Pan Onufry śpi jak zarżnięty, jak wszyscy jego domownicy zresztą, jak jejmość, która się przez dzień cały setnie udreptała, a nakrzyczała, nagadała dwa razy więcej jeszcze!

W izbie czeladniej i kuchni zarazem, gdzie na kominie ogień się żarzy, czuwa jedna tylko istota, ale obca temu domowi zupełnie.

Jest ro żydzina blady, wątły, chudy, odznaczający się szczególną śpiczastością kształtów.

Ostro zakończona krymka, nieco w tył zsunięta, pokrywa mu czubek głowy, a z pod tej krymki wymykają się krótkie wijące się pejsy, jak dwa świderki w skronie wkręcone.

Kontrabanda to niby — ale ten żydzina tak mało słodkich owoców zakosztował w swem życiu, że może ten zakazany, a tak niewinny w gruncie, jest jego jedyną pociechą i przyjemnością osobistą.

Na spiczastym nosie tkwią okulary w oprawie mosiężnej, a przez szkła tych nosościsków starożytnych, nabytych może po jakim starym, bardzo starym mnichu, widać oczy przenikliwe, czarne o spojrzeniu ostrem — chociaż zamaskowanem nieco przez mgłę łzawą, która jak tiulowa firanka pada na wzrok znużony pracą i całonocnem czuwaniem.

Podłużną twarz kończy bródka rzadka, spiczasta, wśród której niby fastryga biała na tle czarnego ubrania, jaśniej srebne nici siwizny przedwczesnej.

Pierś wklęsła, zapadła i szczupła, przez ciężki przerywany oddech, świadczy — ile w niej pracy podejmują ubogie płuca, aby utrzymać życie ich właściciela...

Łokcie spiczaste, palce wyschłe i zakończone ostro i nogi cienkie jak patyki składają się na całość, która podobną jest do szkieletu zamkniętego w podwójnym futerale: ze skóry ludzkiej i kilku łokci czarnego, wytartego już dobrze kamlotu.

Ta wątła, tak gorliwie pracy oddana istota — to Judka Silberknopf, pierwszy krawiec warszawski na całe Łosice i wszystkie okoliczności... jak sani utrzymuje...

Przed nim leżą na stole nożyczki, garść guzików, parę pasem nici, kawałek nalepionego na deseczkę wosku i tabakierka z kory brzozonej z rzemyczkiem, napęczniona zieloną ruską tabaką...

Od czasu do czasu, kiedy mgła łzawa bardziej oczy zasłoni, kiedy powieki nabiorą ołowianej ciężkości i opadać zaczną bezsilne, chude palce Judki czerpią z tabakiery porcje zielonego proszku i świeżość chwilowo powraca.

Do oczu napłyną łzy większe, mgłę zmyją i znowu wzrok bystrzej śledzi ściegi igły, mającej uszyć fajną palto warszawskie z takim dużym kołnierzem, jak sam jaśnie hrabia nie nosił.

Oprócz tabaki, stoi jeszcze na stole mała buteleczka wódki, kawałek chleba, dwie cebule i szczypta soli w papierku; ale Judka człowiek praktyczny, on nie wypije teraz wódki i nie zje ce

buli, bo wie o tem dobrze, że za parę godzin, kiedy on będzie rękawy przyszywał, a tam na wschodzie, między niebem a ziemią zarysuje się już widocznie pas blady, budzący do trzeciego piana koguty — jemu się zrobi coś koło serca niedobrze ...

On wtenczas uczuje także ściskanie w dołku i taką niemoc straszną, że mało ze stoika nie spadnie; zrobi mu się słabo, przed oczami ujrzy migające się koła, bardzo ładne koła czerwone, zielone, niebieskie, złote, czarne centkowane złotem, nareszcie całkiem już czarne, które szybko zaczną się łączyć z sobą i tworzyć jedną czarną całość...

Wtenczas lekki dreszcz przebiegnie mu po grzbiecie, na czoło wystąpią duże krople potu... zapadła pierś ciężko pracować zacznie — i chwilowo wyda mu się, że Jehowa zbiedniał i że ma zaledwie tylko trochę powietrza i to... dla bogatszych żydów naturalnie.

Judka zna dobrze takie chwile — jemu to już nie pierwsze... On później przeprosza w modlitwie swego Stwórcę, że miał takie posądzenie grzeszne... ale jemu się zdawało, że już nic ma dla biednych powietrza. Dla tego też że zna te interesa, więc wódki nie wypije zaraz. Przyjdzie czas na to — nie potrzeba na zegarek spoglądać... Koła zielone i złote błysną przed oczami...

Wtenczas Judka wstanie, wyprostuje się, zwilży skronie wodą, umyje ręce, zwróci oczy w tę stronę,

gdzie już wyraźnie pas złocisty ziemię od nieba oddzieli — i zmówi krótką modlitwę.

W tej modlitwie same dziękczynienia zawierać się będą. Judka powie tak: — Dziękuję Ci Boże żeś mnie nie stworzył kobietą, dziękuję żeś mnie nie stworzył niewolnikiem, żeś mnie nie uczynił psem!

Czyli: dziękuję za to, że jestem dzielnym mężczyzną; że jestem wolnym człowiekiem i mogę pracować ośmnaście godzin na dobę; że wreszcie jestem pierwszym krawcem warszawskim na całe miasto Łosice i wszystkie okoliczności, nie zaś brzydkim i głupim zwierzęciem.

Potem, z czystym już sumieniem Judka odleje maleńką cząstkę trunku na ziemię, a resztę wysączy powoli, rozkoszując się każdą kroplą, która odrazu wprowadzi ciepło ożywcze do jego zziębniętego, wstrząsanego przez dreszcze organizmu.

Wypiwszy wódkę, spożyje małą ilość chleba z dużą ilością, soli i zje cebulę — ale jedną tylko — gdyż takie cebule nie trafiają się codziennie. Są one wielkie, płaskie, bladoczerwone, ze szczególnym srebrnym połyskiem — i mogą być prawdziwą ozdobą szabasowej uczy. Dłategoż jedna z nich musi być schowaną na zapas, w najgłębszej kieszeni wytartego chałatu.

Załatwiwszy się z kwestyą pożywienia, z czerwonymi oczami, lecz z rzeźwością wywołaną sztucznie, Judka dmuchnie w ogień i postawi na ko

minie dwa żelazka z rączkami owiniętymi w szmaty, dwa żelazka czarne jak jego dola, a twarde, jak ta konieczność nieubłagana, co mu kark zgina ku ziemi i brodę przedwczesną siwizną przyprusza.

Zanim chrapiący mocno szlachcic i jego czeladka zbudzą się ze snu twardego, zanim .ludka wykończy warszawskie fajne palto, z kształtu do dużego worka podobne — cofnijmy się myślą wstecz i w kilku rysach pośpiesznych spróbujmy nakreślić biografię tego łaciarza.

Nie będzie w niej pięknych i estetycznych obrazów — brud, głód, ciemnota i praca nad siłą — oto cztery filary, na których wsparło się życie tego człowieka.

Siła pamięci nie utrwaliła w jego głowie obrazów pięknych i poetycznych. Jak daleko sięgnęłyby myśl jego w przeszłość, wszędzie szaro, ponuro, brudno,...

Jeżeli marzył o czym w dniach młodości, to chyba tylko o rublach srebrnych lub może o wielkich postępach w talmudycznej mądrości — ale ani bogactwo, ani uczoność nie były zapisane w księdze jego przeznaczeń. On odziedziczył po ojcach rzemiosło, z którego utrzymywać się musiał. Pradziad jego w tym samym miasteczku szył szlachcie dostatnie czamary z potrzebami i grube opończe od deszczu.

Były to piękne czasy!

Żyją one po dziś dzień W tradycji rodzinnej Judki, w żywym słowie przechodzą z pokolenia w pokolenie, ale bo też jest opowiadać o czym! Szlachcic wprawdzie niechętnie grosza z kieszeni dobywał — ale wszelkiego prowiantu nie żałował, a taniość była ogromna!

Nie było osobliwością mieć całego szczupaka na szabas — a czasem nawet w dzień powszedni widywano mięso.

Roboty było dość po dworach, zarobek ztąd częsty a bogactwo było tak wielkie, że kiedy pradziad babkę Rojze za męża wydawał — to jej w posagu czystem złotem, cztery oberżnięte dukaty wyliczył... a prócz tego jeszcze talara srebrnego dał na szczęście.

To czasy były... czasy!

Dziad Judki, który odziedziczył po ojcu część domu i warsztat, już nie miał tego losu. Zawsze jednak chwalił czasy swoje, zrobił albowiem arcydzieło sztuki krawieckiej, arcydzieło, o którym lubił wnukom opowiadać...

Zrobił frak!...

Frak illa samego pana burmistrza, na wesele, prześliczny! granatowy z guzikami złoconymi, do tego kamizelkę w kwiaty białe i okoliczności z naikinu kanarkowej barwy.

Wszystko leżało jak ulał, frak był piękny, długi, z wąziutkiemi rękawami — pieścidełko istne — a cały garnitur sprawiał wspaniały, nic dający się opisać efekt...

Ba.! w owych czasach Judzie mieli gust. ubierali się jak lalki, a panowie byli! pięć złotych za uszycie garnituru dawali bez targu.

Dziadek miał dwóch synów, więc na ojca Judki już tylko ósma cześć domu przypadła. Czas się już psuł potrosze. Firma zaczęła upadać, zniżono się do szycia chłopskich sukman i przedpotopowych, chociaż zawsze modnych, surdutów dla zagonowej szlachty.

W tym czasie nasz bohater ujrzał światło dzienne.

O ile może zasięgnąć pamięcią, przypomina sobie trzech lub czterech wychudłych żydziaków, schylonych nad ważkim stolikiem i szyjących zawzięcie.

Przy drugim stole ojciec chudy, suchy jak szczapa, a dobrze już posiwiały majster, tępemi nożyczkami krajał grube sukno. Nożyce wydawały zgrzyt nieprzyjemny, a Judka czołgając się pod stołem, chwycił chciwie skrawki, które były dla niego tem, czem dla bogatych dzieci są lalki mechaniczne, piękne duże konie na biegunach, lub welocypedy...

Ojciec miał bardzo dobre serce i nie żałował synowi skrawków drobnych, ale i szczodrość ojcowska nawet ma także swoje granice; — gdy więc chłopak porwał kawałek mogący się przydać na łąkę, wówczas rodziciel konfiskował mu te zdobycz i karał go kilkakrotnem uderzeniem po plecach jarmułką...

Judka, z wrzaskiem niezmiernym tulił się pod opiekuńcze skrzydła, a raczej pod fartuch matki — i tu dopiero doznawał pewnego pocieszenia w swej niedoli, gdyż matka pakowała mu w usta kartofel, uderzała pięścią w kark i wyrzucała za drzwi, z krzykiem:

— Gaj weg! dy paskidnik!

Co znaczy, — idź aniołku, posil się nieco i pobiegaj trochę po świeżem powietrzu.

Kartofel uspakajał wzburzone nerwy Judki — wesołość wracała — tem bardziej, że znalazło się grono przedsiębiorców, równych mu pojęciami i wiekiem, którzy z wiórów zebranych na podwórku budowali bardzo piękną kamienicę piętrową, czyniąc przytem wrzask równie wielki, jak przy zdobywaniu Jerycha...

Młodość Judki upływała w jednakowych ciągle warunkach, w zimie grzał się pod piecem, w lecie zaś na słońcu — żywił się, a raczej żywiono go kartoflami i rzodkwią, a za nieposłuszeństwo, lub inne zdrożności, ojciec bił go jarmułką, a matka tem co miała pod ręką...

Kiedy już pięć lat życia skończył, wówczas ojciec myśleć zaczął o jego edukacyi.

Ta edukacya spadła na niego jak grom, niespodziewanie i nagle. Wzięto go do szkoły tak jak za dawnych czasów brano do wojska.

Pewnego pięknego poranku, (bo zwykle w czarnych chwilach życia poranki bardzo piękne bywają) przyszło dwóch starszych, dwunasto lub

trzynastoletnich żydziaków, pochwycili małego delikwenta za recc i pociągęli z sobą.

Trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że bronił się walecznie... Opierał się nogami o bruk, krzyczał, walczył, ale wobec przemagającej siły ustąpić musiał...

Przeprowadzony przez kilka uliczek, wepchnięty został do izby ciemnej, zadusznej, pełnej dzieci, które ciekawemi, szeroko otwartemi oczami przyglądały się przybyszowi...

Przy osobnym stoliku w izbie tej siedział mąż wiedzy i mądrości wielkiej — a dziwnie surowego oblicza; przed nim leżała gruba księga, nosząca na sobie ślady palców wielu pokoleń, z których prawdopodobnie każde używało więcej tabaki niż mydła, gdyż rogi kart były poczerniałe zupełnie.

Mistrz miał minę surową, a wejrzeniem wielkich, czarnych oczu przejmował strachem całe audytoryum. Z pod jego pluszowej, wypłowiałej czapki wysuwały się włosy czerwonawe, a długa kasztanowata broda spadała mu na piersi...

Mistrz trzymał w ustach fajkę porcelanową głęboką, na długim cybuchu. W tem naczyniu, które przed laty wieloma przywiózł mu w prezencie pewien bardzo wielki kupiec wprost z Gdańska, tliły się kawałki tego czarnego tytoniu, który nosi na paczce napis: Świcent wyborowy cienko krajany .

Niebieskawy dymek z tego wyborowego, cienko krajanego narkotyku, laczyl się z ciężką i duszną atmosferą szkoły i czynił zapach niepodobny zgoła do woni róż, fijołków lub konwalii.

Judka, przejęty trwoga, z przerażeniem spogląda! na mistrza, na jego brodę kasztanowatą i na cybuch, o którym podania młodszej generacji przyszłych kupców i obywateli miasteczka twierdziły, iż dziwnie gładko przylega do pleców i że ułatwia bardzo zrozumienie zawitych znaczków hebrajskiego alfabetu.

W czasie dalszego pobytu w przybytku mądrości, Judka przekonał się osobiście, że podania te nic były owocem zmyślenia i fantazyi, ale najszczerzą prawdą; mistrz bowiem, obok uczoności wielkiej i rozumu

wysoko delikatnego, miał prawicę silną i kosztownego cybucha w szlachetnym celu krzewienia oświaty nie żałował wcale...

System edukacji był bardzo prosty i niewymyślny. Mistrz omijał rozum — a trafiał wprost do pamięci... przez plecy.

Nie jego wina, że mu najczęściej tamtędy droga wypadła.

Dla oszczędności czasu — pomijał on wszelkie tłumaczenia i trzymał się tej wzniosłej, pełnej prostoty pedagogicznej zasady, która jest podstawą gry, tak zwanej w ojca Wirgiljusza.

„Ojciec „Wirgiljusz uczył dzieci swoje, Miał ich niewiele, dwadzieścia i dwoje Dalej dzieci, dalej ha! Czyńcie to co i ja!”

Uczony mełamed łosicki. szanowny Rebe Joyna Gewalrlelirer, grał z pupilami swemi w ojca Wirgiljusza w ten sposób, że sam powoli, głośno, z deklamacją śpiewną i kiwaniem się nieustannie czytał, a dzieci wszystkie razem powtarzały przeczytane wyrazy, naśladowując intonację głosu i wykonywając także same ruchy jakie czynił mistrz.

Jest to system znakomity, a ma jeszcze oprócz wielu zalet i te jedną wielką, a nowożytnym pedagogom nieznaną, że oszczędza wydatku na sprawienie szyldu dla szkoły.

Niezmierny wrzask, który daleko jest tańszy i mniej kosztowny od deski z odpowiednim napisem, zawiadamia zdaleka przechodniów i bliższych mieszkańców o istnieniu przybytku wiedzy i zarazem daje przewodnikowi szkoły najwymowniejsze świadectwo, że młodzież nie próżnuje, lecz gorliwie i pilnie oddaje się pracy naukowej i ćwiczy swój umysł.

Rebe Joyna, słusznie też cieszył się Wysokiem uznaniem jako pedagog mądry i energiczny, gdyż potrafił uczyć młodzież najpiękniejszych rzeczy z ksiąg, które umiał wprawdzie czytać — ale nie rozumiał ich wcale. W tym przybytku wiedzy, Judka przebył lat pięć i po zabranii bliższej znajomości z cybuchem szanownego pedagoga, uczynił takie postępy, że czytał księgi święte z najpiękniejszą płacziwą intonacją — a kiwał się nad nimi tak zręcznie, tak

miarowo, jak gdyby w grzbiecie miał osadzoną sprężynę. Zmężniawszy jednak duchem, Judka nie zmężniał ciałem; był on cienki i blady, a dziwnie podobny do młodego, ze starej karpki wyforsowanego sztucznie... szparaga.

Na matowobladej jego twarzy nie zagościł nigdy rumieniec — tylko jedynie duże, szeroko otwarte, chociaż cechą zmęczenia napiętnowane, oczy miały pozory życia.

Jak dla przyszłego krawca, edukacja poczerpnieta z nigdy niewysychającej krynicy szanownego Rebe Joyny, była aż nadto wystarczającą — i skutkiem tego rozkazano Judce opuścić cheder i zasiąść przy warsztacie krawieckim — przy tym sławnym tradycyjnym warsztacie, przy którym dziadek Judki uszył ów jedyny w historii miejscowego krawiectwa frak, żyjący dotychczas jeszcze w pamięci starszych mieszkańców miasta...

Judka opuścił cheder bez żalu i bez czułych wspomnień, a do nowego zatrudnienia przystąpił też bez radości wielkiej.

Nawłóczył igły, przyszywał guziki, łaty przyczepiał i uczył się od ojca praktycznie jak należy przyklepywać rękami suknie na grzbiecie klienta i

dowodzić że ciasne jest wygodnem, a obszerne ślicznie przystającym do figury, że w całej okolicy wszystkie godne osoby muszą krój pochwalić i że sam hrabia z Wywłoki lepszego ubrania w swej warszawskiej i zagranicznej garderobie nie posiada.

Przy tej pracy, prosty aż dotąd kręgosłup Judki powoli i nieznacznie skrzywiać się zaczął, a lewa łopatką, nie mogąc się z prawą swą towarzyszką na jednym utrzymać poziomie, opuściła się nieco. W przyszłości te drobne felery uczyniły Judkę krawcem czysto cywilnym, gdyż inaczej może byłby został bohaterem i zbierał wawrzyny na polu walki, do Czego nie miał jednak wrodzonego zamiłowania... Od małego dziecka prznosił igłę nad bagnet, a widok maszerujących żołnierzy przejmował go dreszczem. Podczas swej praktyki fachowej zdarzało się Judce przy boku ojca odbywać wycieczki w okolice. W takich razach, oprócz potrzebnych narzędzi, brali z sobą dwa worki, w których zawsze przynosili coś dla zaopatrzenia spiżarni mamy Ruchli. Po sześciu latach praktyki, Judka już był młodzieńcem i krawcem skończonym. Miał odświętną, własną ręką uszytą, kamlotową kapotę, czarny pas wełniany i buty. Nosił czapkę na tył głowy zsuniętą i szykował się do podróży w bardzo odległe strony, na kraj świata prawie... W białej budzie płóciennej, z ojcem i kilkoma członkami rodziny, puszczał się w podróż do Sokołowa, gdzie miał do załatwienia pewien mały interes. Miał się tam ożenić.

Wprawdzie nie widział nigdy pięknej panny Bajli Goldwasser, córki miejscowego Chabou.

która miała zostać wybranką jego serca i dozgonną towarzyszką życia — ale cóż to znaczy?

Czy gdyby ją był widział, dajmy na to, posag jej powiększyłby się choćby o grosz jeden? czy piękna Bajla potrafiłaby przez to lepiej gotować kartofle? lub taniej kupić chudą kurę na rynku?

Ant troszeczkę — potaż więc próżna strata czasu i koszt niepotrzebny?

Orszak weselny już oczekiwał pana młodego, z orkiestrą złożoną z skrzypiec, flecika i tamburyna... Co to wesele kosztowało pieniędzy!

Wprowadzono państwa młodych pod starym spłowiałym baldachimem, ślub im dano, uraczono się na weselu i Judka rozpoczął nowe życie.

Piękna Bajla zdjawszy z głowy zasłonę ukazała się oczom swego małżonka... Twarz jej była czerwona i piegowata nieco, postać cała przysadzista i krępa.

Właściwie nie było się czem zachwycać — ale należy przypuszczać, że gdyby nawet Bajla posiadała wdzięki biblijnej Judyth, lub szekspirowskiej Jessyki — dla naszego bohatera byłaby to okoliczność bardzo podrzędna i mało wzruszająca.

Dzieciak ten, dziś już mąż przecie — jeżeli kiedy marzył o czym, to najmniej o kobietach; był jeszcze tak młody, a pięknego w krótkim swoim życiu widział tak mało, o uczuciach wogóle słyszał tak niewiele, że na bohatera romansu nie miał i mieć nie mógł kwalifikacyi najmniejszych.

Przy tej pracy, prosty aż dotąd kręgosłup Judki powoli i nieznacznie skrzywiać się zaczął, a lewa łopatka, nie mogąc się z prawą swą towarzyszką na jednym utrzymać poziomie, opuściła się nieco.

W przyszłości te drobne felery uczyniły Judke krawcem czysto cywilnym, gdyż inaczej może byłby został bohaterem i zbierał wawrzyny na polu walki, do czego nie miał jednak wrodzonego zamiłowania... Od małego dziecka przenosił igłę nad bagnet, a widok maszerujących żołnierzy przejmował go dreszczem.

Podczas swej praktyki fachowej zdarzało się Judce przy boku ojca odbywać wycieczki w okolice. W takich razach, oprócz potrzebnych narzędzi, brali z sobą dwa worki, w których zawsze przynosili coś dla zaopatrzenia spiżarni mamy Ruchli.

Po sześciu latach praktyki, Judka już był młodzieńcem i krawcem skończonym. Miał odświętną, własną ręką uszytą, kamlotową kapotę, czarny pas wełniany i bury. Nosił czapkę ua tył głowy zsuniętą i szykował się do podróży w bardzo odległe strony, ua kraj świata prawie...

W białej budzie płóciennej, z ojcem i kilkoma członkami rodziny, puszczał się w podróż do Sokołowa, gdzie miał do załatwienia pewien mały interes.

Miał stę tam ożenić.

Wprawdzie nie widział nigdy pięknej panny Baj Li Goldwasser, córki miejscowego Chabou,

która miała zostać wybranką jego serca i dożgunna towarzyszką życia — ale cóż to znaczy?

Czy gdyby ją był widział, dajmy na to, posag jej powiększyłby się choćby o grosz jeden? czy piękna Bajła potrafiłaby przez to lepiej gotować kartofle: lub taniej kupić chudą kurę na rynku?

Ani troszeczkę — pocóż więc próżna strata czasu i koszt niepotrzebny?

Orszak weselny już oczekiwał pana młodego, z orkiestrą złożoną z skrzypiec, flecika i tamburyna... Co to wesele kosztowało pieniędzy!

Wprowadzono państwa młodych pod starym spłowiałym baldachimem, ślub im dano, uraczono się na weselu i Judka rozpoczął nowe życie.

Piękna Bajła zdjawszy z głowy zasłonę ukazała się oczom swego małżonka... Twarz jej była czerwona i piegowata nieco, postać cała przysadzista i krepa.

Właściwie nie było się czem zachwycać — ale należy przypuszczać, że gdyby nawet Bajła posiadała wdzięki biblijnej Judyth, lub szekspirowskiej Jessyki — dla naszego bohatera byłaby to okoliczność bardzo podrzędna i mało wzruszająca.

Dzieciak ten, dziś już mąż przecię — jeżeli kiedy marzył o czym, to najmniej o kobietach; był jeszcze tak młody, a pięknego w krótkim swoim życiu widział tak mało, o uczuciach wogóle słyszał tak niewiele, że na bohatera romansu nie miał i mieć nie mógł kwalifikacyi najmniejszych.

Małżeństwo jego, był to interes ułożony wspólnie pomiędzy jego ojcem i Szmulem Cioldwasser, pierwszym krawcem na cały Sokołów.

Ojcowie złożyli po trzydzieści rubli gotowizną na kapitał dla młodej pary, a Judka miał przez pierwsze trzy lata przemieszkiwać przy teściu, żyć na jego stole i kształcić się wyżej w swym fachu.

Po upłynionych trzech latach powróci z żoną do rodzinnego miasta i znów trzy lata przy swoim ojcu przepędzi — poczem, odebrawszy kapitał z procentem, już na własną rękę, samodzielnie żyć zacznie.

Program ten został w zupełności wykonany...

Nie wiem, czy przez pierwsze trzy lata młodzi małżonkowie spojrzeli sobie w oczy serdecznie, czy uścisnęli się za ręce, czy powiedzieli do siebie jakie pieszczotliwe słówko — ale zdaje mi się, że nie.

On przepędzał czas cały przy warsztacie — ona dzieliła godziny swoje między kuchnię, kołyskę i targ, na którym puszczała się na małe spekulacyjne obroty.

Trzeba to jednak przyznać, że oboje byli sobie wierni i żadnemu z nich nie przyszła ochota rzucić spojrzenia w inną stronę. Po co? oni na siebie nie patrzyli prawie ...

Przybywszy do rodzinnego miasta, Judka przejął się już duchem sokołowskiego postępu; nosił o dwa cale krótszą kaptę, miewał kilka razy do roku wyczyszczone buty, a nad drzwiami swego

domu wywiesił szyld z napisem: i Judka, krawiec warszawski .

Dlaczego warszawski, zaraz to wytłómaczę.

Judka nic kłamał, cześć wiedzy tachowcj, niebezpośrednio wprawdzie, nie wprost, ale przez kilka etapów, spłynęła na niego z Warszawy.

Żeby to jednak łatwiej czytelnikowi wytłómaczyć, potrzebuję ułożyć coś w guście miniaturowej książki rodzaju tej mądrości.

Judka wyćwiczył się ostatecznie fachowo w pracowni swego teścia, mistrza Szmula Goldwasser.

Szmul uczył się u Herszka Fajn w Białej, Hcerszko uczył się u Jankła Pięknego w Siedlcach Jankiel uczył się u Abrama Gelbhsza wielkiego

krawca w Lublinie, Abraham Gelbhsz kończy! studia u Borucha

Włodawera na Pradze — zaś nareszcie Boruch Włodawer praktykował u Chaima Tabaksbluma, który nie tylko że posiadał własny warsztat w Warszawie, ale nawet w dwudziestej szóstej części był właścicielem składu tandety na Krasieńskim placu.

Tak więc nikt nie zaprzeczy, że część wiedzy Chaima, przez szereg pośrednich stopni, spadła na Judke i że majster ten miał niejaki prawa do tytułowania się krawcem warszawskim.

Prawo to przysługiwało mu tem więcej, że posiadał nawet kolorowaną rycinę z żurnalu z roku, którą można było podziwiać z ulicy przez okno, o tyle, o ile zakurzone szyby i masa much na to pozwalały.

Pomimo posagu jednak i licznej klienteli, szczęście nie sprzyjało Judce. Ojciec jego umarł — on sam kilka razy ciężko chorował — dzieci było

ośmioro — wydatki duże — kuracya pochłoneła zapasy.. Judka siwieć zaczął, a kaszlał coraz mocniej.

Jedna tylko szczęśliwą, chociaż krótką chwilę, miał W życiu.

Pewnego lata zadzierzawił ogród owocowy. Cóż to był za raj!

Szył w budzie słomianej na świeżem powietrzu, co niedziela jeździł z transportem gruszek — a jakie życie miał pyszne!!

Bajla gotowała przedziwną zupę z robaczywych jabłek, które wiatr z drzewa strącił przedwcześnie, była moc zielonego szczypioru, młodych kartofli i rzodkwi.

Życ nie umierać, same delicye! W tym okresie życia Judka śpiewał nawet.

Czynił to co sobota, kiedy się szabas już skończył, a na letniem ciemno szafirowem niebie zajaśniały myriady gwiazd. Śpiewał jakiś majufes głosem drżącym — zapatrzony w mgły blade, co się jak duchy unosiły nad sąsiednią łąką, zasłuchany w rechotanie żab i krzyk derkaczy na błoniach. Krótko trwało to szczęście! Finansowa strona interesu świetną nie była — wiele owoców postręcały burze, ceny też nieszczególne były, troche złodzieje ukradli — trzeba się było wyrzec tego rodzaju przedsięwzięć na przy

szłość tem więcej, że i kapitalik poszedł na wyposażenie dwóch starszych córek, które wraz z mężami osiadły przy ojcu.

Na dobitkę osiedlił się w mieścinie drugi krawiec, petersburskim zwany, ponieważ był w wojsku muzykantem i stał przez czas jakiś z pułkiem aż w Brześciu, zkąd przywiózł takie świeże mody, że Judki stary żurnal nawet stracił wobec nich swój autorytet.

Ta konkurencja była zabójczą. Lepsza klientela przeniosła się do modnego Abrarnka — a Judka, i workiem na plecach, wędrował po wioskach i sam szukał roboty po dworach i dworkach szlacheckich. Właśnie od kilku dni już pracował u pana Onufrego, a pracował zawzięcie, przez ten czas albowiem uszył śliczną salopę dla pani Onufrowej, przerobił ze starego surduta kaftan dla panny Brygidy, obłutał i odświeżył z dziesięć sztuk rozmaitego ubrania i na koniec tej nocy miał skończyć arcydzieło — palto dla samego pana Onufrego. Za to wszystko, oprócz fura drzewa i prowizji w naturze, prowizji którą pan Onufry przyrzekł solennie odstawić własną furmanką w przyszłym tygodniu, Judka miał otrzymać w gotowiznie rubli srebrem cztery. Arcydzieło trzeba było koniecznie wykończyć na termin. — Słuchaj żydzie — zapowiada! pan Onufry — płacę ci, bestyjo, po pańsku, ale pamiętaj sobie

żeby mi na piątek raniusko paltok był — bo ja przez lepszego odzienia na odpust nie pojedę.

— Kiedy proszę jegomości — tłumaczył się Judka — niech jegomość uważy, co ja bez ten tydzień prawie nic nie spałem...

— A to czemuś czeladnika sobie nie przyprowadził?

— Co tu czeladnik ma zarobić, kiedy ja sam zarobię tak mało...

— Powiedziałem ci, kręć jak chcesz — aby było...

— Nu — to już ja zrobię, ale niech jegomość jeszcze doda choć pół korca kartofli dla dzieciów... niech jegomość kochany nie żałuje, teraz taki czas ciężki.

— A niech cię marnośći!... dobrze, dam ci ile udźwigniesz, abyś mi tylko zrobił — jeszcze ci u sąsiada robotę naraję.

Ta obietnica była dla Judki ostrogą — przesiedzi już czwartą noc z rzędu przy pracy — ale za to dostanie, oprócz zapłaty umówionej — pół korca kartofli, a i perspektywa nowej roboty coś znaczy...

Wziął się tedy gorąco do pracy, a kiedy pas złocisty zaczął się ukazywać na wschodzie — a on już do swego arcydzieła rękawy przyszywał, wówczas słabo mu się zrobiło. Barwne koła zamigotały przed oczyma z niesłychaną szybkością i zaraz prędko czernieć zaczynały...

Wtenczas Judka według zwyczaju swego, poratował się kieliszkiem wódki i gryzącą cebulą z chlebem.

Kiedy siły wzmocnił i właśnie palto prasować zamierzał, zerwała się ze swego posłania Brygida i rozpałała na kominie ogień, przy którym całego cielaka upiecby można.

Pani Onufrowa też wstała.

— A to — rzekła — zydzisko pazerny na zarobek, kiej jeszcze do tej pory siedzi!

— Każda biednoŚĆ, proszę jejmości, jest bardzo pazerna — odpowiedział jej Judka — ale właśnie bez to co ona taka pazerna jest — to jegimość będzie na odpuście wyglądał jak sam jaśnie hrabia z Wywłoki... Taki kawałek odzienie to jest rarytny interes!

Pani Onufrowa troskliwie obejrzała palto, zganiła troche szycie, skrytykowała kieszenie, ale w gruncie rzeczy kontenta była, że jej szanowny małżonek tanim kosztem przyszedł do takiej elegancyi. a kiedy

rzuciła wzrokiem na twarz Judki, wybladłą, zmęczoną, na oczy poczerwieniałe jak u królika — to jej się żal żyda zrobiło i rzekła:
— Może ci jeść co dać, boś jakoś kaducnie kiepski, mój Judko.
— Bóg zapłać jejmości, ale co ja tu moge jeść? mnie nie wolno tego co państwo jedzą.

Baba przyznała mu słusność.

— Co wiara to wiara — rzekła — zawdyk trza swego zakonu pilnować... i potem otwo

rzyła szafkę, naląła kieliszek wódki i postawiła na stole.

— Nasci — rzekła — to ci wolno przecię! Drugi już z rzędu kieliszek i ciepło od rozpalonego na kominie ognia wywarły swoje skutki...

Judka orzeźwił się, na twarz jego wystąpiły silne rumieńce, wpadł nawet w dobry humor.

Dowcipkował przymierzając workowate palto i gładząc je na szerokich plecach pana Onufrego.

— Cóż Małgosiu.! — zapytał świeżo ustrojony szlachcic, podobne to odziewadło do czego?...

— No niby niema co gadać, sprawny żyd — porządny statek ci uszył.

— Niech jegimość sam uważy jak to leży — mówił Judka, wygładzając dłonią fałdy na plecach — niech kto drugi zrobi taki fajń palto! to jest kawałek roboty, to jest sztuka! Aj waj, jegimość tak wygląda, jakby miał na wielgie wesele jechać — ja zarobiałem moje półkorca kartofli...

— No, słowo się rzekło... dam, odeszle ci z tem com obiecał.

— To ma być dopiero we wtorek, niech mi jegimość da dzisiaj choć ćwiartkę dla moich dzieciów — ja wezmę z sobą do domu. Uni tam

pewnie już nic nie mają do jedzenia; za taką fajną robotę, niech uni sobie zjedzą tę trochę kartofli!

Szlachcic zaprowadził żyda do kopca, pomógł mu wsypać w worek dobrą ćwierć kartofli — potem zapłacił umówione honorarium — i rozstali się. Pan Onufry z małżonką pojechał na odpust.

On, w paltocie nowym, w czerwonym szaliku na szyi, wygolony świeżo, miał niezwykle uroczystą minę. Pani zaś w ogromnej, przedpotopowym jakimś krojem zrobionej salopie wyglądała jak mały... stożek siana.

Judka poszedł pieszo.

Na zgarbionych plecach niósł ciężki worek, w którym oprócz kartofli znajdowały się jeszcze dwa krawieckie żelazka.

Na drodze szkaradne błoto było. W powietrzu wisiała mgła ciężka, szara, z po za której wychylały się niewyraźnie kontury drzew i krzaków przydrożnych.

Do miasteczka było blisko dwie mile. a Judka potrzebował stanąć tam przed zmrokiem, gdyż to był piątek. Szabas się miał rozpocząć.

Liczył na swoją lekkość, na drewniany łokieć, którym się podpierał, wreszcie liczył na to, że może go na drodze jakiś chłop dopędzi i na furkę swoją zabierze.

Przecież go wszyscy znają w tej okolicy...

Żeby mu lżej iść było, zawinał poły chałata i uczepił je z tyłu za pasem; nadał swojej kapocie jakby kształt fraka, którego ogon włókł się po błocie, ilekroć to głębszem było.

Nie łatwa to rzecz iść pieszo — po wyboistej drodze, pełnej grzeskiego błota, zwłaszcza gdy się dźwiga ciężar stosunkowo dość znaczny... O nie łatwa! ale Judke popychało da domu szczęście wielkie.

On miał taki śliczny tydzień — tak dużo zarobił! Będzie miał furę drzewa i troche prowizyi — w kieszeni gotowizną posiada całe cztery ruble, a na piecach niesie ćwierć kartofli!

Z takim sutym zarobkiem warto przecię spieszyc do domu!

Szedł więc drogą i dumał. Z początku myśli jego koncentrowały się na sumie, którą zarobił. Rachował, obliczał co może kupić za owe cztery ruble, oraz ile też jest warta fura drzewa i prowizya, którą ma dodatkowo otrzymać... Myśląc o rem szedł bardzo szybko, tak dalece szybko, że uczuł iż mu się robi gorąco. Twarz zaczęła go palić... a pierś pracowała forsownie.

Musiał zwolnić kroku, nareszcie stanął, położył ciężar na ziemi, zażył tabaki i zaczął się oglądać czy jaka fura chłopska nie nadjeżdża...

Wówczas przekonał się, że jeszcze dwóch wiorst nie uszedł.

Jak mógł okiem zasięgnąć — droga zupełnie pustą była... z przeciwnej tylko strony jechało fur kilka; dziad kulawy, wzięwszy kule pod pachę, spieszyl na odpust, a biegł zamaszyście, śpiewając jakąś piosnkę niezbyt nabożnej treści. Wszyscy w tamtą stronę!

Przypomniała mu się rozmowa z panią Onufrowa i zaczął o niej rozmyślać.

Sam powiedział, że biedność jest pazerna i chciwa — a przez to że biedność pazerna, bo głodna wiecznie — bogaci mają uszyte ubranie.

To prawda jest, myślał, bieda to jest brzydki interes, a głód dziwnie podobny do bata; on bije, bardzo mocno bije. Koń u woźnicy dostaje dużo kijów, ciągnie dużo wody, ale zato ma trochę siana. Na te ciężkie czasy koń robi niezły interes — ale łaciarz robi gorszy. Dlaczego gorszy? bo koń potrzebuje tylko siana i nie ma ani żony, ani ośmiorga dzieci, nie potrzebuje wyprawiać szabasowej uczty, ani wydawać córek za mąż. Judka chciał już zazdrościć koniowi, ale się przeląkł tej myśli.

Fe! cóż znowu! Koń jest bydłem, a on pierwszy krawiec warszawski na całe Łosice, co rano dziękuje Panu Bogu za to, że go stworzył człowiekiem. Koń jest głupi, a on przez pięć lat pił ze studni mądrości u uczonego Rebe Joyny. Konia po śmierci psy zjedzą, a on leżeć będzie wygodnie w ziemi pod słupkiem, na którym wyrzeźbią świecznik. Dusza jego pójdzie do przodków sławnych.

Nie! łaciarz nie zazdrości koniowi losu. On przecie miał taki obfity zarobek w tym tygodniu!

Już odpoczął i puścił się w dalszą drogę. Idzie, ale go dziwna senność ogarnia. Patrzy bezmyślnie w mgłę szarą, stawia krok za krokiem automatycznie, ale kroki są coraz wolniejsze.

Nogi ocieżyły, jakby kto do nich po kawale ołowiu przywiązał — nie chcą się trzymać prostego kierunku, lecz coraz zachwieją się niepewnie i zakreślają łuki, jak u pijanego.

Wszakże Judka nie jest pijanym, on czuje się tylko słabym nieco,
AJe to bagatela, to przejdzie; jemu to nic pierwszy raz się zdarza... O!
wieleż razy tak było!

Jest to tylko senność. Senność przy której trochę głowa boli i dreszcze
przebiegają po ciele. Czasem bywa z takiego interesu choroba, a czasem
tak przechodzi. Często przechodzi, Judka wie, że się można do tego
przyzwyczaić — zresztą może furmanka się trafi...

Niestety, nie widać.

Pół drogi już przeszedł, lecz cóż to jest? — miasto nie przybliży się wcale,
owszem zdaje się nawet oddalać — a worek strasznie ociężał. Czyżby
szlachcic zamiast ćwiartki kartofli wsypał w niego grochu ?

Nie — to kartofle istotnie. Gniotą one grzbiet... bardzo gniotą — ale
czemuż są tak okropnie ciężkie? Przecież jak je brał na plecy nie
wydawały się takimi i spać mu się tak nic chciało jak teraz.

Powieki opadają bezsilnie, nogi odmawiają posłuszeństwa, trzeba spocząć
koniecznie ... niepodobna iść dalej...

Na szczęście, jest tuż przy drodze wzgórek, dość suchy, zeschnięta, pożółkła
trawa na nim sterczy. Musiał tam niegdyś stać dąb, jeszcze pień czarny,
szeroki świadczy o tem.

Doskonałe miejsce do wypoczynku.

Judka położył worek na pniu, sam zaś usiadł na wzgórku.

Jeszcze ma czas. Mgła opadła nieco i blade, jakby zaspane słońce, co się z poza chmur wymknęło chwilowo, świadczy, że jeszcze południa nie masz. Przed zachodem zejść można.

Judka siada i rozmyśla dlaczego Pan Bóg dał biednemu człowiekowi głupie nogi co mdleją? Dla tego zapewne, że go obdarzył delikatnym rozumem... I to jest prawda...

Ale to się wszystkich ludzi nie tyczy. Jakie naprzykład znakomite nogi ma każdy faktor — jak on lata za geszeftami, jak zajac! ale za to on nie potrafi uszyć fajny warszawskiego paltota i — nie spać przez kilka nocy.

JuZ takie przeznaczenie. Trzeba się cieszyć talentem albo zdrowiem.

Judka się cieszy talentem.

Liczy w myśli kapoty jakie uszył w ostatnich czasach; były to śliczne kapoty! potem zgaduje co też Bajla ugotowała na szabas? Zapewne wiele bardzo dobrych rzeczy. Śliczna to rzecz jest szabas — w rym dniu zawsze się jada i sypia, oraz chwali Boga... Kto szabas wymyślił to musiał być bardzo mądry... O tak!...

Myśli Judki sięgają w przeszłość — jak w kalejdoskopie tworzą się w nich coraz to nowe obrazki... Cała historia życia staje przed oczami — czuje, że mu słabo — zkąd znów?

To znużenie. sen dopomina się o swoje prawa.

Głowa opada na piersi, cały korpus pochyla się nareszcie mimowolnym ruchem. Łaciarz podłożył ręce pod głowę, wyciągnął nogi i usnął...

Dwie wrony kracząc zakreślają koła w powietrzu. Nareszcie siadły na zagonie i zdaleka, przekrzywiając głowy, przyglądają się śpiącemu.

Porem wzlatują znów w powietrze i z góry przypatrują mu się bacznie, kracząc krzykliwie...

Dziwi ich zapewne dla czego ten żyd śpi przy drodze? — że nie umarł jeszcze wiedzą dobrze — ba! wrony doskonale znają się na tem.

Już słońce zniża się ku zachodowi — po drodze chociaż błotnistej, jedzie szybko wóz drabiniasty, w dzielne trzy konie zaprzężony. Na wozie, na siedzeniu ze słomy, siedzi pan Jacenty ekonom z sąsiedztwa, fornal Grzela powozi. Jadą po jakąś maszynę widocznie, bo wóz dobrze słomą wyłożyli i obroku na parę dni mają ze sobą.

— Stój, Grzela, stój! — woła Jacenty — patrzno kto tu leży ?

Grzela wstrzymał konie.

— A dyć. to panie, chyba żyd...

— Czy pijany ? czy chory ?

— E panie, może umarty, to uciekajmy lepiej, bo nas będą wodzić tam za świadków.

— Pewnie, ale trza obaczyć, jak żywy to go weźmiemy na furę, a jak trup to w nogi!

Grzela zeskoczył z wozu...

— Panie! to je łosicki żyd, Judka, ale musi żywy, bo krzynkę jesce dycha.

— Żydzie! Judko! — krzyknął pan Jacenty — a nie siabas to na ciebie, bestyjo!

Na ten wykrzyknik Judka zerwał się prędko, spojrzął nieprzytomnemi, jakby obłąkanemi oczami i na razie nie mógł zmiarkować gdzie jest i co się z nim stało.

— A dyć siadaj bestyjo! — zawołał Grzela — to cię zawieziem do Łosic...

Dziękując, kłaniając się do samej ziemi, łaciarz ze swym ciężarem, wdrapał się na wóz i opowiedział ekonomowi zkąd idzie.

— Ale też żeby tak zaś paść przy drodze, jak nie człowiek — rzekł, jakby sam do siebie ekonom — to dopiero!

— Proszę jegomości — odpowiedział Judka — między nami jest takie gadanie: co kura nie ptak, koza nie bidło, a krawcy nie ludzie.

— Jaktó nie ludzie! a cóż ty jesteś?

— Nu niby uni ludzie, a nie tak jak ludzie, krawcy tylko ...

— Ale baj baj, będziesz w raju! a któż ci kazał żeby, panie dzieju, cztery noce nie spać?

— Nikt mi nic kazał, tylko widzi jegomość, każdy człowiek potrzeбно żyć... Krawiec też musi żyć trochę, a jak un chce żyć, to nie może spać, a jakby chciał spać toby niemógł żyć, to jest bardzo prosty interes ...

— To ci zyd spekulatny — wtrącił Grzela — na każdy sposób ma bestyja swój wykręt!...

Przy osobnym, nakrytym stole, w parę godzin później, siedział Judka ubrany w nową kapotę i spiczastą czapkę z futrem.

Dzieci jedne już spały, drugie ziewały po kątach. Pani Bajła ustrojona w jakiś dziwnego rodzaju tupet, ozdobiony kwiatami i wstęgami żółtymi, kładła na talerz swego małżonka i pana kawałek mocno korzeniami

zaprawnej ryby. A ten mąż i pan i głowa swojej rodziny myślał o tem, jaki

świat piękny! kugiel smaczny, życie rozkoszne, a szabas błogosławiony
!!!

Tyfusu nie dostał, bo tak ie niewywczasowanie, ból głowy i dreszcze,
przechodzą czasem... zwłaszcza, gdy się już kto do wszystkich rozkoszy
życia przyzwyczai.

PULKOWNIK.

I.

W lesistej, smutnej okolicy, dość daleko ode wsi, tuż prawie pod wiecznie
zielonym borem sosnowym, był niewielki folwarczek. Budyunki
gospodarskie mieściły się osobno, a przy drodze stał dworek drewniany,

bielony, dość niski i widocznie dawne pamiętający już czasy. Dach na nim poczerniał miejscami i ciemno zielony mech, jak aksamit na nim porastał. W oknach, których szybki przepalone od słońca mieniły się kolorami różnemi, widać było białe firanki i kwiatki widocznie troskliwą otoczone opieką. Były wśród nich oleandry blad różowo kwitnące, małe szkarłatne różyczki, pelargonie i ułanki pospolite, ale pielęgnowane z wielkim zamiłowaniem,

W koło dziedzińca, wznosiły się klomby bzów i jaśminów, a na środku był krąg ogrodzony baryerami niskimi, krąg wbrew zwyczajowi nie za

siany trawą, lecz wysypany żółtawym piaskiem — i starannie wygrabiony codzień.

Po za domem rozciągał się ogród otoczony wysokim ostrokołem; ogród stary, cienisty, przez który leniwie przepływała niewielka rzeczka; na niej zrobiono kilka lekkich mostków z poręczami z białej brzeziny. Rzeczka z ogrodu wypływała na łąkę i rozlewając się coraz szerzej wpadała do szerokiego stawu, na którego przeciwległym brzegu wznosił się młyn. Przy jednym z mostków w ogrodzie uczone było małe, zgrabne czółenka. Kołysało się ono lekko na spokojnej powierzchni rzeczki, to przysuwając się powoli do brzegu, to znowuż zwracając ku środkowi, jakby się mu bezczynność przykrzyła. W czółenku leżały dwa wiosła maleńkie, lekkie, które niezawodnie w silnej dłoni przewoźnika lub flisa złamałyby się zaraz. Na szczęście swoje, nie miały one jednak nigdy do czynienia ani z dłonią zbyt silną, ani z falą oporną. Rzeczka toczyła swe srebrne wody leniwie, powoli, a powierzchnia stawu była gładka, jak ogromne zwierciadło.

Raniutko, kiedy za ledwie słońce wychyliło snop promieni z za lasu, a na trawach i kwiatkach drgały jeszcze duże majowej rosy krople, kiedy się dopiero ptactwo rozśpiewało, a las nappełniał powietrze swym balsamicznym oddechem, otworzyły się drzwi dworku i w ogrodzie, z piosenką ua ustach, ukazała się młoda dziewczyna. Ubrana W lekką perkalową sukienkę, w dużym słomkowym

kapeluszu osłaniającym i włosy jej czarne i śliczna, bardzo jeszcze młodziutką Twarzyczkę, przebiegła lekkim krokiem szpaler leszczynowy i znalazła się tuż nad brzegiem rzeczutki. Wskoczyła zgrabnie w czółenka, odczepiła je od słupa, odepchnęła od brzegu i popłynęła. Z początku wiosłowała szybko, lecz gdy już ogród minęła, gdy rzeczka na swym grzbiecie zniosła ją na łąki, od czasu do czasu tylko poruszała wiosłem i płynęła powoli, jakby podziwiając w kontemplacji niemej, cudowny poranek, pełen blasków i woni, barw i aromatu. Rzeczka robiła zakręt w tem miejscu; po obu jej brzegach rozrosły się kępy olch starych, poważnych, jakby zadumanych wiecznie. Rzucały one cienie ua wodę, na sitowia i trzciny nadbrzeżne i na te rośliny wodne, co szerokimi liśćmi i kwiatami żółtymi rozłożyły się na powierzchni wody.

Cicho tu było i poważnie, tylko turkawek para gruchała w gęstwinie liści, czasem rybka plusnęła mignawszy łuszczką srebrną, lub też jaskółka zwinna, yt pogoni za owadem, musnęła wodę skrzydełkiem. Dziewczyna położyła wiosło — łódka wsunęła się przodem W trzcinę przybrzeżną i zatrzymała się na chwilę.

Zamyślone dziewczę nie zważało na to. Zdjęła kapelusz, położyła go w czólnie i wpatrywała się w niebo jasne, po którym przepływały lekkie,

białawe obłoczki; patrzyła na drzewa nadbrzeżne, na trzcinę szumiącą, na lekkie łątki unoszące się nad wodą. Może myślała o piękności tego cichego

ustronia, może ją zachwycił widok budzącej się ze snu przyrody, bo na ustach drobnych, wykrojonych prześlicznie, błędził uśmiech — a duże, rozumne czarne oczy patrzyły jakby w zachwycie.

Po chwili schyliła nieco główkę i ujrzała w wodzie własny swój obraz. Nie przestraszył on jej zapewne, przeciwnie przypatrywała mu się z zadowoleniem. Woda mówiła jej, że jest piękną, a kobieta lubi to słyszeć, nawet lubi długo słuchać tego. Z niewinną kokieteryą patrzyła też ona na wodę, a kiedy wietrzyk zakradł się przez trzcinę i gładką powierzchnię rzeczki poruszył — śmiała się ze zmarszczek, w które się stroił jej obraz... Bawiła się tą zmianą jak dziecko... Bawiła się tak dalece, że na chwilę zapomniała nawet o celu swej podróży — wodnej. A przecież miała tyle interesów do załatwienia! Naprzód, przejrzeć się w wodzie; powtórę wylądować na łące po niezapominajki, których tam rosło mnóstwo, a niezapominajki to jej ulubione kwiaty. Zrywa je codzień, układa z nich wieńce na talerzach i ozdabia nimi wszystkie stoły we dworku; po trzecie, miała zobaczyć co się dzieje z ptaszkami w gniazdku, które wypatrzyła nad brzegiem. Czy jeszcze tam siedzą, czy też pofrunęły już w świat, na swój chleb? Nakoniec miała przedostać się na drugą stronę stawu, wsiąść na grobli i pójść do młyna, odwiedzić starą młynarkę cierpiącą od dwóch tygodni na febre.

Tyle interesów na raz to nie żarty! ale ponieważ spóźniła się już trochę, więc jutro narwie

niezapominajek i zobaczy gniazdko, a dziś przede wszystkim pośpieszy do chorej. Ma w koszyku trochę cukru, herbaty i jakieś krople niezawodne, które robi sam dziadzio. Mają one być cudowne, bo wchodzi w nie dziewięć ziół, a każde z innej strony świata pochodzi. Z takim kordyalem. co od razu może chorą uleczyć, — nie można się przecież opóźniać, chwytając wiec obydwoma rączkami wiosło i pracuje jak może, by czas stracony odrobić. Lekka łódka posuwa się zwawo, już minęła łąki nadbrzeżne, już pruje gładką powierzchnię stawu. Za pięć, sześć minut, najwyżej za dziesięć, stanie u celu podróży.

Ale którądy płynąć? Czy środkiem stawu, gdzie woda głębsza i czystsza, czy też bokiem, przez wazki przesmyk wśród trzciny. Przesmyk ten wyrobili w trzcinie młynarczyki, bo im był potrzebny do bliższej komunikacji z drugą groblą i upustem, jest on tak wąski, że ledwie jedna łódka tamtędy przesunąć się może — ale droga krótsza za to.

Pojedzie przesmykiem. Zdecydowała się tak, bo już słońce wzbija się coraz wyżej i trzeba wracać do domu niebawem. Dróżka którą obrała, przypomina ścieżkę krętą wydeptaną w gęstwinie leśnej... Z jednej i z drugiej strony, wysoko, jak mur zielony wznosi się trzcina, szeleszcząca dziwnie. Chłodno tu i spokojnie. Woda nie głęboka, lecz czółno sunie prędko, bo się wiosłem można o dno opierać. Oba brzegi łódki trąca się z szelestem o trzcinę.

Dziewczyna prowadzi czółenko stojący, opiera wiosło o dno i odpycha je rękami, każde poruszenie posuwa łódkę o sążęń. Na samym środku owej dróżki, wśród trzciny jest zakręt — trzeba tak manewrować, żeby go minąć szybko, bo przy nieumiejętności kierowania można tu uwieznąć — no i czekać zmiłowania, dopóki jaki młynarczyk nie nadpłynie i nie wybawi z kłopotu.

Ale ona знаła doskonale to miejsce, przepływała je przecież tylokrotnie, a w zimie, gdy mrozy silne były, a gładka powierzchnia stawu zamarzała, przesuwała się tędy nieraz na łyżwach. To też i teraz opiera się o wiosło z całej siły i oto już minęła szkopuł i znalazła się... tuż na wprost drugiego czółna z przeciwnej dążącego strony.

W czółnie znajdował się młody człowiek nieznany jej zupełnie. Wybrał się widocznie na przejażdżkę wodną i na polowanie, bo broń leżała na dnie czółna.

Natrafiwszy na tak nieprzewidzianą przeszkodę, dziewczyna wydała lekki okrzyk, a piękna jej twarzyczka pokryła się rumieńcem szkarłatnym.

Młody człowiek, niemniej tem spotkaniem zdziwiony i pomieszany cokolwiek, machinalnie uchylił kapelusza i skłonił się w milczeniu.

Stali tak chwilę oboje naprzeciwko siebie z wiosłami w rękach, a czółna ich stykały się z sobą.

Pierwsza przerwała milczenie dziewczyna.

— Jakież teraz będzie? — rzekła patrząc mu w oczy — wyminąć się tu niepodobna przecie, a ja muszę być we młynie.

— Ja pani ustąpię jak najchętniej, odpowiedział — cofnę łódkę, a na stawie będziemy mogli się minąć.

I z temi słowy zaczął manewrować wiosłem. Widocznie jednak nowicyuszem był jeszcze w tej sztuce, gdyż łódka nie poruszała się wcale.

— Niech pan podeprze z prawej strony — rzekła — mocniej! ach Boże! jakież pan niezgrabny!

— Ma pani słuszność — co prawda jest to dopiero trzecia moja wodna wycieczka, więc nie mam jeszcze wprawy i widzę, że uwięznę tu chyba, ta łódź widocznie zaczepiła się o coś...

— Mówie, niech pan odpycha się wiosłem z prawej strony!

— Ależ na prawdę, to niepodobieństwo, ta łódka jest jak przymurowana

— co tu zrobić? przecież niepozwołę, żeby pani miała mi z drogi ustępować.

— Wiec ja panu pomogę ruszyć to czółno — rzekła — i z temi słowy przysunęła swą łódkę bliżej — i jednym zręcznym skokiem była już w czółnie nieznanomego.

— Przecież nie możemy tu obozować — mówiła — a chociaż mogłabym sama bardzo łatwo powrócić tą drogą, którą przybyłam, ale znowuż nie mogę zostawić pana uwięzionym w łodzi...

bardzo rzadko tu można kogo spotkać, mógłby pan więc siedzieć przez dzień cały w tem miejscu.

— Jakżeż mam pani dziękować ?!

— Najlepiej wcale nie dziękować, tylko przedewszystkiem przyczepić moją łódkę do pańskiego czółna; tam jest przybity łańcuszek, a ja tymczasem zobaczę o co się pańskie czółno zatrzymało. Ach! takie głupstwo! szczebiotała, w wodzie jest jakaś gałąź i o nią zaczepił się łańcuch od czółna. Stoimy wiec na kotwicy! Teraz podsunąwszy wiosło pod czółno, łatwo nam się będzie uwolnić. O widzi pan, już jesteśmy wolni! Teraz proszę wziąć wiosło z mojej łódki i oprzeć je mocno z prawej strony o dno. ja to samo zrobię z lewej. Zaczynamy wiec, raz! dwa! trzy! Widzi pan, że już płyniemy, niedługo będziemy na stawie, niedaleko grobli. No teraz jesteśmy już u celu, zwracam pańskie wiosło i przesiadam do mojej łódki.

Chociaż młody człowiek rad byłby przeciw temu protestować, nie miał jednak dość czasu. Zręczna dziewczyna bowiem w jednej chwili była już w swej łódce, odczepiła ją i wprawnem poruszeniem wiosła, odrazu oddaliła się o parę sążni.

— Niechże pani podziękuję przynajmniej! wołał za nią.

Lecz ta udała, że tego nie słyszy, ukłoniła mu się tylko z wdziękiem i szybko popłynęła ku grobli. Niewprawny żeglarz próbował ją gonić, ale napróżno. Dziewczyna kierowała łódkę z wielką wprawą i zanim ten zdołał kilkanaście sążni prze

płynąć — ona już była u brzegu... i pobiegła do młyna.

Niewprawny żeglarz pocieszał się nadzieją, że ją raz jeszcze spotka. Wszakże sama mówiła, że śpieszy do młyna i musi niebawem powracać. Nie przybijał więc do brzegu, lecz lawirował po stawie...

Zajął stanowisko obserwacyjne i czekał. Co prawda niezbyt długo, bo po kwadransie może, już dziewczyna wskoczyła w łódkę i prosto przez sam środek stawu popłynęła ku rzeczce. Próbował ją dogonić — ale wioślarz debiutant nie mógł mierzyć się z wprawną kierowniczką łódki. Ograniczył się więc tylko na ukłonie, na który lekkim skinieniem głowy i uśmiechem odpowiedziała, a kiedy już zniknęła mu z oczu łódka pod cieniem olch przybrzeżnych, przypłynął do brzegu i przez groblę, powoli, udał się do młyna.

Tam się zapewne dowie, kto jest ta piękna, młodziutka nieznajoma?

II.

Przed dworkiem, na owym kręgu ogrodzonym i piaskiem usypanym starannie, kilku chłopców stajennych na ładnych i rośłych koniach jeździło W kółko. — Wyprostowani jak struny, słuchali komendy, stosownie do której robili zwroty, zatrzymywali się, lub też posuwali się naprzód.

Na środku tego zaimprovizowanego maneżu stał sam pułkownik. Twarz miał ogorzałą, nos otii, a usta zasłonięte długimi białymi wąsami. Ubrany był w biały, opięty surdut, buty z cholewami, a na głowie miał furażerkę wojskowego kroju. W ręku trzymał szpicrutę, którą gniewnie poruszał ilekroć koń niedobrze wykonywał ewolucję, lub który chłopak zaniedbywał się na siodle.

Marszczył się wówczas stary, komenderował stój! a zbliżywszy się do niepojętnego ucznia, tłumaczył mu zasadę, nie szczędząc przy tem różnych komplementów.

Dziś jakoś pomyślnie skończyła się lekcya i pułkownik w dobrym był humorze, bo chłopcy się starali zadowolnić starego. Kazał im zejść z siodła, przeprowadzać konie powoli żeby ostygły, a sam usiadł na ganku, fajeczkę zapalił i patrzył...

Drzwi otwarły się zcicha i ukazała się w nich nasza znajoma z porannej wycieczki. W czarnych, lśniących włosach miała wpiętą maleńką szkarłatnej barwy różyczkę, na twarzy igrał uśmiech, Pocichu stanęła za krzesłem starego i z nienacka obydwoma rączkami zakryła mu oczy...

— A jesteś panna ? rzekł śmiejąc się, gdzieżeś to tak wędrowała od rana?

— Ach, dziaduniu kochany, byłam we młynie, u tej biednej chorej, wozłam jej właśnie krople, które dziadzio tak zachwalał na febre.

— Tak.... tak... bądź pewna, że jej pomogą; już one niejednego postawiły na nogi — ale cóżeś tam widziała więcej w tej podróży ?

— Niezapominajki... olszynę... bociana...

— Wronę! cztery żaby! trznadla! mości dobrodzieju... prawda?

— Dziadunio śmieje się ze mnie!..

— No tak, bo ja się pytam coś widziała? a ty mi powiadasz: bociana... olszynę... wierzbine ... Toć wiadomo że w lecie są bociany, niezapominajki i inne różne rzeczy — ale czy nad to nic widziałaś nic więcej?

Dziewczyna zarumieniła się mocno i po krótkim namyśle odpowiedziała:

— Nic, dziadziu...

Sama nie wiedziała dlaczego, ale skłamała, a chcąc jak najprędzej uniknąć dalszych zapytań, wybiegła do pokoju, pod pozorem że chce dziadkowi przygotować śniadanie. Liczyła na to, że staruszek, którego czas bardzo był systematycznie ułożony, po śniadaniu zaraz wyjedzie na łąki i w pole, a ona tymczasem ochłonie z wrażenia i uporządkuje myśli, które jakoś dnia tego dziwnie były podobne do pasma nitek splątanych.

Zwykle, gdy się krzątała po domu, na ustach jej brzmiała piosenką wesołą, dziś uwijała się milcząco, a taka była roztargniona szczególnie, że zamiast w filiżankę naląła kawy na talerz. Spostrzegła się jednak dość wcześnie, bo gdyby dziadzio zobaczył! — żartowałby z niej przez dzień cały. Jeszcze ii i..... Junosza. Z mazurskiej liemi.

się nie skończyło śniadanie — a już przed gankiem stał piękny, kary wierzchowiec, z niecierpliwością bił nogą w ziemię i gryzł błyszczące wędzidło.

Stary wnuczkę w głowę pocałował, czapkę włożył i wyszedłszy przed dom rażno na konia wskoczył; kary rzucił się kilkakrotnie, lecz silną reka jeźdźca osadzony na miejscu, spokojnie stępa poszedł za bramę.

Pułkownik wyprostowany po wojskowemu, z prawą ręką opartą na biodrze, defilował jak niegdyś przed frontem — i ktokolwiek go ujrzał nie mógł na żaden sposób przypuścić, że widzi przed sobą starca, dźwigającego siedm krzyżyków na grzbiecie. A jednak tak było. Dzielny starzec zahartował się w trudach i niewygodach żołnierskich; nie oszczędziły go kule w bitwach, bo kilkakrotnie był ranny, nie oszczędzało

go i życie samo, gdyż przeszedł całą szkołę niewygód, kłopotów, ciężkich zmartwień i strat bolesnych... a jednak nie ugiął się i nie złamał... Rogata dusza siedziała w tem ciele, ona to ożywiała je i dodawała sił, gdy krzyże były zbyt ciężkie, — ona podtrzymywała go, zachęcała do życia... A trzeba było jakiejś zachęty i podniety, bo samo życie zbyt mało przedstawiało powabów. Młodość jego na burzliwe natrafiła czasy — i gdy mu się właśnie uśmiechało szczęście, gdy był przy boku kochającej i ukochanej kobiety, gdy patrzył na dziecię igrające na jej kolanach, powołano go gdzieindziej; — poszedł tam gdzie krew się lała

i ludzie jak skoszone kłosa padali — i nie oszczędzany w tym boju, skaleczony, jak liść uniesiony na wzburzonej fali rzeki, wyrzucony został na obce, a niezawsze gościnne brzegi.

Kawał to czasu już temu.

Wydobrzawszy, Południe całe przeszedł i Wschód, ale i pod rozkosznem niebem Włoch i nad brzegami Bosforu nie zaznał upragnionego spokoju. Zawsze ciągnęła go nieprzeparta tęsknota do swoich, do rodzinnego zakątka, do tych łąnów obszernych i lasów cienistych, które z oddalenia wydawały mu się tak cudownie pięknymi, jak żaden krajobraz na świecie. Patrzył na palmy, a myślał o sośnie karłowatej, oddychał wonią wspaniałych kwiatów południa, a oddałby je wszystkie za jeden wonny bławatek z sandomierskiej pszenicy, przechadzał się pod smukłemi portykami najwspanialszych dzieł architektury — a zapłakałby rzewnie gdyby mu dano ujrzeć zwykłą wioskę ubogą, gościniec nasz piaszczysty i poczerniały od deszczów krzyż przydrożny. ..

W pracy, nieraz nad siły podejmowanej, znajdował najskuteczniejsze przeciw tęsknocie lekarstwo. Po kilku latach wędrówki do książki się wziął, uczył się, wyższą szkołę w Paryżu ukończył, a kiedy otrzymał z kraju wiadomość, że mu śmierć ukochaną kobietę zabrała, wstąpił do wojska znowuż i szukał zapomnienia w Algierze. — Nigdzie jednak nie zaznał pociechy, nigdzie ukojenia. Tę

sknotę i żal miał za nieodstępnych stałych towarzyszków.

Wreszcie i jemu uśmiechnęło się szczęście — mógł wracać. Miał jeszcze córkę w kraju — córkę zamężną już i szczęśliwą podobno, przy niej też miał zamiar przepędzić starość i odpocząć po ciężkiej życiowej wędrówce

...

Niedługo miał jednak te pociechę upragnioną i spokój. Córka słabego zdrowia była i zmarła, zięć zaś, ladaco niestety, wyjechał w inne strony i ożenił się z jakąś bogatą wdową, a pułkownik pozostał znów samotny i smutny jak przedtem.

Nie wyrzekał jednak i nie złorzeczył losowi, bo po córce pozostała mu wnuczka, śliczne dziecko, z czarnymi, rozumnymi oczami. Gdy szczebiotała do niego, targała mu wąsy, gdy obejmowała jego szyję rączkami drobnymi, to zdawało się staremu. Ie nic w życiu nie przeszedł, że żadnej boleści nic zaznał — że to był tylko sen przykry, krótkotrwały, po którym najpiękniejsza nastąpiła rzeczywistość. Nieraz w takiej chwili po jego twarzy spływała łza rozrzewnienia, nieraz wznosił oczy do nieba, jakby tem wejrzeniem chciał przesłać dzięk serdeczny za jedyną, a jednak tak wielką pociechę.

Wziął wnuczkę całkiem do siebie. Zebrawszy resztki funduszków kupił ten mały folwarczek — i uciekł ze skarbem swoim w ustronne zacisze. Klarcia była dzieckiem wątłym i słabowitem, ale powietrze, balsamiczna woń iglastego lasu i ruch ciągły wzmocniły, zahartowały ją, a gdy podrosła

już nieco, ćwiczenia fizyczne wykształciły jej mięśnie i rozwinęły ciało. Klarcia miała swego własnego konika, białego jak mleko, spokojnego, ujeżdżonego wybornie. — miała łódkę, w której puszczała się na rzeczkę i na staw szeroki, w zimie zaś używała ślizgawki, którą namiętnie lubiła. O ile jednak stary wiarus dbał o zdrowie i rozwój fizycznych sił dziewczęcia, o tyle z drugiej strony nie zapominał o potrzebach duszy i umysłu.

Wziął do domu ubogą, lecz ząną i w dobrych zasadach wychowaną kuzynkę, któraśas tępowala matkę Klarczi — a oprócz tego przez lat siedm, zdolna nauczycielka, nie ze Szwaicaryi lub z Francyi, lecz wykształcona polka, była jej przewodniczką w naukach. Niemało też pomagał i sam dziadunio, dla którego lekcye z wnuczką były zatrudnieniem najmilszem. W tym roku skończyła się właśnie edukacya Klarczi. Panna Michalina, owa nauczycielka, byłaby bezwątpienia pozostała dłużej, lecz trafiło jej się wyjść zamąż, więc pożegnana serdecznie przez pułkownika i szczerze przywiązaną do niej uczennicę, poszła na swój chleb, a Klarcia dostała długą sukienkę i awansowała na dorosłą pannę.

Takie są, skreślone w krótkości, dzieje dziadka i wnuczki; pozostaje nam jeszcze trzecia osoba w dworku, a mianowicie ciotka Józefa.

Była to już osoba niemłoda, ale ani podobna do przeciętnego typu starej panny, typu, który się tak często w życiu daje spotykać. Pomimo wątłej i szczupłej postaci, pełną była siły, energii i życia. — Z ust jej nikt nie słyszał nigdy słów żalu i zniechęcenia — lecz przeciwnie, każde jej słowo głosiło idee czynu, pracy i miłości.

Bystre jej oczy przenikały do głębi, a chociaż twarz nie była piękną i świeżą, malował się jednak na niej wyraz dobroci, który nie opuszczał jej nigdy. — Skutkiem różnych okoliczności skazana na samotność, nie mając rodziny własnej, oddała serce całe domowi, w którym znalazła przytułek, a pozyskawszy szacunek pułkownika i serdeczne przywiązanie Klarci, stała się w tym domu tak niezbędną, tak konieczną niemal, jak matka.

Teraz znamy już wszystkich mieszkańców dworku, pędzących życie ciche, spokojne, a prawie szczęśliwe. Poważną zadumę na twarzy pułkownika rozprasza srebrzysty i wesoły śmiech Klarci — a ciotka podziela ich chwilowe smutki i radości.

III.

Wyszędłszy z czołna, które pozostawił na brzegu, młody człowiek zarzucił strzelbę na ramię i powoli, ze zpuszczoną głową, poszedł w stronę łąk.

Czuł się zawstydzonym i upokorzonym trochę. Wszakże przybył z wielkiego miasta na wieś, do brata, aby użyć wszystkich przyjemności wiejskich. Wybrał się na przejażdżkę wodną i na polowanie — ale przekonał się że ani czółna prowadzić, ani polować nie umie. Nawet marny wróbel nie jest jego myśliwskim trofeem, a gdyby nie pomoc jakiejś nieznanym panienki, byłby do tej pory siedział uwięziony w trzcinie, bo nie miał wyobrażenia o tem jak się z owej matni wyplatać. A przecież ani polować, ani pływać nie jest tak wielką sztuką.

Marcin, gajowy jego brata, prosty chłop, który prawdopodobnie ani czytać ani pisać nie umie, przyniósł tyle różnego ptactwa wczoraj — a wiosłować znów lada przewoźnik potrafi.

Co gorsza jednak (bo te dwie pierwsze nieumiejętności można wybaczyć) co gorsza jednak, to że on, obyty w salonach, używający przecież opinii człowieka umiającego z wystrojonemi paniami paplać o niczem z jak największą łatwością, wobec tej dziewczyny wiejskiej, tej jakiejś parafianki, rumienił i zachowywał się jak student.

Nie potrafił zdobyć się ani na jedno słówko grzeczne, ani na jeden komplement, co już przecież jest szczytem niepowodzenia! A ta parafianka znowuż ma w sobie jakiś wdzięk szczególny, piękna jest i śmiała, tą właśnie pełną prostoty śmiałością, która onieśmiela najśmielszych.

Nie ujął jej nawet za rękę, ba! nawet nie przedstawił się i nie powiedział swego nazwiska.

Tak może się znaleźć chyba tylko niedźwiedź, lecz nie stały mieszkaniac salonów, po których śliskich posadzkach umie się z taką łatwością przesuwac.

Takie czyniac sobie wyrzuty, szedł mlody czlowiek przez sciezke wydeptana wsród zielonej ląki, a sciezka ta wila się wsród upstrzonej kwiatami zieleni i niknela w malym lasku brzozowym.

Zaraz tez za laskiem widać bylo duzy dwor murowany o pietrze, dwor do ktorego wiodla szeroka lipowa aleja. Wygladal on na panska rezydencja, ale przypatrzyszy się bliżej znać bylo, że juz owa rezydencja panska dotknietą zostala zębem czasu, a z walacych się opodal zabudowań folwarcznych, z porozbieranych plotów, wial duch zniszczenia. Znać tu bylo nieład i upadek.

Wszakze przed stajnią, ktorej sciany popodpierano kołkami, stangret myl nową karetę — a na werendzie przed tak zwanym pałacem, wyfrakowany lokaj nakrywał do herbaty.

Słońce dość juz się wzbiło wysoko — w pałacu wstawano dopiero.

Najpierwsza na werendzie ukazała się sama pani domu, w eleganckim suto koronkami obszywanym negliżu, za nia wysunęła się sucha i sztywna miss, prowadzaca za rękę bladą, dziesięcioletnią dziewczynkę — wreszcie nadszedł gospodarz, mlody jeszcze, lecz zwiędły i znużony, czy może tez znudzony życiem przedwcześnie, a nakoniec nie przysła lecz przybiegła wesoła, szczenioczaca nieustannie panienska. Była to kuzynka pani domu, przybyła tu na lato.

Właśnie w chwili kiedy całe to grono zasiadło przy ogromnym stole, dźwigającym na sobie masę porcelany i srebra, nasz znajomy powrócił ze swej wycieczki.

— Zabijasz się kuzynie! rzekła blada pani, wyciągając rękę do niego — jakżeż można wstawać tak rano ?!

— Chcę używać wszelkich przyjemności wiejskich i dla tego dziś wcześniej wybrałem się z domu, później bo, co prawda, skwar nieznośny...

— Ach! kuzynek polował!? wtrąciła szczebiotliwa blondynka, bo widzę, że z bronią przyszedł! Czy nie każesz, panie Alfredzie, posłać ze dwa wozy po te zwierzynę, gdyż przepuszczam, że sam jej nie mogłeś udźwignąć.

— Panna Natalja musi zawsze żartować, a niestety, zasługuję na to, zrobiłem bowiem kompletne fiasco i nie przynoszę nawet wróbla.

— Co też mówisz Alfredzie ? rzekł gospodarz, u nas taka przecież obfitość zwierzyny.

— Być może, Stasiu, lecz ja właśnie nie chodziłem na polowanie, tak jak ty chodzisz na przykład. Co prawda nie ufałem swoim zdolnościom i nie brałem z sobą psa, bo się nic na tych, jak wy tam zwiecie: wystawianiach nie znam. A jednak chciałem coś upolować, choćby na złość panie Natalii, która podjęła się zwierzynę przezemnie zabić, upiec na swoim różowym paluszku...

— Widzi pan jednak, że mu niebezpieczeństwo nie grozi.

— Prawda, lecz bądź co bądź, chciałem żeby groziło. Udałem się więc wprost aleją lipową, potem polem, później przez brzezinę, przez łąki, aż nad staw...

— To już nie nasze terytoryuni — zauważył gospodarz.

— To mi było wszystko jedno. Idąc napawałem się świeżością poranku, który był istotnie prześliczny. — Nad brzegiem spotkałem jakiegoś młynarczyka, ten pozwolił mi wsiąść do swej łodzi i powiedział, że w trzcinie jest mnóstwo dzikich kaczek, kurek wodnych i innych ptaków, których nazwisk już zapomniałem w tej chwili. Należało tylko podpłynąć powoli, bez szelestu i strzelić, a paluszek kuzynki będzie musiał pełnić funkcję różna... Rzeczywiście, ten sposób wydawał mi się bardzo dobrym. Wsiadam więc w czółno i jak moge radzę sobie wiosłem.

— A czy kuzynek równie dobrze wiosłuje jak strzela?

— Prawie tak samo, z tą tylko różnicą, że łatwiej jest trafić wiosłem w wodę, aniżeli śrutem w ptaka. W każdym razie, znajduję że pływanie czółnem nie jest tak dalece trudnem, gdyż ostatecznie udało mi się dotrzeć do owej trzcinicy. Wysoka ona jest i gęsta — ale zauważyłem, że wśród niej wyrobiona jest jakby dróżka, jakby jakiś korytarzyk mały. Otoż myślę sobie, tam wjadę — a jeżeli w owej gęstwinie nie zabiję z pół kopy dzikich

kaczek, dzikich kur i dzikich indyków — to już chyba stanowczo nigdy myśliwym nie będę.

— I niestety przepowiednia się sprawdziła! Kuzynku! ja mam ochotę napisać elegie na zgon twej sławy myśliwskiej.

— O! nie spiesz — pani, przygoda moja jest raczej materiałem do bardzo romantycznej ballady...

— Romantycznej? — zapytała pani domu — zaczynasz nas zaciekawiać Alfredzie.

— Co prawda, najbardziej zaciekawiony jestem ja sam, ale słuchajcie państwo... Płynę wśród owej trzciny i obliczam wiele mam nabo i czy wszystka zwierzyna zmieści się w czołno, w tem łódź unosząca mnie i moje losy, zatrzymuje się tak, że jej ani naprzód ani w tył posunąć nie mogę. — Wszystkie wysiłki mojej inteligencji i mięśni są nadaremne — i widzę że jestem skazany na uwięzienie w trzcinie, w towarzystwie dzikich kaczek. Rzeczywiście sytuacja nie do zazdrości! Gdy rozmyślałam jakim cudem wyjść z tego położenia, nagle słyszę jakiś szum, trzcina się rozchyła i zgrabna, malowana łódka uderza w przód mego czołna. Z początku przestraszyłem się, ale zdziwienie moje jeszcze bardziej wzrosło, gdy ujrzałem w czołnie...

— Zapewne młynarza?

— Prześliczną, młodziutką osobkę...

— I jakże, w obec tego, śmiesz twierdzić kuzynku, że nie masz szczęścia do... kaczek?!

— Ej kuzynko, nie żartuj, gdyż zaręczam, że byłabyś szczęśliwą — i bardzo szczęśliwą, gdybyś przy twoich blond włosach, mogła mieć takie piękne, duże, czarne oczy. co wszakże nie jest powiedziane z zamiarem ubliżenia twoim...

— Ależ nie kłóćcie się o oczy, tylko opowiadaj co się dalej stało!

— Ano — to się stało, że jako grzeczny młodzieniec, chciałem jej z drogi ustąpić, a jako niezgrabny wiosłarz nie mogłem ruszyć się z miejsca.

— I zostaliście tym sposobem uwięzieni w trzcinie ... oboje ?

— Ale gdzież tam! Widząc moją niezgrabność, wskoczyła do czółna w którym ja siedziałem, ruszyła kilka razy wiosłem i wyprowadziła mnie na czystą "łódę, a potem do swojej łódki przesiadła — ukłoniła mi się bardzo grzecznie i...

— I?

— No — i już koniec. — Chciałem wprawdzie spotkać ją gdy powracała z młyna, ale zanim zdołałem zrobić kilka niezgrabnych poruszeń, łódka jej pomknęła szybko przez sam środek stawu, a ja wysiadłem na ląd i powróciłem tu, rozmyślając przez drogę o tej ślicznej rusałce — i gubiąc się w domysłach, z kąd ona tam się wzięła i co za jedna jest?

— O, uspokój się kuzynie, my ci te zagadkę rozwiążemy, ta rusałka to jest pułkownikówna z Borków.

— Tak — rzekła z przekąsem pani domu — Natalcia domyśliła się odrazu, co zresztą było bardzo łatwym, gdyż panna Klara znaną tu jest w okolicy...

— Braterstwo bywają w tym domu?

— Z kąd znowuż?! co prawda oni także nie żyją prawie z nikim. Maleńki folwarczek. ledwie piętnaście włók. Pułkownik stary oryginał. a panienka wychowana jak dragon.

— Ostrożnie kuzynku z tą pięknnością — zauważyła panna Natalia — zawojowałaby cię odrazu ... Nawet co do mnie, to nie wiem czy ją mam uważać za kobietę...

— Jakto? cóż znowu?

— Bo to dziwna mieszanina! Jest to pół syrena, pół dragon — albo chlapie się po stawie jak kaczka — albo harcuje na koniu, jak baszybuzuk ..

— O, kuzynko, cóż za porównania!...

— Ależ tak, tak, — wtrąciła pani domu — raz jechałyśmy z Natalcia wolantem na spacer, wtem na polu wzniósł się tuman kurzu... Stangret nasz zatrzyma! konie i powiada: proszę jaśnie pani. pułkownik poluje. Biorę szkło — patrzę i cóż widzę? Naprzód pędzi zając, zanim dwa charty, a za nimi tuż, tuż, ta twoja dzisiejsza rusałka i pułkownik konno. Wszystko to pędzi jak uragan! przeskakują przez rowy, a ta... przecież panienka... przebiegając koło naszego powozu, trzaska z harapnika tak głośno, że mi później z pięć minut

W uszach dzwoniło. Jeżeli ci się podobała, to winszuje owego ideału z kańczugiem, ale... nie zazdroszczę.

— Widziałam też raz w kościele jej rączki... opalone i wcale nie zgrabne.

— Ale bliżej jej panie nie znacie? nie wiecie czy jest wykształconą...

— Nie widziałam w niej ani materiału do studyów, ani właściwej dla nas towarzyszki. Co do wykształcenia... miała jakąś guwernantkę i podobno edukację kończyła w... Borkach. Przypuszczam, że musi umieć dobrze smarzyć konfitury i prawdopodobnie z powodzeniem trudni się hodowlą drobiu...

Pan domu z niecierpliwością wąsy przygryzał milcząc, pani zaś cedziła dalej zwolna, jakgdyby delektując się dźwiękiem własnych wyrazów:

— Tak, kochany kuzynie — bezwątpienia, dla jakiego ekonoma, lub drobnego dzierżawcy, partya to świetna — nawet majątkowo może — ale

dla człowieka z towarzystwa, to, choćby zamknąć oczy na ekscentryczne wychowanie panny, bo jak wiadomo, kobieta się prędko do otoczenia przyzwyczaja i potrafi zastosować się do sfery w którą wchodzi, gdyby, powiadam raz jeszcze, zamknąć na to wszystko oczy — to i ów dziadunio marsowaty, egzemplarz przypominający starego kaprała ze sceny, jest niezbyt ciekawy!

Pan domu poruszył się gniewnie.

— Moja Lorciu, mogłabyś być bardziej względna w sądach.

Przedewszystkiem pułkownik jest człowiekiem honoru, zasługi i uczciwości nieposzlakowanej, powtóre panienska nie jest tak źle wychowana jak ci się zdaje.

— To zależy od poglądu.

— Pozwólże mi także mieć własny pogląd na rzeczy. Nareszcie, co do sytuacji materyalnej, to kto wie, czy za czyste, nieodłużone, nie potrzebujące pomocy lichwiarskiej Borki, nie oddałbym z chęcią naszego obszernego Starzyna...

— Tak pan sądzi?: — spytała uszczypliwie zona.

— To jest moje głębokie przekonanie. Tara żyją spokojnie, pracują i mają swój własny kawałek chleba — do nas przez szybę wiedeńskiej karety zagląda lichwiarz, a w każdej cegle tej naszej rudery, zyyanej pompatycznie pałacem, siedzi grosz cudzy, który gnębi całym ciężarem. Pani wstała od stołu.

— Chodź Natalciu — rzekła — mój pan zrzedzi. Jest to widzisz, procent od krociowego majątku, który mu yyniosłam wraz z sercem...

niezrozumianem niestety! Chodź i ucz się, jaki los nas oczekuje po wyjściu za mąż.

Pan Stanisław nie oponował, na ceremonialny ukłon żony odpowiedział ukłonem, poczem wstał i z bratem poszedł w cieniste aleje ogrodu.

— Oto — rzekł do Alfreda — masz obraz jaśniepańskich resztek, tego wstrętnego kwasu, który

zatrul, a i ztruwa jeszcze dotąd, nasze życie I ja toczyłem się i toczę dotąd po tej pochyłości fatalnej, — fatalnej, bo już sposobu zatrzymania się nie widzę, bom słaby, bezsilny i jak bryła bezwładna, spadam swoim własnym ciężarem. Mnie już nie pora się cofać, ale tyś młody, czas masz jeszcze przed sobą. Zaledwie ci dwadzieścia cztery lata ubiegło...

— Ależ doprawdy, ja nie rozumiem dokładnie, do czego, kochany Stanisławie, te wyrazy twoje, pełne żalu i goryczy, prowadzą? Nad czym właściwie płaczesz: — przed jakim niebezpieczeństwem mnie ostrzegasz?

— Tem gorzej dla ciebie, że nic rozumiesz. Nie będę cię też długo nudził morałami i wskazywaniem prawdy, którą niestety znalazłem zbyt późno; powiem ci tylko tyle, że nam młodość schodziła bez troski, jak ów dzień motylka, o którym mówi poeta, to też gdy ostrzejszy wiatr zawiał, staliśmy się jak motylki bezsilne, jak trawa zwiędła od przymrozka. Nas pytano tylko: co masz i z kąd pochodzisz, a odpowiedź na to wystarczała — dziś pytają człowieka: co umiesz? i w tem jest cała różnica.

— A cóż komu do tego, co ja myślę i co umiem? pora egzaminów przeminęła już dla mnie.

— Tak ci się zdaje... No to spróbuj. Dogryź resztki tej ojcowizny, która ci do jakiegoś czasu chleb daje i chciej żyć o własnych siłach: — Pójdź, spróbuj powiedzieć ludziom że czas egzann

nów już minął dla ciebie! Rozśmiej ci się w oczy. Nic pozwolą ci tłuc młotem w kuźni, jeżeli nim władać umiejętnie nie potrafisz! Zechciej ustalić sobie życie i wejść do rodziny — ale nie z naszej, nieopatrznej sfery, gdzie jeszcze patrzą tylko na nazwisko, lub na majątek; ale chciej wejść do rodziny zacnej, już odrodzonej w chrzcie niedoli i pracy... Pójdź, powiedz tym ludziom, że przychodzisz do nich z uczuciem serdecznem. powiedz żeby ci powierzyli swe dziecko ?

— Więc cóż ? więc sądzisz żeby. mnie odepchnięto? — żeby mnie odmówiono? ależ bracie, nareszcie ten twój pesymizm zaczyna być nudnym!. Bądź co bądź, przecież...

— Bądź co bądź — zawołał zdenerwowany Stanisław, chwytając go za rękę — możesz mieć zaraz dowód. Patrz, tam po za tą brzezina, zu stawem, jest biedny szlachecki folwarczek... w nim mieszkają ludzie należący, podług mnie, do zdrowej, rdzennej, jędrnej sfery społecznej, a mówiąc językiem mojej żony, mieszka tam stary kapral z komedyi — i ta dziewczyna, niby półsyrena. półdragon, specjalistka od konfitur i kurcząt. Każ że sobie zaprządz moje kare konie do powozu, pojedź tam i powiedz: — Pułkowniku, jestem Alfred X., współwłaściciel Starzyna... Wypada na moją część blisko sto włók ziemi (tylko nie powiedz czasem, że na każdej włóce siedzi trzech żydów), mam powóz, służbę w liberyi. Otrzymałem edukację w domu, pod kierunkiem bardzo miłej

guwernantki, resztę wiadomości dopełniłem za granicą. Mam tyle i tyle z dzierżawy — i przychodzę prosić cie pułkownika, abyś mi pozwolił bywać W twym domu, W zamiarze starania się o rękę twoje; wnuczki. Idź, powiedz mu to, a jak usłyszysz od niego odpowiedź, wtenczas racz osądzić czy mój pesymizm jest prawdą? czy też utworem chorobliwej wyobraźni, zdenerwowanego, zmęczonego ciężkiem życiem człowieka? — Co też ty mówisz? mnieby nie przyjęto? mnie ?! któremu w Warszawie tyle się świetnych partyj trafiało. Wybacz bracie, ale to już chyba złudzenie, którego powód zaliczyć trzeba na karb cierpienia i źle przepędzonej nocy...

— To jeszcze wielka kwestya, mój kochany...

IV.

Wieczorem już późnym, kiedy ludzie dawno od roboty powrócili z pola, a w folwarku ruch ustał, w skromnym dworku pułkownika zgromadziła się przy stole cała niewielka rodzina.

Pułkownik w dobrym humorze był, cieszył go spodziewany świetny zbiór siana, bo trawa była w pas i miano za kilka dni do koszenia się zabrać.

Zboże zapowiadało się także bardzo pięknie, byle więc pogoda podczas sprzętu dopisała, nie będzie zmartwienia.

Ciotka Józefa zdawała relacje ze swego gospodarstwa kobiecego, w którym także wzorowy ład, a rygor niemal wojskowy panował, jedna tylko Klarunia była milcząca, co tem dziwniejszem się zdawało, że zwykle szczebiot jej i śmiech srebrzysty rozweselał i dziadka i ciotkę. Naturalnie, że to milczenie dzisiejsze nie uszło uwagi obojga. Pułkownik żartobliwie o przyczynę smutku pytał.

— Cóż to ? — mówił, przyznaj się czy ci jaki ptaszek zdechł? czy broń Boże, biały kotek zakulał, czy inne jakie nieszczęście się stało? Co? powiedzże Klaruniu, nie trzymaj nas w takiej niepewności. Ptaszkowi możemy świetny pogrzeb wyprawić — do kota można kowala zawezwać, przecież on nawet konie leczy, bat i ludziom, jak potrzeba, zęby wyrywa — czemuż by kotowi nie mógł nogi opatrzyć?

— Dziadzio sobie żartuje — ptaszki żyją, a kot śpi jak zabity pod piecem i cieszy się wybornem zdrowiem.

— Więc czemuż mam twoje zmartwienie przypisać ?

Klarcia wstała, objęła starca za szyję i rzekła z pieszczotą.

— Nie, drogi dziadziu, zmartwień żadnych nie mam, a zresztą jakież bym nawet mogła mieć zmartwienie, będąc otoczoną tak zacną i troskliwą opieką? Nie zważaj na to, dziaduniu, to tylko lekki

ból głowy. Nie wiadomo z kąd przyszedł, nie wiadomo gdzie się podzieje — jutro znów będę wesola i jeżeli dziadzio pozwoli, towarzyszyć mu będę w wycieczce na łąki.

— Ale owszem, dla czegoż nic miał bym pozwolić ?

— Teraz chciałabym wyjść do ogrodu — jest taka piękna noc, taki miły wietrzyk wieje od wschodu, że może jego orzeźwiające tchnienie będzie najlepszym dla mej chorej głowy lekarstwem.

To mówiąc zarzuciła chusteczkę na ramiona i wyszła. Pułkownik z ciotką Józefą zostali sami.

Dość długo trwało milczenie, aż je pierwszy przerwał pułkownik.

— Wiesz co Józiu, — rzekł — ten jej ból głowy nie fest naturalny.

— Co też wujaszek mówi ?

— Powoli, powoli moja pani, znam ja się na tem potrosze. Czy my, niech cię to moja Józiu nie obraża, czy my starzy nie zapominamy, że to dziewczyna dorosła? Nam się zdaje ciągle, że to ta sama maleńka Klarcia, którąśmy na rekach nosili, a to, mościa dobrodziejko, panna już. — Czy tam serduszko nic zaczyna już pukać? Czy temu pisklęciu, nad którym czuwamy oboje, nie zaciasno już w gniazdku? czy nie chciałoby ono własnego lotu spróbować, o swoich siłach w świat polecieć — a nas tu samych zostawić ?

— Czyżby mogła?

Ba! naco tu się łudzić, nam starym do pacierza, ciepłego pieca i różańca, a jej na świat dopiero ... Czyż byłbym tak samolubny, żebym dla własnej przyjemności i pociechy, miał ją więzić przy sobie? To się po mnie nigdy

nie pokaże; pragnę jej szczęścia, niech ona je znajdzie, a ja tu zostanę szczęśliwy. Tylko o jedno mi idzie...

— Słucham wujaszka.

— O ręce w jakie się ten skarb dostanie, o te ręce, Józieczko. Niechby one były nawet narobione i grube, tem lepiej! bo dziś nastał czas pracy, ale żeby czyste i zacne były. Okropność pomyśleć, moja Józieczko gdyby się inaczej stać miało, nie przeżyłbym tego... a zdaje mi się...

— Co się wujowi zdaje? na miłość Boską, domyśleć się nawet nie moge.

— Zdaje mi się, chociaż pewności bezwarunkowej nie mam, że w dzieweczce naszej serce się budzi.

— Ależ pułkowniku, wujaszku, kto? gdzie? jak?! ja o niczem nie wiem.

— Otoż widzisz że ja także nie wiem, i w tem jest, mościa dobrodziejko, sęk — i to najgorszy!

Panna Józefa rozśmiała się głośno.

— Ależ, wujaszku, czegóż się wiec lękasz? Jakto, pułkownik! stary wojak, boi się jakiegoś przywidzenia, jakiejś mary sennej, która nie istnieje. Coż bo znowu?

— Bagatela! — a wieszże asińdźka, że nieprzyjaciel, którego się nie zna, gorszy jest od ja

wnego, wieszże ty, że łatwiej się obronić przed wilkiem napadającym jawnie, niż przed żmiją, która skrycie przypełźnie i ukąsi?...

Stara panna chciała coś powiedzieć... — Nie przerywajno! — rzekł niecierpliwie pułkownik — rozumujmy jak się należy... obmyślmy plan kampanii... rozstawmy torpoczty, pikiety, awangardy, ariergardy, korpus główny, rezerwy i posiłki...

— Na miłość Bożą ? — przecież nas tu tylko dwoje...
— Cicho bądź i nie przeszkadzaj! — In primis, laktem jest, że w Klaruni serduszko się budzi?
— Hm ... być to może...
— Nienawidzę półsłówki! — odpowiadaj wprost na pytanie: budzi się, albo nie budzi?
— Zdaje się ...
— Pst!?... czy się budzi, czy nie?
— No — niech będzie, że się budzi.
— A wiesz, do czego jest podobne serce takiego dziewczęcia?...
— Co prawda, nie zastanawiałam się nad tem.
— To szkoda; — ale ja zastanawiałem się zato i powiem ci: oto serce dziewczęcia podobne jest do uśpionego dziecka. — Skoro się dziecko budzi, otwiera szeroko oczęta — i pierwszy lepszy przedmiot, który zobaczy, bierze w drobne rączki z zachwytem — i cieszy się nim. — Z równą radością chwyci ono kwiat piękny, jak jadowity grzyb

jaskrawy... zerwie soczysty owoc, lub szalej trujący... Tak jest, czy nie? prawda, czy nieprawda?

— Niestety, najzupełniejsza prawda.

— Widzisz więc — jesteśmy tedy wobec nieprzyjaciela, który nas może lada chwila zaskoczyć. W takim stanie trzeba być baczny i czujny. Rozstawia się straż i pikietę — co należy do ciebie, Józieczko.

— Do mnie?

— Tak, do ciebie. Baczość! pamiętaj sobie, że powierzono ci ważne stanowisko. Za najmniejsze uchybienie sąd wojenny, — kulą w łeb! i do piechoty !...

— Wujaszku, cóż to za komenda? — rzekła stara panna z wyrzutem.

— Przetłómacz to sobie na język kobiecy — i strzeż mi Klarci, jak oka w głowie...

— Pocóż ? tutaj w tym zakątku, gdzie nikt prawie nie bywa!

— Kobieto! Borki to przecię nie wyspa bezludna, a miłość wszędzie trafi.

— Dlatego powiadam ci, uwaga i baczość! Ja sam odbywać będę małe rekonesanse — i dziś jeszcze rozpocznę układy o posiłki...

— Posiłki? no, tego to już nic a nic nie rozumiem ?!

— Zrozumiesz to zaraz. Mam w Kaliskiem przyjaciela i kolegę, który, chociaż znacznie młodszy, bo coś aż o dziesięć lat prawie, był mi towarzyszem w doli i niedoli. On powrócił do kraju

wcześniej odemnie, ożenił się i ma syna, bardzo zacnego chłopca. — W twarde; szkole wychowany, w dobrych zasadach, niedawno ukończył nauki i dziś, jako już wykwalifikowany gospodarz, ma podobno zamiar w służbę pójść i pracować. Walny chłopak, widziałem go parę lat temu — i odrazu mnie ujął za serce. Otoż on to będzie dla nas armią posiłkową. Dziś jeszcze napiszę do kolegi żeby mi go tu przysłał — a jeżeli po dwóch tygodniach pobytu nie pokocha naszej Klaruni — to powiem, że już obecna młodzież nie ma ani oczów, ani serc!

— Ten projekt mi się podobaj jeżeli wujaszek uważa, że ów młody człowiek posiada rzeczywiście te zalety... to zapewne jest zupełnie godzien, abyśmy mu nasz ukochany, najdroższy skarb powierzyli...

— Tak jest, a ponieważ co z głowy to z myśli, przeto proszę cię, kochana Józeczko, każ mi podać do mego pokoiku dwie świece — i natychmiast zabiorę się napisania listu, który przez umyślnego posłańca jutro na pocztę odeślę. Zarazem życzę ci dobrej nocy, kuzynko — i proszę, weź moje słowa do serca. Uważaj na każdy krok Klaruni, bo, powiadam ci, że to jej zamyślenie, to roztargnienie dzisiejsze, bez powodu nie jest... Z temi słowy staruszek wszedł do swego pokoju i otworzywszy staroświecki kantorek, zabrał się do pisania. — Stara panna tymczasem, zaczęła

szybko chodzić po saloniku, rozmyślając nad treścią tylko co ukończonej rozmowy,

Wzruszoną, niespokojną, a potrosze i zagniewaną była... Jakto ? pułkownik zalecał jej baczność, a zatem wymawiał poniekąd brak dozoru i opieki nad Klarcią. Jejktóraby dusze za to dziecko oddała...

Gdyby nie szacunek dla wuja i jego siwych włosów, umiałyby na to odpowiedzieć. Przygryzała wargi i szybko chodziła po pokoju. Badź co badź jednak, postanowiła Klarcię wybadać.

Klarcia, otulona lekką chusteczką, siedziała na ławeczce w ogrodzie.

Niebo było jasne i pogodne, a księżyc, połową srebrzystej tarczy świecący, płynął wysoko, na samym prawie szczycie widnokregu, rzucając łagodne światło na ziemię, drzewa i wody.

Promienie jego, niby długie nici srebrne, przemykały się pomiędzy gałązkami lip, klonów i czeremchy — a cienie drzew, jak fantastyczne sylwetki, rozkładały się po ziemi. — Wietrzyk łagodny roznosił wkoło

woń kwiatów, błotne ptactwo odzywało się na łąkach, a chór żab, szedł w zawody z turkoczającym młynem, jakby zagłuszyć go pragnął. Klarcia trzymała w ręku świeżo zerwaną różę, na której płatkach delikatnych drgały jeszcze rosy krople... Roża zdawała się uśmiechać do bladego światła, do gwiazd mrugających na niebie... zdawała się konać z uśmiechem...

Ostatni też to był uśmiech, gdyż białe paluszki dziewczęcia, machinalnie, bezwiednie może, zrywały listek za listkiem z płaszcza piękne; królowę; kwiatów — i po chwili w drobnej rączce Klaruni, zosrała tylko brzydka, zielonkowata łodyżka i szypułka kwiatowa, drobnymi pręcikami pokryta. Biedny kwiecie! zniszczono cię, niewiadomo za co i dla czego, zniszczono cię tak, jak los niszczy nieraz młodość budzącą się do życia... Z piersi Klaruni wyrwało się ciche westchnienie. Dla czego? — nie umiała sobie zdać sprawy, jak też nie mogła wytłómaczyć sobie właściwej przyczyny swego smutku, ani powodu, dla którego zamilczała o owym rannem spotkaniu. Dla czego milczała? — ona, która dotychczas ani przed dziadkiem, ani przed ciotką nie miała żadnego sekretu. Gzy kocha go, tego nieznajomego? — nie — ale nie powie że go spotkała. Czy jej się on podobał? — ani trochę, jest niezgrabny, wiosła nie Umie w ręku utrzymać — ale — ale... Nareszcie, czy ją co obchodzi? Ach Boże! obchodzi ją tyle, co śnieg przeszłoroczny, lub okwitnięta róża — ale chciałaby go koniecznie jeszcze raz zobaczyć. Czy Czuje dla niego jaką sympatyę? Cóż bo znowu!? ona go niecierpi, nienawidzi, gdyż przez niego skłamała, przez niego oto obskubała teraz prześliczną różę — ale

jak on się jej w nocy nie przyśni, to go znienawidzi bardziej jeszcze!... tak go znienawidzi, że... że się sama z żalu rozpłacze!

Taka to jest logika budzącego się serca; i nie dziw, budzi się ono, jeszcze dobrze oczu nie przetarło, jeszcze jest może pod wpływem sennych rojeń i marzeń, a zatem nie rozumuje zbyt ściśle... marzy.

Dźwięczny i donośny głos ciotki Józefy przerwał marzenia dziewczyny.,.

— Klarciu! Klaruniu !... rozlegało się wołanie.

Klarcia podniosła się z ławki i szybko pobiegła w stronę dworku.

V.

W Starzynie późno spać chodzili. — Oprócz sztywnej miss, która punktualnie o godzinie otej układała do spoczynku swe angielskie kości — wszyscy czuwali, zebrani w ogromnym salonie. Pan domu, pół leżąc w pięknym, niegdyś aksamitnym, a dziś dobrze już wytartym fotelu, wzdryga! się nerwowo, ilekroć doleciał go ostrzejszy głos żony. Pani koronkową chusteczką tłumiała ziewanie, a piękna Natalcia, to przekomarzała się z Alfredem, to znów wysuwała się przez otwarte drzwi na werendę, nucąc pod nosem jakąś piosnkę skoczną.

W ogóle w tem towarzystwie panowała atmosfera ciężka; złota nędza wyglądała tu z każdego

kąta. Spoglądała ona ze wspaniałego świecznika, z bogatych luster i mebli — i zdawało się że posiada sto twarzy, z których każda otwiera się szeroko i ziewa — ale tak spazmatycznie, nerwowo, że mimowoli do naśladowania pobudza...

Sie ziewała tylko piękna Natalcia — bo miała specjalną do tego przyczynę. Kuzynek Alfred był dla niej partya nie do pogardzenia. Życzyła sobie tego i pani Stanisławowa, a kuzynostwo nie stanowiło poważnej przeszkody. Połączywszy majątki Alfreda i Natalci, z dwóch dobrze zaszarganych fortun, można było utworzyć jedno, pozwalające, jakiś czas przynajmniej, żyć wygodnie i bez troski. Zresztą, Alfred był ulubieńcem chorowitej i bezdzietnej ciotki, a Natalcia miała znów wujaszka, szanownego prałata, który miał wcale piękni kapitał i... astmę. Jakkolwiek nie przypuszczam, żeby to miało być gorącym życzeniem Alfreda i Natalci, jednak oboje mieli słuszne powody spodziewać się, że, kiedy, po najdłuższym życiu, szanowny prałat, jako też i ukochana ciotunia, przeniosą się do lepszego życia — pozostanie im, bądź co bądź, miła po nich pamiątka.

Te wszystkie kombinacje pani Stanisławowa wielokrotnie i pilnie rozważała, a rozważała je tem usilniej, że przy połączeniu owych dwóch majątków, można się było spodziewać, iż Alfred nie odmówi pożyczki pewnej sumy na hypotekę Starzyna. Ta suma stanowić miała dla pani Stanisławowej jedno

zimę w Nicei, a zatem jeden więcej powód do swatania mężowskiego braciszka.

Dodać należy, że panna Natalcia nie była wcale brzydką. Szczupła, o regularnych rysach twarzy, obfitych włosach złocistych, odznaczała się alabastrową białością cery (z którego to zapewne powodu nosiła zazwyczaj czarne suknie), a na ustach jej, wykrojonych zgrabnie, igrał zawsze wesoły, nieco ironiczny uśmiezek — powtarzający się także w żywych, pełnych sprytu, oczach.

Trzeba przyznać, że piękna panna Natalcia była dość zaawansowaną na drodze do ujarznienia Alfreda i oplatania go w delikatne sidelka. Umiała ona wśród żartów i wesołej pustoty rzucać ku niemu mówiące, powłóczyście spojrzenia — umiała pozostawić reke w uścisku chwilę dłużej, niż na to konwenans pozwalał — a czasem, potrafiła nagle, wśród wybuchu wesołości, zamyśleć się raptem ... i długo pozostać w tej zadumie...

Kto ją tego nauczył? — nie wiem — prawdopodobnie salon i lustro — te dwie najwyższe klasy edukacji, pewnej, na szczęście nieznacznej już, liczby naszych kobiet.

Dziś panna Natalia rozwinęła atak na całym froncie. Przeczuwając w pułkownikównie niespodziewaną rywalkę, chciała się okazać od niej lepszą, piękniejszą i więcej ponętną...

Usiłowała rozmarzyć Alfreda śpiewem, olśnić wesołym szczebiotaniem. Oczami wyrażała głębokie uczucie, a mówiąc rozchyłała drobne usta tak po

wabnie, jak gdyby w czarującym uśmiechu chciała umieścić zapowiedź pocałunków gorących.

Nie udawało jej się to jednak dzisiaj. Alfred był smutny jakiś i roztargniony. Może niespodziewane spotkanie, a może też drażliwa dosyć rozmowa z pesymistycznie nastrojonym i zdenerwowanym bratem, usposobiły go do rozmyślań — ale piękna Natalcia widziała, że strzały ognistych wejrzeń chybiały, a nawet czarujący uśmieszek żadnego nie sprawiał wrażenia.

Gniewało ją to, lecz starała się nie okazywać gniewu po sobie, przeciwnie, zmieniła odrazu taktykę — i z wesołej, żartobliwej, uśmiechniętej, wnet stała się poważną i smutną. Przysunęła się z krzesłem nieco bliżej Alfreda i głowę wsparła na białej, wypieszczonej dłoni.

W zamyśleniu niby spoglądała przed siebie, czekając rychło li Alfred o przyczynę tej troski i smutku zapyta.

On jednak ani myślał tego uczynić. Przeciwnie, wyjął z bocznej kieszeni cygaro, zapalił je — i przez otwarte drzwi wyszedł do ogrodu.

Panna Natalia, jak na dziś, przegrała bitwę zupełnie. Gniewało ją to, szybkim też ruchem powstała z fotelu i zaczęła, tak prędko chodzić po pokoju, że aż na wpół drzemiąca pani otworzyła oczy.

— Co to Natalem? — zapytała.

— Nic — odrzekła Natalcia krótko.

— Wydajesz się wzruszoną.

— Nie — to ból głowy.

— Ach! migrena zapewne?

— Być może.

— Gdzież Alfred?

— Kto?

— Alfred?

Panna Natalia obejrzała się po salonie.

— Prawdopodobnie... pan Alfred wyszedł.

— Jako prawdopodobnie, — przecież zauważyłybyśmy to.

— O, mylisz się, ja byłam zamyślona, a ten pan, ten... twój kuzyn, nie ma widocznie zwyczaju kłaniać się wychodząc. Zresztą, cóż mnie to, ostatecznie, obchodzi? Nie czuję powołania do stanowiska bony, mającej uczyć prawideł grzeczności, tak już pełnoletnie dzieci...

— Cóż to, posprzeczaliście się może?

— Ja? za kogóż mnie bierzesz znowu? Czy przypuszczenie swoje oprzeć chcesz na jakimś staroświeckim przysłowiu ?

— Ale uważam, że na seryo gniewasz się na niego...

— Cóż mnie ten pan interesuje?

— No... przecież kuzyn — i dość blizki.

— To nic nie znaczy.

— Prawie że twój narzeczony.

— Rzecz szczególna! nie wiedziałam o tem że pan Alfred aż tak jest łaskaw, że chce mnie powierzyć misję noszenia jego nazwiska.

— Ależ... to prawie ułożone...

— Ha! ha! bez mojej wiedzy.

— Mogłaś się łatwo domyśleć,
— Nie odznaczam się darem domyślności, a jeżeli nawet kiedy mogłam o czymś podobnym marzyć" — to dziś czuję się zupełnie a zupełnie wyleczona, z tej chwilowej słabości. Im wcześniej, tem lepiej, zresztą, później byłoby już po nie wczasie...
— Natalem, ja ciebie nie rozumiem, a nawet ten ton uszczypliwy, którym do mnie przemawiasz, jest mi bardzo przykry.
— Wybacz, Lorciu, ale jestem tak rozstrojona ...
— To też pomówmy otwarcie, jesteśmy najzupełniej same, gdyż szanowny mój małżonek również po angielsku opuścił nasze towarzystwo.
— To widać modne teraz...
— Mój pan zawsze był taki, a teraz staje się jeszcze gorszym; ale — dodała z westchnieniem — cóż na to poradzić ? lepiej oto pomówmy o twojem dzisiejszem zmartwieniu. Wszak wiesz, że ja twego tylko szczęścia pragnę, a związek twój z Alfredem uważam za zupełnie stosowny i odpowiedni. Jest to bo, trzeba ci wiedzieć, młody człowiek comme il faut, ani podobny do swego brata. On pojmuje życie inaczej, lubi je i żyć pragnie, a o ile mi się zdaje, jest nawet do ciebie przywiązany. Natalia milczała.

— I cóż dziwnego zresztą? ciągnęła dalej pani. Gdzie znajdzie piękniejsze, bardziej wymowne oczy, taką elegancję, dowcip, umiejętność znalezienia się w towarzystwie? — Zna on aż nadto dobrze świat, w którym żyjemy, ażeby nie zauważył, że każda suknia, każdy stroik na

tobie najpiękniej wygląda. Jestem nawet moralnie przekonana, że twój śliczny obrazek jest głęboko w jego sercu wyryty..

Ten cały szereg komplementów, mających swe źródło w interesie kombinacji majątkowej i ewentualnego wyjazdu za granicę, wypowiedziała blada pani szybko, jednym tchem prawie, z ożywieniem, nadając tym wyrazom wszelkie pozory szczerości.

Nie przeszło to bez wrażenia, tera więcej, że Natalcia znajdowała zawsze w słowach i całym znalezieniu się kuzynki chłód pewien i sztywność, a sama będąc młodą, a młodość zayysze ma swoje prawa, choćby je niestosowne wychowanie usiłowało przełamać, czuła potrzebę wywnętrzenia się przed kimś życzliwym, wypowiedzenia pewnych swoich marzeń, na jasny horyzont których, teraz jakieś czarne nadciągnęły chmury.

— Bądź ze mną szczerą, Natalem. — mówiła dalej pani domu, — ja cię tak bardzo kochani... ja zasługuje na tve zaufanie...

Mówiąc to, białą swą i szczupłą ręką objęła talie dziewczęcia.

Pierwsze lody zostały złamane, w oczach panny Natalci błysnęła łąza szczerza.

Pani tymczasem rozpoczęła śledztwo...

— Powiedz ie mi, o co właściwie masz do niego żal?... czyście się posprzeczali?

— Nie.

— A więc, czy uważasz jaką zmianę w postępowaniu jego?...

— Ogromną!

— W czym mianowicie?

— W całym obejściu się w ogóle. Dawniej wesoły zawsze był, Śmiał się, żartował, często nawet umyślnie sprzeczał się ze mną, a dziś taki jest jakiś poważny, sztywny, jak gdyby mu z pięćdziesiąt lat wieku przybyło.

— Może to skutek rozmów z moim mężem, który, jak ci wiadomo, zawsze jest nastrojony grobowo — i nigdy nie wychodzi ze swej roli złowróbnego puszczyka. Dziwie się nawet, że nie porzucił mnie dotychczas i nie założył gdzie w mieście wielkiego przedsiębiorstwa des pompes funebres, co, jak się zdaje, najbardziej jest do jego usposobienia odpowiedni. Cóż zatem dziwnego, Natalciu, że Alfred, przebywając ciągle w towarzystwie takiego człowieka, słysząc nieustanne żale o upadku naszym, o położeniu rozpaczliwym, przepędzając kilka godzin dziennie obok takiego trapisty, który po to tylko otwiera usta, aby powiedzieć memento , spochmurniał i utracił chwilowo swoją zwykłą wesołość ...

— Być to może, a jednak ja, obserwując to pilnie, zauważyłam, że kuzynek Alfred niewiele chwil swemu bratu poświęca... ja... ja nawet — tu zapłonęła się mocno — może mi nie wypada tego. mówić, ale pr.yrzekłam ci być otwartą, — ja staram się śledzić wszystkie kroki Alfreda...

— Ty.! moja Natalem...

— Tak, ja, a właściwie nie ja... zresztą sama nie wiem...

— Wiec któż? jeżeli ty i zarazem nie ty?

— To moje przywiązanie dla niego, to też jestem zawsze przy nim myślą przynajmniej... Oto w tej chwili naprzykład... jego tu niema, wyszedł nie rzekłszy do mnie ani jednego wyrazu — a jednak ja go widzę.

— Gdzie go widzisz?

— O! mam wzrok doskonały! patrz tam — przez te drzwi do ogrodu otwarte. Wprost drzwi ciągnie się jak wiesz ten długi szpaler grabowy, ozdoba waszego parku. Otoż Alfred tam jest, na samym końcu alei. Stoi właśnie oparty o sztachety i myśli zapewne... o czym? nie wiem. ale że nie o mnie — to jestem aż nadto pewna tego.

— Ależ dziecko jesteś, jakim sposobem, w nocy, na takiej odległości można dostrzedz człowieka ? to niepodobieństwo.

— Jak dla kogo!! moja droga, zresztą jest to bardzo naturalne, nie! działa tu żadna siła nadprzyrodzona, żadne jasnowidzenie miłości, tylko obserwacja czujna i nieustająca. Otoż kiedy Alfred, nie

zważając na moją obecność, opuszcza! salon, widziałam, że zapalał cygaro — ja ogień ten widzę tam właśnie...

— Ach!

— Śmiejesz się zapewne z tak prozaicznego środka ... Cóż robić ? dawniej zakochanych prowadziły gwiazdy — dziś zaś innego ognia prócz cygarowego nie widzimy. Smutne to jest — o bardzo smutne. Mówiąc to znowuż oparła jasną swą główkę na reku i utonęła w milczeniu.

— Wiec twierdzisz Natalciu, że usposobienie mego męża nie mogło na Alfreda wpłynąć niekorzystnie ?

— Prawie pewnam tego. A w każdym razie, chociażby nawet ten wpływ mógł oddziać, to nigdy w takim aż stopniu.

— Przypuszczasz więc, że sa inne jakieś wpływy ?

— Tak jest, chciałabym się nie domyślać, a lękam się odgadnąć.

— Ależ na czym opierasz twoje przypuszczenia:

— Na całym szeregu spostrzeżeń. Ty, moja droga, będąc słabowitego zdrowia i sypiając prawie do południa, widzisz go tylko przez pół dnia zaledwie, ja zaś.

— Jakto? Natalciu, czyż byś ty teraz o wschodzie słońca wstawała!:

— Tak ... tak ... pomimo odmiennego zupełnie przyzwyczajenia, widuje codzień jutrzenkę, którą dawniej oglądałam przypadkowo tylko, po

wracając z zabawy... Zmieniła się postać rzeczy — dawniej wschód słońca mnie usypiał, dziś budzi.

— I cóż ty nieszczęśliwa robisz przez ten czas ?

— Co ja robię? gram rolę Ofeli; przechadzam się po alei grabowej i oskubuję pierwszą lepszą różę, jaka mi wpadnie pod reke... śpiewam przytem coś smutnego...

Rozśmiała się pani.

— A Cóż robi o tej porze twój Hamlet?

— Otoż to, że nie wiem.

— Śpi zapewne.

— O nie, moja droga, mój nieduński królewicz wstaje jeszcze wcześniej i nieudalo mi się powiedzieć mu o wschodzie słońca dzień dobry . Witam go dopiero znacznie później, kiedy już powraca z wycieczki.

— Opowiadasz mi prawdziwe nowości i, rzecz dziwna, ani przypuszczałam nawet, że w moim własnym domu, dzieją się takie nadspodziewane dla mnie historyę. Alfred wstaje przed świtem i znika! Natalcia zrywa się o wschodzie słońca, ach to już koniec świata chyba! ale

ostatecznie czy nie dowiadywałaś się gdzie ten twój Hamlet wędruje i czego szuka nareszcie?

— O ile mogłam się dowiedzieć, bez zwrócenia na te pytania niedyskrytnej uwagi służby, to Alfred albo wychodzi pieszo ze strzelbą, albo też konno wyjeżdża.

— I nie wiesz dokąd?

— Nie, niestety. Tego tylko jestem pewna, że mój, jak go nazwałaś Hamlet, nie błądzi po cmentarzach i nic rozmawia z czaszką Yorika. Powraca najczęściej w usposobieniu ponurem i chmurnem, ledwie że raczy głową kiwnąć na moje powitanie... Dwa razy tylko dostrzegłam w jego oczach blask szczególny, blask niekłamanego szczęścia, czy też jakiejś radosnej nadziei. Dostrzegłam ten płomień w przelocie, ale skoro oczy Alfreda z mojami się spotkały, blask zniknął natychmiast i dawny smutny wyraz na nie powrócił. Oto takie są dzieje moich poranków spędzanych bezsennie — nie wesołe jak widzisz i taka przyczyna mego roztargnienia i smutku.

— Biedna dziewczyno — rzekła z współczuciem pani Stanisławowa — teraz dopiero widzę, jak ty go bardzo kochasz, lecz nie obawiaj się.

— O nie, nadaremnie chcesz mnie uspokoić, ja obawiam się i bardzo się obawiam — ja aż dotychczas sama nie wiedziałam o tem, że noszę w sercu tak głębokie uczucie. — Ono było jakby uśpione aż dotąd, dopóki nie zaczęło mu grozić niebezpieczeństwo poważne...

— Ach! — zawołała pani nagle, uderzając się w czoło — jestem na tropie, pułkownikówna!!

— Tak, pułkownikówna ...

— Ależ to dragon! to prosta dziewczyna wiejska, bez wychowania żadnego, to półdzikie stworzenie, które przecież nie może się mierzyć

z tobą... Ona śnić nawet nic ma prawa o tem, żeby mogła kiedy być twoją rywalka...

Na te słowa Natalcia zerwała się z kozetki, wyprostowała się i zaczęła mówić z takim ożywieniem, z takim przejęciem się głębokiem, że nie słyszała nawet odgłosu zbliżających się kroków i niezauważyła, że czerwony odblask cygara przysuwał się ku drzwiom coraz bliżej.

— O, nie mów tak, proszę cię, nie mamy prawa do tego; ja sama pomagałam ci niera szydzić z jej wychowania ekscentrycznego nieco, które dlatego nam się podobać nie może, że ostatecznie nie jest do naszego podobnem. Śmiałam się bezmyślnie, co prawda, bo zresztą i cóż mnie obchodziła ta panienska? Nie znałam jej wcale, nie przypuszczałam, że ja kiedykolwiek znać będę, a tembardziej jeszcze, nic sądziłam nigdy, że los może ją postawić na drodze mego życia i szczęścia; od pewnego jednak czasu, ona nie może być dla mnie obojętną...

— Ja myślę, że cię nic a nic obchodzić nie powinna.

— Przeciwnie, jeżeli ma być walka, jeżeli stanęliśmy w smutnej dla obydwu może roli rywalek, to należy badać nasze siły. Nieprzyjaciela lekceważyć nie wolno, a skoro już ją za nieprzyjaciela uważam, tedy ci powiem, moja droga, że według wszelkich informacyj, jakie troskliwie bardzo zbierałam, przyznać muszę że jest to nieprzyjaciel poważny.

— Egzageracya.!

— Nie, po stokroć nie! to rzeczywistość, niestety. Nic zaprzeczysz przecie, że pod względem powierzchowności może najwybredniejszy gust zadowolnić. Twarz jej przypomina główki Murilla...

— No... zapewne, ujdzie, nawet jest dosyć gładką dziewczyną, nic przeczę... ale gdzież wykształcenie? jakaż edukacya?...

— O, moja droga, jak widzę, z wyżyn twego pałacu nie chcesz patrzeć na zwykłych śmiertelników i nie wiesz co się koło ciebie dzieje.

Dowadywałam się o pannie Klarze z ręcznie, badałam ludzi kompetentnych i poważnych pod tym względem. — Wszyscy jednozgodnie przyznają, że pułkownik to człowiek dzielny głową i sercem, że pokierował edukacya wnuczki jak najrozumniej, a w wyborze nauczycielki był bardzo, bardzo szczęśliwym.

Alfred niepostrzeżony stanął we drzwiach od ogrodu. Usłyszawszy rozmowę, która obchodziła go widocznie, zatrzymał się. Ostatnie słowa Natalci brzmiały donośnie.

— Pułkownik — mówiła — jest człowiekiem zasługi, pełnym poświęcenia się i honoru, a wnuczka jego. ze względu na przymioty duszy i serca, na wykształcenie swoje, nie mówiąc już o powierzchowności czarującej, może być duma każdej szanującej się rodziny i prawdziwą ozdobą towarzystwa.

Zaledwie Natalcia wymówiła te wyrazy, Alfred stał już przy niej.

Ujął ją za rękę, a spojrzawszy w jej twarz zapłonioną i oczy łzami zaszłe, rzekł:

— Serdecznie ci dziękuję, kuzynko, jesteś szlachetną kobieta.., I ucałował obie rączki, które Natalcia wyrwała pospiesznie — i sądząc że jej tajemnica odkryta została, uciekła do swego pokoju...

Pani Stanisławowej zrobiło widoczną przykrość to nadspodziewane zakończenie rozmowy. — Usta jej skrzywił pełen ironii uśmiech, podniosła szkło do oka i przypatrywała się długo swemu kuzynowi, aż nareszcie jakimś spazmatycznym wybuchnęła śmiechem.

— Czy wolno zapytać o przyczynę tej niespodziewanej wesołości? — rzekł Alfred, wytrzymując spokojnie spojrzenie i śmiech bratowej — czy nie popełnić niedyskrecyi, jeżeli zapytam, co mianowicie tak zabawiło panią?

— Ależ bo zdawało mi się, że nagle przeniesioną zostałam do miasta i ujrzałam scenę z nader romantycznej, starego pokroju, tragedyi.

— Imaginacya dziwnie bujna.

— Kiedyż to rzeczywistość. — Dowiaduję się o moim kuzynie nowości, które... które...

— Które co? proszę dokończyć.

— Które... obawiam się abym zbyt nie zadrasnęła uczuć zakochanego serca... które mi każą przypuszczać... czy moge dokończyć?

— Ależ, proszę o to...

— Które mi każą przypuszczać, że jeden z moich przyjaciół i kuzynów jest na drodze do utraty rozumu.

— Myli się pani, jest na drodze odzyskania go raczej.

VI.

Młody i wesoły zazwyczaj Alfred, dziwnie spoważniał i sposepniał; ażeby wytłómaczyć te zaszły w nim zmianę, musimy powrócić znowuż do Borków, spojrzeć w czarne oczy Klaruni, zobaczyć marsowatą twarz pułkownika.

Ten ostatni gniewnie ruszał wąsami, nie pokazywał się kobietom jak tylko na obiad, a ciotce Józefie po raz pierwszy w życiu, co prawda, wypalił sążniste kazanie, które ją do nerwowego płaczu doprowadziło.

W cichym dworcu byli wszyscy jakby powarzeni, jak nie swoi. — Klarunia miała często oczęta czerwone, ciotka wzdychała ciężko, a pułkownikowi wszystko wydawało się złem — niedogodnem.

Gniewał go deszcz, gniewała pogoda, ludzie nie umieli się ruszać, konie źle chodziły, a nawet ulubione jego siodło wydawało mu się starym, zniszczonym gratem, który tylko na strych, na pastwę myszom, należało wyrzucić; — a powodem tego

wszystkiego była ukochana. wypieszczona Klarunia, i jej serce, zaczynające się budzić z uśpienia.

Pomimo zalecanej czujności, ciotka nic dostrzedz nie mogła, lecz stary wiarus czuwał i stał na straży, jak żuraw, czuwał i dojrzał niebezpieczeństwo.

Bystre oko pułkownika umiało dostrzedz zdaleka jak po gładkiej powierzchni stawu sunęło szybko czółenko Klaruni, a za niem zdawała się gonić druga łódka. Czółenko zniknęło wśród olch otaczających brzeg rzeki, a łódka zawróciła w stronę przeciwną i powoli, leniwie popłynęła ku grobli.

Widział to pułkownik, lecz milczał jeszcze, obserwował tylko baczniej i pilniej niż przedtem.

Na trzeci dzień znowuż oko jego dostrzegło krótko bardzo trwającą scenę. Pułkownik był na łąkach, niedaleko drogi. Klarunia wracała z konnej przejażdżki. Kiedy przejeżdżała obok lasku, na spotkanie jej, przypadkowo niby, wysunął się jakiś jeździec. Siedział on na ładnym, kasztanowatym koniu, obrany był elegancko, nawet wykwintnie. Spostrzegłszy Klarunię, uchylił kapelusz i ukłonił jej się, na co ta odpowiedziała mu lekki em skinieniem głowy. Zdawało się pułkownikowi, że młodzi ludzie rozmawiają z sobą, lecz rozmowa ta trwała chwilkę zaledwie. Potem znów nastąpiła zamiana ukłonów — i Klarunia powoli jechała ku domowi, a ów młody człowiek popędził szybko w stronę przeciwną.

W tem spotkaniu, w którym zresztą nic nadzwyczajnego nie było, stary wiarus dostrzegł, jeżeli nie niebezpieczeństwo jeszcze, to, co najmniej, jego początek. Targał niecierpliwie siwe wąsy i stracił humor odrazu. Od chwili też owego spotkania, zaczęły się w dworku, tak wesołym dotąd,

dnie smutne. Klarcia spoważniała i piosenki jej nic rozlegały się, jak dawniej, dźwięcznym echem po ogrodzie. Zaniedbała ulubione kwiatki, posmutniała — pobladła ...

Pułkownik, gdy tylko z pola powrócił, zamykał się w swoim pokoju i chodził z kąta w kąt, godzinami całymi. Zdawało mu się, że na warcie stoi i pilnuje... czego?

— Czego? Sam sobie to pytanie zadawał. Budzącego się serca dziewczyny? a któż upilnuje ptaszka, co się chce z gniazdka wydobyć, gdy już skrzydła do lotu zdatne uczuje? Zresztą — myślał stary — czyż mam prawo do tego? czy wolno mi kłaść tamę budzącemu się uczuciu? Młoda jest, w wiosnę życia wchodzi zaledwie, ma zatem do tego życia prawa wszelkie, prawa, których nic złamie przecież zakaz dziadka... Smutno, smutno — myślał pułkownik — wychowałem ją od małego dziecka, wynosiłem na rekach, i zdawało mi się, że mam chociaż jedno istotę przywiązaną do mnie na świecie. Mogłem nawet przypuszczać, że ona mnie kocha, że nie opuści mnie już nigdy, że — kiedy nadejdzie godzina ostatniego apelu, sama, swoją ręką, oczy mi zamknie. — Złudzenie próżne, złu

dzenie tylko. — Ukazał się zdaleka młokos jakiś, elegancik, ładna lalka", spotkał ją raz, spojrział tylko, i już ona za nim tęskni, już się zamyśla, już zapomina o dziadku, który przez tyle lat przecię na jej wdzięczność i przywiązanie pracował! Sprawiedliwości, sprawiedliwości! gdzieś się chowasz, skoro niema cię już nawet w czystej duszy dziewczęcia — dziecka prawic!

Tarł czoło niecierpliwie i gniewał się. Chciał zawołać Klarunię i obsypać ją wymówkami — lecz, do czegoż to doprowadzi? Co pomoże? Po chwili dłuższego zastanowienia, myśl kochającego dziadka inny przybrała obrót. Zapomniał chwilowo o swoim smutku, zawstydził się nawet. Czyż miał prawo żądać, aby dziewczyna wyrzekła się młodości, czyż może się dziwić że pragnie ona żyć i kochać? Nie — to egoizm przecię, a czynnik ten tak małą w życiu pułkownika odgrywał rolę... Wiec dobrze, niech Klarunia kocha, niech opuści starego dziadka, pozostawi go tu w samotności, a pójdzie za tym, kogo jej serce wybierze, tylko z warunkiem, aby ów ktoś był godnym tego skarbu, aby zasługiwał na zaufanie wszelkie, ażeby stary dziadek mógł umrzeć spokojnie, wiedząc, że pozostawia godnego po sobie zastępcę.

Chodził staruszek po pokoju i myślał, monologując półgłosem:
— Prawda, prawda niestety, że utracić ją muszę, że, wbrew najgorętszym pragnieniom moim, ale zgodnie z prawami życia, nad moje pragnienia

wyższemi, serce jej posiedzie człowiek obcy? Czy pierwszy lepszy elegancik, przybyły tu, W okolicę, dla wytchnienia po stołecznych zabawach, jakaś lalka bez duszy?... Nie! to nie sposób! Dawniej w zamążpójściu dla pasom szukano przedewszystkiem partyi, dziś partya nie wystarcza, należy przedewszystkiem szukać człowieka.

Według zdania pułkownika, który już przecię tyle w życiu swem widział, tyle krajów przeszedł i tak wielu ludzi miał sposobność poznać — najodpowiedniejszym zięciem dla Klaruni byłby chłopak zupełnie biedny, Tęcz pracowity i zacny.

Takim był właśnie syn jego przyjaciela, chłopiec, na którego przyjazd pułkownik z taką niecierpliwością oczekiwał; lecz upragnionego gościa widać nie było, a tymczasem wrażliwe serduszko Klaruni. na widok owego eleganta z sąsiedztwa, przyspieszonym uderzało tętnem.

Przypuszczał to i odgadywał pułkownik.

Zresztą i nietrudno było się jakiejś zmiany w usposobieniu Klaruni domyśleć. Choćby sama się z tem ukryć pragnęła, to zdradzały ją oczy wymowne, nic umiejące kłamać, zdradzała mimowolna tęsknota i zamyślenie, w które bardzo często wpadała... To odkrycie było ciężkiem dla pułkownika brzemieniem. Sypiać nie mógł.

Nieraz w nocy zapalał światło, ubierał się i zamyślony po pokoju swym chodził, a odgłos jego kroków głucho się echem wśród ciszy nocnej odzywał.

Przychodziły mu na myśli różne plany i kombinacje, w jaki sposób możnaby się pozbyć tego niebezpiecznego, niepożądanego sąsiada. — Raz zastanowiła go myśl, którą chciał nawet zaraz, przy pierwszej sposobności urzeczywistnić.

Cóż łatwiejszego jak obrazić młodzika i stanąć z nim do honorowej rozprawy? zręczne pchnięcie szpada, którą stary wojak po mistrzowsku władał, lub kula pistoletowa upuści mu krwi trochę i odbierze ochotę do dalszych wycieczek po stawie i konnych w stronę Borków przejażdżek. Lecz po chwili refleksja! przyszła. — Bić się z jakimś młodzikiem, dla błahej, zmyślonej przyczyny? do czego doprowadzi? jak wyglądać będzie w oczach ludzi, w obec opinii? czy wreszcie nie uczyni Klaruni bohaterką plotek jakich i gawęd niepotrzebnych!! czy nie zakrwawi jej serca?

Nie, nie, — to nie jest środek, to nie doprowadzi do celu.

W takich myślach biedny pułkownik tracił dni i noce, przyjazdu oczekiwanego gościa wyglądając napróżno, bo ów gość. nietylko że nie przyjeżdżał, ale nawet ani znaku życia o sobie nie dawał. Nawet na list do przyjaciela i towarzysza broni pisany dotychczas odpowiedzi nie było. Raz po południu, w czasie żniw właśnie, pułkownik siadł z fajeczką w ganku ocienionym powojami i bluszczem. Gorąco było piekielne, zdawało się że, jak ro mówią, ogień z nieba leci. — Ludzie do żniwa najęci odpoczywali pod cieniem drzew

i krzaków, a pułkownik również przed pójściem W pole trochę ochłodzić się pragnął. — Spoglądał na niebo, jakby się chciał przekonać, czy na jasnym horyzoncie nie ukazuje się chmurka i nie zwiasruje deszczu, który, podczas żniw zwłaszcza, lubi najmniej przewidziane niespodzianki rolnikom urządzać, lecz niebo było czyste zupełnie, słońce paliło się wysoko. — Pułkownik do zwykłej swojej dumki o Klaruni powrócił i, po raz setny może, zadawał sobie w myśli, to pytanie: co robić?

Tym razem zdawało mu się że znalazł już rozwiązanie pomyślne.

Sprzeciwiało się ono, co prawda, tradycjom taktyki wojskowej wiarusa, lecz w położeniu danem bodaj czy nie było iedynie możliwym punktem wyjścia.

Postanowił wyjechać z wnuczką na kilka miesięcy zagranicę. Wprawdzie na ten cel trzeba naruszyć zebrany na czarną godzinę kapitalik, wprawdzie w tak ważnym dla gospodarstwa czasie, wypadnie pozostawić folwark właściwie na łasce i niełasce ludzi, gdyż ciotka Józefa mężkiemu gospodarstwu rady nie da, — lecz mniejsza o to. Straty jakie ztąd wynikną

niczem są w porównaniu ze stratą, na jakaby mogła narazić się Klarunia, zrobiwszy niewłaściwy wybór.

Pułkownik zdecydował się wyjechać — i to jak najprędzej. — Pojadą nad Ren, do Szwajcaryi potem. — Młodziutka Klarunia, wrażliwa na piękno, mając przed oczami czarujące widoki, zapomni

o uczuciu, które się do serduszka jej wkradło, a zapewne ugruntować jeszcze nie zdołało.

Tak, tak, to jedyna myśl praktyczna, tylko ją wykonać co prędzej potrzeba!

W oczach staruszka błysnęła iskra zapału, ożywił się myślą owego wyjazdu i co najprędzej postanowił ją urzeczywistnić. Zerwał się więc z ławki i do pokoju panny Józefy chciał iść, aby jej o zamiarze powiedzieć i dać czas do przygotowania rzeczy do podróży Klaruni nieodzownych, gdy wtem wózek jego padł na gościniec.

Pułkownik oczy ręką od słońca zasłonił i patrzył.

Na drodze wznosił się tuman kurzu, wśród którego widać było powozik, ciągniony przez cztery rosłe konie.

Jakżeby to być mogło, żeby się stary kawalerzy sta koniom nie przyjrzał? patrzył więc — i zdawało mu się, że poznaje ekwipaż ze Starzyna.

Zdziwienie staruszka bardziej jeszcze wzrosło, gdy ekwipaż z gościńca ku dworcowi wprost skręcił, stangret kilkakrotnie z bicia trzasnął i spienione konie tuż przed samym gankiem osadził.

W powozie znajdowali się obydwaj bracia ze Starzyna.

Młodszy szybko wyskoczył i pomógł wsiąść bratu,; który się z trudnością podnosił z siedzenia.

Pułkownik do przybyłego rękę na powitanie wyciągnął, pana Stanisława znał bowiem osobiście, spotykał go nieraz w kościele, raz nawet, wspólnie

z sąsiadami innymi, radzili o postawieniu domu na szkole.

— Dawno już nosiłem się z zamiarem złożenia uszanowania mojemu szanownemu pułkownikowi — mówił pan Stanisław — ale fatalny stan zdrowia nie pozwalał mi na to. Dziś, czując się lepiej niż kiedykolwiek, dopełniam ten miły obowiązek ...

— Bardzo, bardzo szanownemu sąsiadowi dziękuję, — mówił pułkownik — wstrząsając silnie ręką zdenerwowanego człowieka, któremu mogło się zdawać, że delikatne jego palce dostały się w kleszcze kowalskie.

— Zarazem pozwól, szanowny pułkowniku, że ci przedstawię rodzonego mego brata, Alfreda, który przybył do nas na jakiś czas w gościnę. Pułkownik bacznie na gościa spojrział. — Nieprzyjaciel przed którym chciał uciekać, przychodził do niego do domu, zapewne z zamiarem rozwinięcia prawidłowego ataku.

Przygryzł stary wąsa nieznacznie, co zazwyczaj u niego oznaką niezadowolenia było, lecz jako gospodarz gościnny, nie dał poznać po sobie, że mu owa niespodziana wizyta przyjemności nie sprawna.

Przeciwnie, witał gości mile, z pewnym odcieniem serdeczności nawet. — Otworzył szeroko drzwi i do pokoju poprosił.

Panowie weszli do skromnego lecz czystutkiego saloniku, którego ozdobą jedyną było kilka obrazów,

duży bukiet na stole i starannie ręką Klara pielęgnowane, kwiatki. Za ledwie goście weszli, pułkownik dwukrotnie w dłonie klasnął, a na to hasło ukazał się natychmiast młody chłopiec, ubrany nie w liberyę wprawdzie, ale czyściutko — i wyprostowany jak struna, przy drzwiach stanął.

Pułkownik szepnął mu słów kilka. — chłopiec zrobił zwrot na lewo, z precyzją, którejby mu nie jeden stary sierżant mógł pozazdrościć, i za chwilę powrócił niosąc na tacy kieliszki i butelkę, dobrze już pleśnią porosłą.

Zręcznie wydobyl korek i wyszedł.

— Bój się Boga, pułkowniku, rzekł pan Stanisław, na takie gorąco węgrzyn?

— A czemże mam wypić zdrowie tak szanownych gości? Nie obawiajcie się panowie, jest on już zbyt stary, żeby mógł komu zaszkodzić; przechowało się trochę, jakimś cudem, z zapasów mojej rodziny, z owych lepszych czasów, kiedy to ludzie jeszcze wino pijali, a w żyłach mieli krew...

— Przypuszcza pan szanowny że dziś jest inaczej ?

— Co do owej krwi, panie?

— Właśnie.

Pułkownik zamyślił się trochę — a po chwili rzekł;

— Zapewne... krew to jest w ludziach, ale jaka! tyle chyba tylko że czerwona... ale czy drgają w niej takie iskry jak niegdyś, czy zakipi ona obuli

rzeniem, na widok złego... czy zawrze do szlachetnego czynu? Zresztą. — nie przesądzam, stary jestem ., może już oczy moje osłabły i nie mogą widzieć, tak dobrze, jak niegdyś... może mój umysł już się przytępił — ale różnice widzę, widzę, moi panowie.

— Czas inny, chłodniejszy, — wtrącił pan Stanisław.

— Ha! może to chłód, trzeźwość, spokój, czy jak tam panowie nazywacie, a może też zniechęcenie, apatya, zasklepienie się w swoich własnych interesach, lub tylko przyjemnościach... co gorzej.

Pan Stanisław znacząco na brata spojrział i rzekł do pułkownika.

— Poniekąd zdaniu temu trudno odmówić słuszności, lecz z drugiej strony, niech mi pan pułkownik wskaże, gdzie dziś młody człowiek ma pole działalności? wszystkie drogi zagrodzone, zamknięte, przeludnienie wszędzie.

— Nie, szanowny sąsiedzie, — zaprotestował, ożywiając się, pułkownik — na ten pogląd pisać się nie mogę nigdy. Pola do pracy, mojem zdaniem, ten tylko nie znajdzie, kto pracować nie chce, albo też... nie umie.

— Ależ, panie pułkowniku, wszak wiesz pan, że na polu działalności publicznej karyera dla młodych ludzi zamknięta.

— Otoż w tem, panie dobrodzieju, sęk, że karyeryby się chciało... każdy wodzem być pra

gnie — a do szeregów nie ma nikogo. — Co pan dobrodziej mówi, karyerai. karyera! Co nam dyabli" po karyerach, gdzie ziemia jest, warsztaty są... Póki zagony rolników potrzebują, kowadła rąk, a książki głów, póty karyera dla młodych ludzi otwarta, bardzo szeroko otwarta. — Zapewne — wtrącił pan Stanisław — ale, bądź co bądź, są położenia w których...

— Wybacz pan dobrodziej, że przerywam — mówił, zapalając się, pułkownik — ja już jestem stary i dziwak, i zapewne mam swoje uprzedzenia, z którymi nic mnie już chyba nie rozłączy. — Otoż, wracając do kwestyi o której mówiliśmy przed chwilą, mam takie uprzedzenie, że nie mogę trzymać dobrze o młodzieńcu. który nie potrafi wylegitymować się dostatecznie, czem jest dla społeczeństwa i co potrafi robić.

Pan Stanisław znów znacząco na brata spojrział. Pułkownik zaś kieliszki napemnił.

— Ale co tam o tem! — rzekł — to co ja mówię, przyjść musi samo z siebie, choćby słabsi i leniwszi wyłamywali się od pracy i obowiązków, tłum ich porwie, za ogólnym prądem pójść muszą. — Tak to zwykle bywa, że gdy gromada idzie, każdy wraz z nią naprzód posuwać się musi, kto iść nie chce i upadnie, zdepczą go, i kiedy wszyscy dojdą już do celu, on leżeć będzie na drodze stratowany, bezwładny, — lecz mówmy o czem innem... Jakże tam sąsiadowi żniwa idą w Starzynie?

— Powiada mi rządcą, że dobrze, Co do mnie, mało wychodzę, przyznam się ze wstydem, że rzadko kiedy w pola bywam, chory, rozstrojony jestem, zdenerwowany...

— Modna to dziś podobno choroba, zauważył pułkownik, za naszych czasów takich cierpień nie znano...

— Bo, podobno też i czasy tamte były lepsze — co do mnie miło mi jest zawsze widzieć ludzi, którzy je pamiętają, zazdroszczę im nawet.

— Czy starości i siwizny może ?

— A cóż pułkownik myśli? czy nie jest godna zazdrości starość, przy której jednak człowiek zachowuje pamięć, energię i siłę.

— No... tak, ale zawsze już owe liczne krzyżyki nie miałem na barkach ciężą brzemieniem.

— Cóż brzemień znaczy, gdy się ma do dźwigania dość mocy i...

Nie dokończył pan Stanisław, gdyż do pokoju wbiegła Klarcia. Wracała z ogrodu i wszedłszy tylnymi drzwiami do dworku, nie wiedziała że są goście, a jednym z nich ów nieznajomy — znajomy.

Chciała się cofnąć, lecz przypomniała sobie, że jako już awansowanej na pannę dorosłą, nie wypada uciekać. — Skłoniła się, zapłoniona, jak wiśnie, których pełen koszyk w ręku trzymała.

— Niechże nas pan pułkownik przedstawi — rzekł pan Stanisław. Stary wymienił nazwiska.

— A ta młoda osoba, — dodał — jest moją jedyną wnuczka i zarazem jedyną pociechą. Ze wszystkiego, com przez długie lata utracił, ona mi już

tylko jedna została. Dla niej też żyje... Lecz, dajno nam panienko — dodał weselej — ten koszyczek, zapewne dla gości napemniłaś go owocami?

— Ja nie wiedziałam, dziaduniu, że panowie są na nas łaskawi — byłam w ogrodzie, nawet przez jakiś czas znajdowałam się w polu — i nie słyszałam żeby kto przyjechał.

— To pójdźże jeszcze, moje dziecko, powiedz ciotce że mamy tak szanownych gości — i pokażcie się tu panie obydwie.

Klarcia wybiegła z pokoju.

Jakkolwiek pułkownikowi wizyta panów ze Starzyna nie przypadła do gustu. jednak poznać im iego po sobie nie dał, przeciwnie, pełen tej grzeczności i galanteryi. którą się odznaczało pokolenie dawniejsze, przyjmował ich z taką uprzejmością i gościnnością, że nawet blada i znudzona twarz pana Stanisława ożywiła się, a przymglone jego oczy nabrały blasku.

Starzyńscy goście ani się nawet spostrzegli że już mrok zapada, a gdy pan Stanisław coś o odjeździe wspomniął, przekonali się, że nie tak to łatwo jak się zdaje ze szlacheckiego dworku wyjechać ...

Konie były oddawna wyprężone, powóz stał pod szopą, a stangret w kuchni właśnie się do kolacyi zabierał. Ciotka Józefa kilka razy tylko

wyszła z pokoju i bez bieganiny, krzątaniny i kłopotu, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znalazło się przyjęcie, niewykwiłtne wprawdzie, lecz wyborne i podane z tą delikatną a serdeczną uprzejmością, które nasze gospodynie cechuje.

Stół nakryto w dużej, pół oszklonej werendzie, od ogrodu. Pan Stanisław z pułkownikiem rozmawiał, Alfred zaś do Klaruni przysiadł.

Mówili z sobą dużo, a w miarę jak rozmowa trwała, zupełnie odmiennych doznawali wrażeń. Alfredowi czarne oczy Klarci wydawały się jeszcze bardziej pięknymi, bardziej rozumnymi, niż wtedy gdy ją po raz pierwszy na stawie ujrzał. Alfred natomiast w oczach Klaruni tracił nieco.

Gdy jej zaczął opowiadać o życiu miejskim i jego przyjemnościach, o zabawach wypełniających czas cały, patrzyła na niego z podziwieniem; gdy jej treść najświeższych komedyj francuzkich opowiadał, a w rozmowie przypadkiem się zdradził że polskiej literatury zna bardzo niewiele, — wówczas spojrzała mu w oczy i znalazła, że nie jest tak ładnym jak wówczas, gdy zakłopotany na stawie kłaniał jej się i za wyświadczoną przysługę dziękował ...

— A zatem pan nie lubi wsi? — zapytała,

— Co prawda... niebardzo, tak na wypoczynek, w lecie, na jakiś czas przyjechać — to dobrze.

— Więc pan wypoczywa teraz?

— Tak, pani.

— A co pan zwykle robi? — zapytała bez żadnej złej myśli.

— Kiedy?

— No, wtenczas kiedy pan nit wypoczywa.

— Ciągle mam czas zajęty ...

— Poświęca się pan zawodowi jakiemu?

— Właściwie nie, lecz wizyty różne... tyle znajomości... ciągle się jest na nogach...

— Tylko tyle?

— Jakto... tylko ryle? a nawzajem, jeżeli wolno zapytać, co też pani robi?

- Dotychczas się uczyłam.
- A teraz?
- Od pół roku już nie — jestem teraz bardziej zajęta w domu.
- Krzyżową robótką? — spytał.
- Czasem, ale to bardzo rzadko, o tyle, o ile zajęcia przy gospodarstwie pozwalają.
- Pani się sama tem trudni?
- Tak, panie, dziadzio powiada że każdy powinien mieć swoje zatrudnienie, gdyż nie godzi się darmo jeść chleba. Ja mam pod swoim zarządem gospodarstwo nabiałowe i ogród. Pierwsze wypraktykował am przy cioci, drugiego nauczył i mnie sam dziadunio. Jak pan kiedy przyjedzie w dzień, pokaże panu mały treibhaus, inspekta i szkółkę.
- Więc pani sama kopie i sieje to wszystko?
- Nie; mam ogrodniczkę i najmuje ludzi, ale jeżeli najemnik nie wie jak trzeba co zrobić dokładnie, to sama mu pokażę i nauczę go.

Alfred spojrzął na nią zdziwiony.

- Pan się dziwi?
- Rzeczywiście, pani.
- Ależ to jest tak naturalne przecie; mnie się zdaje, że kto niema nic do roboty, ten musi się nudzić śmiertelnie," a zresztą robotę można polubić, oddać jej się z zamiłowaniem, — a pan czy nie doznaje tego?
- Ja?
- No, tak.
- Co prawda, nie miałem sposobności doświadczać tego wrażenia.
- To szkoda... przyznałby mi pan słuszność zupełną.

— Ja ją też przyznaję — lecz, z drugiej strony, zgodzi się pani zapewne na to, że mając czas tak ciągle zajęty, pomimowoli może człowiek się... zaniedbuje.

— Jak to mam rozumieć, proszę pana?

— Mniej w towarzystwach bywa, mniej ma rozrywek, mniej czyta wreszcie...

— O, przepraszam pana, trzymamy kilka pism, które sumiennie czytuję; oprócz tego, dziadunio ma niewielką, lecz wyborową bibliotekę, a w niej jest jedna półka z książkami, wyłącznie dla mnie przeznaczonem!, a w naszym poczciwym kalendarzu jest tyle świąt — w zimie tyle długich wieczorów, podczas których robota w gospodarstwie ustaje, że kto chce czytać i niezaniebować umysłu, ma aż nadto czasu po temu!

— Ale, przyzna pani, że i samo czytanie niekiedy znudzi.

— Otoż tego nie wiem, gdyż w ogóle nie mam dokładnego wyobrażenia o tem, czem są właściwie tak zwane nudy...

— Nie zna ich pani wcale?... O, to niepodobna !...

— Moge pana zapewnić, że tak jest", słyszę o nich, czytam niekiedy w powieści — ale nie moge sobie dokładnie wytłómaczyć jakie to wrażenie. Wspomniał pan również, że brak rozrywek sprawia pewną przykrość.

— Bezwątpienia — i to jest właśnie słaba strona pobytu dłuższego na wsi.

— Kochając wieś, musze stanąć w jej obronie i zawsze utrzymywać będę, że żadne miasto, choćby najpiękniejsze nawet, nie może dać tych przyjemności co wieś. Nie wyobrażam sobie nawet co może zastąpić nasze niebo pogodne, wody, lasy, łąki, a nawet i śnieg biały, gdy się równym, szerokim całunem po polach rozłoży.

— No cóż, to przecież zwykłe takie, pospolite ...

— A może właśnie dla tego tak piękne... dla mnie przynajmniej... Ja się w tem lubuję i nie wzdycham do zacieśnionych murów, bo zdaje mi się, że tam jest ciemno... duszno...

— Tak — ale tam się żyje, widzi pani.

— Alboż nie żyje się i tutaj? jak jeszcze! cicho, spokojnie, powiem nawet, że szczęśliwie prawie.

Alfred spojrział na nią zdziwiony.

— Pan się dziwi?

— Rzeczywiście, pani.

— Ależ to jest tak naturalne przecię; mnie się zdaje, że kto niema nic do roboty, ten musi się nudzić śmiertelnie; a zresztą robotę można polubić, oddać jej się z zamiłowaniem, — a pan czy nie doznaje tego i

— Ja?

— No, tak.

— Co prawda, nie miałem sposobności doświadczać tego wrażenia.

— To szkoda... przyznałby mi pan słuszność zupełną.

— Ja ją też przyznaję — lecz, z drugiej strony, zgodzi się pani zapewne na to, że mając czas tak ciągle zajęty, pomimowoli może człowiek się... zaniedbuje.

— Jak to mam rozumieć, proszę pana ?

— Mniej w towarzystwach bywa, mniej ma rozrywek, mniej czyta wreszcie...

— O, przepraszam pana, trzymamy kilka pism, które sumiennie czytuję; oprócz tego, dziadunio ma niewielką, lecz wyborową bibliotekę, a w niej

jest jedna półka z książkami, wyłącznie dla mnie przeznaczonem, a w naszym poczciwym kalendarzu jest tyle świąt — w zimie tyle długich wieczorów, podczas których robota w gospodarstwie ustaje, że kto chce czytać i niezanieczywać umysłu, ma aż nadto czasu po temu!

— Ale, przyzna pani, że i samo czytanie niekiedy znudzi.

— Otoż tego nie wiem, gdyż w ogóle nie mam dokładnego wyobrażenia o tem, czem są właściwie tak zwane nudy..

— Nie zna ich pani wcale?... O, to niepodobna i...

— Moge pana zapewnić, że tak jest; słyszę o nich, czytam niekiedy w powieści — ale nie moge sobie dokładnie wytłómaczyć jakie to wrażenie. Wspomniał pan również, że brak rozrywek sprawia pewną przykrość.

— Bezwątpienia — i to jest właśnie słaba strona pobytu dłuższego na wsi.

— Kochając wieś. muszę stanąć w jej obronie i zawsze utrzymywać będę, że żadne miasto, choćby najpiękniejsze nawet, nie może dać tych przyjemności co wieś. Nie wyobrażam sobie nawet co może zastąpić nasze niebo pogodne, wody, lasy. łąki, a nawet i śnieg biały, gdy się równym, szerokim całunem po polach rozłoży.

— No cóż, to przecież zwykle takie, pospolite ...

— A może właśnie dla tego tak piękne... dla mnie przynajmniej... Ja się w tem lubuję i nie wzdycham do zacieśnionych murów, bo zdaje mi się, że tam jest ciemno... duszno...

— Tak — ale tam się żyje, widzi pani.

— Alboż nie żyje się i tutaj ? jak jeszcze! cicho, spokojnie, powiem nawet, że szczęśliwie prawie.

— Winszuję — zrobiła pani wielkie odkrycie — rzekł — przerywając, Alfred.

— Ja?

— Tak, rak, pozazdrościć można.

— Nie rozumiem ...

— Znalazła pani szczęście... — O, ro nie ja.

Któż więc?

— Ja sama nie wiedziałabym o tem może gdzie go szukać — dziadzio! mi w tem dopomógł.

— Pan pułkownik ?

— Tak jest — mówiła głos zniżając — dziadunio mi dużo, bardzo dużo o szczęściu opowiadał... całemi wieczorami nieraz. — Ach, pan nie wie, jaki to dobry człowiek, ten dziadzio!

— I on odkrył pani tajemnicę szczęścia? — nieco ironicznie spytał Alfred. Klarcia nie zauważyła ironii.

— Tak, panie, on mi powiedział, że całe życie szczęścia szukał i znalazł je nareszcie. Czego się pan uśmiecha? Dziadunio przecież nie zrywał kwiatu paproci w noc świętojańską — ale przechodził bardzo ciężkie koleje losu — i powiada, że z doświadczenia przekonał się o tem, że kto w swoim małym kółku pracuje szczerze, obowiązki spełnia sumiennie, kocha Boga i ludzi — a od losu niewiele wymaga, ten już jest blizkim bardzo stanu, który w zwykłej mowie potocznej, nazywamy szczęściem...

Alfred zamyślił się smutnie.

— I pani blizką jest tego — zapytał po chwili.

— Zdaje mi się... Tymczasem do łez powodu nic mam. Idę za rada dziadka... i w ogóle czegoż moge więcej żądać od losu, ja, prosta dziewczyna? a jeżeli westchnęła lub zapłakała kiedy, to chyba nad taką boleścią, która obejmuje szerokie koła i z milionów oczu łązy wyciska. Rozmowa dwojga młodych ludzi urwała się na tem, późno już też było, a pan Stanisław do odjazdu się ruszał.

Goście, pożegnani przez pułkownika, wsiedli do powozu, zapraszając serdecznie starego aby Starzyn odwiedził.

Alfred raz jeszcze spojrzął w czarne oczy Klaruni, powóz ruszył szybko i zniknął w ciemności.

Jakiś czas bracia milczeli. Pan Stanisław otulony pledem, wcisnął się w głąb powozu. Alfred cygaro palił.

Na niebie migotały gwiazdy, z oddalenia dochodził turkot młyna.

— No i jakże — zapytał Stanisław — podobała ci się ta nowa znajomość... pułkownik dzielny stary ?...

— Dziwak trochę.

— A wnuczka ?... wedle określenia mojej żony, gąska z folwarku... wszak prawda?

— O, nie mów tak. proszę, wiem dobrze, że myślisz inaczej.

Pan Stanisław jeszcze bardziej w głąb powozu się wcisnął i mówił półgłosem:

— Jacy oni szczęśliwi — jak ja im szczerze zazdroszczę...

Niedaleką przestrzeń, Borki od Starzyna dzielącą, bracia przebyli szybko. We dworze ciemno już było prawie, tylko w jednym oknie błyszczało światło.

Gdy Alfred na to okno spojrział, dostrzegł przytuloną do szyby bladą twarzyczkę Natalci.

VII.

W Starzynie było bardzo smutno. — Ołowiana jakaś, przygnębiająca atmosfera, nappełniała duże pokoje tak zwanego pałacu.

Pan Stanisław coraz na zdrowiu zapadał — i najczęściej po całych dniach niewidziany w swoim przesiadywał pokoju, a pani nudziła się jeszcze bardziej niż zwykle i pozowała na męczennice... ziewającą — zagrzebaną żywcem w owym grobie ponurym i czarnym, który się wsią nazywa.

Z książką w ręku, której jednak nie czytała prawie, pani Laura od południa do północy przesiadywała w salonie. Czasem towarzyszyła jej wychudła miss, która wszystek od lckcyi wolny czas tu przychodziła przepędzać — a obie te ziewające

damy rozpościerały w koło siebie taką atmosferę nudów, że nawet muchy, zdawały się uciekać z salonu żeby nic usnęły przedwcześnie.

Panią Laure ogarnęła taka martwota i apatya, że nawet dziecko własne nic robiło na niej wrażenia; rzadko kiedy przywołała do siebie dziewczynkę, rzadko też rozmawiać z nią chciała. Ztąd też i córeczka nie miała do niej tego przywiązania i ufności, jaką zwykle dzieci względem matek miewają. Nie do dziecka było pani. Ona myślała o wyjeździe, który coraz mniej prawdopodobieństwa nabierał, myślała o małżeństwie Alfreda z Natalcia, które, jak wiadomo, było połączone z kombinacją finansową mającą przynieść pewne wpływy do pustej kasy Starzyńskiej.

Tymczasem nie zanosilo się na to. Alfred uprzedzający dla kuzynki i grzeczny, trzymał się od niej coraz bardziej zdaleka, a od czasu owej wizyty w Borkach unikał jej prawie.

Pani Laura przeklinała w duszy pułkownikówną i z całego serca życzyła Borkom aby się w ziemię zapadły. Szydzą niemiłosiernie z meza że wizytował pułkownika, ale to postaci rzeczy nie zmieniało, gdyż pan Stanisław za szyderstwo odpłacał jeszcze bardziej zgryźliwym sarkazmem i coraz rzadziej ze swego pokoju wychodził. Dumna pani była też blizką rozpaczy.

Natalcia nie przerywała także smutku, który rozsiadł się w obszernym dworze Starzyńskim.

Uśmiech zniknął z jej twarzy; pomizerniała, pobladła, a piękne jej oczy częstokroć zachodziły łzami.

Do fortepianu siadała bardzo rzadko, a jeżeli, ulegając prośbom pani Laury, dotknęła klawiszów, to, albo dobywała z nich akompaniament do

jakiej . dumki rzewnej, — albo też grała smętne nokturny i marsze żałobne, co niemal do spazmów gospodynią domu doprowadzało. Zrywała się wtenczas z krzesła i sama zamykała fortepian. lub też uciekała w najbardziej oddalone aleje ogrodu.

Im bardziej Alfred oddalał się od Natalci, tem więcej przywiązanie jej do niego wzrastało. Doznawała przytem uczucia zazdrości; poniżoną, upokorzoną się czuła.

Miłość jest spokojna, dopóki nie zazna niepowodzenia i przeszkód, zaznawszy — staje się gwałtowną, burzliwą, tem więcej też do ukrywania i stłumienia trudną...

W ów dzień, w którym pan Stanisław z Alfredem pojechali do Borków, ona sobie miejsca znaleźć nie mogła. Chodziła niespokojna po ogrodzie, wyglądała przez sztachety, czy nie powracają już z tej wizyty fatalnej — ale się powrotu doczekać nie mogła.

Te kilka godzin wydały jej się długimi... długimi jak nieskończoność, jak wieczność. Kiedy wreszcie, o północy prawie, powóz stanął przed dworem, kiedy się skończyły już dla niej straszne godziny czekania — usnąć nie mogła.

Słońce wschodzące, wkradłszy się do jej pokoiku przez okno, złotym swoim promieniem całowało jej twarzyczkę zmęczona, oczy od łez nabrzękle, widziało jej sen przerywany, gorączkowy niespokojny. Teraz dopiero biedna dziewczyna poznała i przekonała się, jak drogim dla niej jest Alfred, jak bardzo się przywiązała do niego.

A tak niedawno jeszcze uważała go tylko za dalekiego kuzyna zaledwie, a myśl, że zostanie jego żoną, jakkolwiek nie przestraszała jej, niemniej nie napawała także szczególną rozkoszą.

Pani Laura wytłómaczyć jej że tak będzie dobrze, i projekt przyjętym został w zasadzie, jako odpowiedni stanowi i pozycji towarzyskiej stron obydwu.

W planach Natalci było, że po ślubie zagranicę wyjadą, potem dom otworzą, bawić się beda, jak tysiące małżeństw w tej sferze, zgodnych i dobranych na pozór, lecz nie złączonych nicią żywszej, gorętszej sympatii.

Dotychczas zgadzała się na Alfreda, tak samo jak zgodziłaby się może na innego młodego człowieka z tej sfery; małżeństwo uważała jako konwenans, jako rolę, którą każda prawic kobieta odegrać musi — i, co prawda, więcej ją obchodziła myśl, w jakich kostiumach tę rolę odgrywać będzie, aniżeli kwestya, czy ją dobrze odegrać potrafi?...

Dziś zmienił się zupełnie bieg jej myśli, dziś zdawało jej się że już żyć bez Alfreda nie może...

Widziała jego obraz wszędzie, na samą myśl o nim czuła żywsze, szybsze uderzenia serca, rumieniec wybiegający na twarz, — czuła, że przyłgnęła do niego duszą całą, pokochała całą siłą i ogniem dziewiczego serca.

Miłość paliła ją jak płomień, zazdrość szarpała ostremi szponami — krwawiła jej serce. Natalcia przez całe życie swoje nie doznawała tylu wrażeń, ile przez jeden dzień obecnie, przez jedne noc niespaną, a czasem nawet przez chwilkę krótką jak jedno mgnienie oka... jak myśl...

Umysł jej, niezajety niczem, całkowicie wypełnił się ta miłością tylko, wszystkie uczucia, wszystkie myśli, w tym się jednym zestrzeliły kierunku.

On stał się teraz całą treścią jej życia, przedmiotem marzeń wszystkich i nadziei...

Niegdyś tak wesoła i swobodna... dziś drżała w obec niego i bladła...

Nieraz, gdy przemówić do niego chciała, głos jej zamierał w gardle; gdy pragnęła go dotknąć szyderstwem, podrażnić — oczy jej napełniały się łzami; czasem, gdy ze spaceru wracał, chciała wyjść naprzeciw, przypadkiem go niby spotkać, lecz nogi odmawiały posłuszeństwa i bezsilna padała na krzesło, lub na ławkę w ogrodzie.

Onieśmiałoną i jakby zawstydzoną w obec niego się czuła — a cały ciężar uczucia przygniatał ją tem więcej, że nie miała się wywnętrzyć, wypowiedzieć przed kim.

Gdy pułkownik przyjechał oddać panu Stanisławowi wizytę, pani Laura, jak to było łatwym do przewidzenia, nie pokazała się wcale w salonie; wymówiła się bardzo gwałtowną migreną i szalonym bólem głowy, a chuda miss zносиła rozmaite octy i sole, w celu ulżenia cierpieniom szanownej damy.

Natalcia inaczej zapatrywała się na tę kwestyę, — z umysłu przyszła ona do salonu, pragnąc poznać człowieka, który wychował ową czarnooką, czarnobrewą rusałkę, co tak niespodzianie, tak nagle, stanęła jej na przeszkodzie do szczęścia.

Słyszając ciągle złośliwe opowiadania pani Laury o starym weteranie.

Natalcia wyobrażała sobie, że ujrzy w salonie dziwaka jakiegoś, oryginała,

pełnego przytem atencji, uszczęśliwionego że mu dwór Starzyński gościnne swe podwoje otworzył.

Zawiodła się jednak w tem przypuszczeniu; z całego zachowania i wzięcia się pułkownika dostrzegła, że ro człowiek w świecie obyty, wychowany dobrze, światowiec nawet potrosze.

Stary wojak zachowywał się z godnością i odpłacał tylko grzecznością za grzeczność; lecz widać było, że za trwałem utrzymaniem stosunków nie goni, że rewizytując mieszkańców Starzyna, spłaca tylko dług wzajemnej wymiany grzeczności.

Jakkolwiek weszła do salonu z uprzedzeniem względem gościa, po kilku jednak chwilach, mimowoli uczuła dla niego szacunek i sympatye, a co

było dla nie; cięższem jeszcze, przyszła do przekonania, że wnuczka i wychowanica takiego człowieka nie musi być tak ordynaryjna i nieokrzesałą, za jaką ją pani Laura uważała.

Gdy pan Stanisław zaprasza! pułkownika żeby się nie zamykał w swe; samotni, żeby częściej dwór starzyński odwiedzał, stary wiarus węża białego pokręcił i rzekł:

— Przykro mi to jest. ale łaskawemu zaproszeniu szanownego sąsiada, przez jakiś czas przynajmniej, nie będę mógł zadość uczynić...

— A to dla czego, panie pułkowniku:

— Wyjechać bo na jakiś czas myślę.

— Dokąd?... teraz? w same żniwa?... wierzyć trudno... pułkownik dobrodziej taki zawołam gospodarz...

— No, tak, zapewne... ale ten wyjazd nie tyle mnie, ile mojej wnuczce potrzebny.

— I dokąd pan pułkownik wywieźć zamierza swoją piękną wnuczkę!

— Hm... sam jeszcze nie wiem, zagranicę chciałbym, — niechby tam dziewczeczka trochę świata przejrzała... nowe okolice, nowe wrażenia ... to młodej osobie potrzebne.

— A którą stronę Europy zwiedzić państwo zamierzają? — zapytał Alfred

— bo ja zapewne niezadługo na wędrowkę się puszcę, a to tak miło na obczyźnie znajomych z kraju spotkać ...

— Właśnie, panie szanowny, — odpowiedział pułkownik — ja sam się jeszcze na wybór miejsca

nie zdecydowałem i marszruty wytknięte) nit mam, projekt to w tych dniach dopiero powzięty, rozważyć więc jeszcze muszę.

Natalcia, którą zamiar tego niespodziewanego wyjazdu uderzył, spytała:

— Czy wnuczka pana pułkownika dobrodzieja nigdy jeszcze zagranicą nie była?

— Nie, pani — to jeszcze prawie dziecko, w mych oczach przynajmniej; dotychczas uczyła się tylko, miałem w domu bardzo dobrą nauczycielkę, a niektóre przedmioty wykładałem jej sam, w tym roku dopiero została awansowana na dorosłą pannę.

— Ale dla czego pan pułkownik — zapytał Stanisław, terażniejszy czas właśnie do wyjazdu wybiera

Hm... tak niespodziewanie myśl ta przyszła mi do głowy — a zwykle, może z wojskowego już poniekąd przyzwyczajenia, lubię zamian! natychmiast w czyn wprowadzać.

Natalci bystre oko zauważyło w twarzy pułkownika pewne zakłopotanie.

— Szkoda — rzekła — że pan pułkownik wyjeżdża, bo i moje dni w Starzynie policzone są prawie, a pragnęłabym poznać bliżej pannę Klarę, tu okolica taka pusta, nie mam odpowiedniej dla siebie towarzyszki...

— Proszę pani, przecież okolica nasza obfituje w młode osoby — panien tu bardzo dużo.

— Być może — ale w bliższym sąsiedztwie niema nikogo, zresztą, kuzyn mój, pan Stanisław,

jak panu wiadomo, prawie ciągle cierpiący, Lorcia niema też zdrowia do wyjazdów, ztąd też stosunki sąsiedzkie Starzyna są bardzo niewielkie. O pannie Klarze słyszałam dużo, i dawno już pragnęłam ją poznać, lecz niespodziany wyjazd państwa staje temu na przeszkodzie.

— W imieniu Klaruni dziękuję pani za ten zamiar, w towarzystwie osoby takiej jak pani, prosta, wiejska dziewczynka mogłaby zapewne wiele skorzystać, lecz pocieszam się tą nadzieją, że w przyszłym roku może znów pani w nasze strony zawita.

— W przyszłym roku... w przyszłym roku. — rzekła z westchnieniem Natalcia — a któż wie gdzie się w przyszłym roku będzie obracał? czy dożyjemy tego czasu? Ja bo nigdy takich odległych projektów nie robię... Rozśmiał się pułkownik.

— Nie wiedziałem że taka sensatka z pani... a cóż dopiero mamy powiedzieć my, starzy?

— Bądź co bądź niech pan będzie łaskaw oświadczyć swej wnuczce, że bardzo żałuję, iż jej poznać nie mogę, i że bezwątpienia miałyby we mnie szczerą przyjaciółkę.

Alfred zdumiony spojrział na Natalcię, pułkownik tymczasem do odjazdu się zabierał.

W Starzynie nie umiano tak zatrzymywać gości jak w Borkach; duże, chłodne pokoje, ledwie że do etykietalnej usposabiały wizyty, a pani domu, chowając się przed gościem, wymawiając słabością, której przecież na seryo nikt nie brał, tem samem

odstręczała od wszelkich bliższych stosunków, a tem bardziej zażyłości sąsiedzkiej.

Pułkownik też nie miał wielkiej trudności w wydobyciu się ze Starzyńskiego dworu; pożegnał pana Stanisława i Alfreda, złożył pełen galanterii ukłon Natalci, wskoczył lekko na swoją bryczuszkę zaprzężoną w dwa dzielne rumaki i odjechał.

Panowie wyprowadzili starego na ganek, Natalcia wyszła także za nimi.

Kiedy pułkownik już odjechał zbliżyła się do Alfreda i rzekła;

— Przeszłabym się troche po ogrodzie; jeżeli kuzynek ma czas wolny, możeby mi zechciał towarzyszyć.

Alfred skinął głową i w milczeniu podał jej rękę.

Natalcia wsparła się na jego ramieniu i poszła.

Piękna blondynka ubraną była w suknię czarną, przy której twarz jej i szyja jeszcze bardziej białemi, przezroczystemi wydawały się nawet.

Za cały strój miała tylko jedne, bladawej barwy różę herbacianą przypiętą do gorsu.

Szli przez szpalery lip strzyżonych, milcząc. Ona opierała się lekko na jego ramieniu, a serce jej uderzało przyspieszonym tętnem, on zaś, rozmarzony, błędził myślą gdzieindziej...

Natalcia pierwsza przerwała milczenie.

— Pojedziesz tam jeszcze? — spytała. On jakby ze snu się ocknął.

— Gzy pojedziesz tam jeszcze? — powtórzyła.

— Dokąd, kuzynko?

Tam do nich, do... Borków.

— Nie wiem... zdaje się jednak, że wypada mi jeszcze przed odjazdem pożegnać pułkownika.

— Pułkownika!? ha! ha! ha! — zaśmiała się szyderczo — ten twój pułkownik, kuzynku, o iJe mi się zdaje, ma na imię Klarcia... wiem, wiem, zapisałeś się do jej pułku, jesteś jej wiernym rycerzem.

Alfred milczał.

— Prawda więc? kto milczy ten się zgadza, jak mówi przysłowie.

Młody człowiek zapierać się chciał.

— Ależ... — jąkał — zkąd wniosek?

— Co dziwnego ? ładna jest ta rusalka z Borków, szatańskopiękne ma oczy, a sercu trudno rozkazywać. — kapryśne ono jest i samowolne... A zwracając na Alfreda swe duże, modre oczy, zapytała:

— Alfredzie, powiedz mi, dlaczego serce takie samowolne jest ? dlaczego żadnych rozkazów nie słucha?

— Zkąd ci to pytanie, kuzynko?.,.

— Nie wiem... zdenerwowana, może chora jestem, gniewam się że słońce świeci, że róże kwitną, gniewa mnie zieleń liści i ciche szmery wód, bo to wszystko takie piękne... a w duszy ludzkiej smutno... czarno, jak na cmentarzu...

To mówiąc, wyjęła różę przypiętą do gorsu, obskubywała listek po listku i rzucała na ziemię, a oczy jej były łez pełne.

— Wróćmy do domu — rzekła cicho — Lorcja nudzi się sama, trzeba pójść do niej przecie...

Szli tak powoli, w milczeniu, przez cieniste aleje ogrodu, a gdy już prawie przed dworem byli, wysunęła Natalcia rękę z pod ramienia Alfreda, spojrzała mu w oczy — i spytała smętnie:

— Gzy ty ją bardzo kochasz, Alfredzie?... te ... z Borków ?

Lecz on zdawał się nie słyszeć pytania, ukłonił się Natalci i do ogrodu wrócił.

Wkrótce z salonu, przez drzwi otwarte, rozległy się silne, minorowe akordy pogrzebowego marsza. Pani Laura dostała ponownego ataku migreny, a miss Hufeland. wyczerpawszy wszystkie zapasy trzeźwiących soli, wzięła się do octu.

VIII.

Dzień się skończył, spracowani robotnicy spać poszli, a nad Borkami i okolicą całą, cicha noc letnia rozpostarła płaszczyznę gwiazdzistą.

Klarunia sama do ogrodu wyszła, chodziła długo, długo; rozmyślała, marzyła, a na tle tych marzeń ukazywała się nieraz piękna, męzka postać Alfreda. Jednak serce dziewczęcia nie uderzało tak silnie, jak owego dnia, gdy po raz pierwszy nieznajomego na stawie ujrzała. Myśli nie plątały się

już jak pasmo nitek zmiętych w figlarnem reku dziecka, lecz płynęły cicho, spokojnie, niby strumień, wśród ukwieconej łąki. Serce jej nie uderzało gwałtownie, a jakkolwiek czuła budzącą się dla Alfreda sympatyę. jakkolwiek pragnęła go widzieć często, słyszeć jego głos o dźwięcznem, metalicznem brzmieniu; niemniej jednak nie widziała w nim nic takiego, coby ją porwać, lub zachwycić mogło. Kiedy dziadzio co mówił, Klarcia słuchała z wyteżoną uwagą; gdy opowiadał jej przeszłość, gdy szlachetne myśli i idee wygłaszał, młode jej serduszek przyspieszonym uderzało tętnem, a pod czarem tych słów wzniosłych, dusza jej wyrwała się do ideałów, do czynu. Słowa Alfreda nie sprawiały na niej tego wrażenia, choć brzmiały milej, harmonijniej, dźwięczniej, aniżeli suchy głos starca. Zdawało jej się, że z Alfredem pobiegłaby chętnie zrywać kwiaty i gonić motyle po łąkach, — a z dziadkiem gotowaby pójść w ogień i w wodę — i na niebezpieczeństwo wszelkie. — W Alfredzie widziała urodę, w dziadku duszę zacną i silną — żałowała że Alfred nie posiada podobnej. Zamyślona o nowym swoim znajomym, Klarunia na ławeczce darniowej, pod oknem pokoiku ciotki Józefy usiadła, wsparła główkę na dłoniach i w głębokiej utonęła zadumie. Ciotka nie spała jeszcze, chodziła po pokoju, a okno otwarła sze

roko, jakby pragnąc orzeźwić się chłodnem a świeżem tchnieniem nocy letniej.

Klarunia niewidziana i niedostrzeżona przez nikogo pod oknem siedziała. Usłyszała ona jak drzwi do pokoju ciotki otworzyły się nagle — i dały się słyszeć miarowe, dobrze jej znane kroki dziadka.

— No, Józeczko — rzekł stary — dobrze że nie spiszesz jeszcze, rozmówić się z tobą potrzebuję.

— Słucham, słucham...

— Ale w cztery oczy, mościa panno, rzecz ważna!

— Ho, ho, znowuż jakiś kłopot?

— No, wiadomo że nie wesele przecież... ale gdzie nasza panna?

— Jak zwykle w tej porze do ogrodu wyszła ... nie bronię jej tego, niech się tam trochę na powietrzu po skwarze całodziennym orzeźwi.

— No, no, nie szkodzi to nic, któżby jej bronił? tak tylko spytałem, bo o niej właśnie chciałbym się z tobą rozmówić.

Klarunia pod oknem siedząca zaczęła słuchać pilnie.

— Już to teraz dla mnie nie sekret, że się zakochała w tym gapiu...

— W jakim? co znowu?

— No, w tym że Starzyna — wizytę nam przecież złożyli...

— Hm... jeżeli mam prawdę powiedzieć, w tej partyi nie widziałabym dla Klaruni nic złego, chłopak z dobrego gniazda...
_ I coż więcej ? — spytał ironicznie pułkownik.
— Ogłodzony...
— Aż zanadto może.
— Nie bez majątku...
— To najmniejsza — ale co więcej ? powiedzże mi moja pani, co więcej?
— Jakto... co więcej?... czegoż pułkownik chce ? — ładny...
— Lalka! ale więcej!
— No, nic więcej...
— Otoż widzisz, przecież raz trafiłaś nareszcie — i więcej nic. Otoż, mojem zdaniem, ten twój pan Alfred, ze swoim dobrem gniazdem, ogłodzeniem, majątkiem, ładnością, to jest... niejedno wielkie nic — a ja nie na to chowałem dziecko, nie na to wszczepiałem w nie zasady szlachetne, nie na to kształcił, nie na to kocham ją wreszcie, bym ją miał wydać za nic!
— Lecz, pułkowniku dobrodzieju, unosisz się, przecież ten pan jest takim samym, a może i lepszym od tysięcy młodych ludzi jemu podobnych.
— Nie, nie, sto razy nie! powiadam ci, droga pani, że się mylisz, że jesteś w błędzie. Nie chcę rzucać dziecięcia na pastwę losu, jeżeli mam ją wydać, to wydam tylko za człowieka, w całym znaczeniu tego wyrazu. Niech ten człowiek będzie bie

dny zupełnie, bez majątku, ale niech ma zasady ugruntowane, przekonania zacne, miłość tego co szlachetne ... niech pracować umie, niech darmo, jak pasożyt, nic żyje na świecie,

— Zapewne — odrzekła ciotka — ja tam spierać się z pułkownikiem nie będę, nie moja głowa.

— Otoż miałem takiego człowieka na myśli, dzielnego chłopca, syna mego przyjaciela i kolegi, chciałem go tu do nas zaprosić, roilem sobie że się podoba Klaruni. że będę patrzył na ich szczęście... A, siostruniu, dzielny to chłopak, pracowity, zacny, szlachetny, umarłbym spokojny, gdybym w jego ręce skarb mój najdroższy powierzył — ale nieszczęście się stało...

— Co? jakie nieszczęście? wypadek?

— Ano, zapewne że wypadek... nic przyjedzie już do nas, miałem dziś list od jego ojca.

— Cóż się stało ?

— Cóż się stać miało? — żeni się smarkacz!.. Szkoda, szkoda że Klaruni mojej nic znał, bo gdybają znał, czyż mógłby o innej marzyć ?...

— No, szkoda — albo i nie szkoda, cóż to, dla naszej Klarci już się partya nie znajdzie?

— Ba! nie wątpię — ale się tymczasem dziewczyna w tym lalko waty m chłopcu zakocha, mizernieć, schnać będzie...

— A jakież na to sposób?

— Otoż z tem właśnie przychodzę, bo widzisz kochanie, jest sposób.

— Jaki?

— Wyjechał z Klarunia.

— Dokąd?

— Za granicę..

— Za granice! kiedy? może zaraz?...

— Naturalnie że nie zwłóczęc, bo to periculum in mori, mościa dobrodziejko.

— Co też pułkownik mówi ? teraz, w same żniwa, kiedy w gospodarstwie robota największa, w folwarku ruch ciągły, tyle ludzi w polu, kiedy właśnie zbiera się owoc całorocznej pracy, pułkownik chce wszystko rzucić i w świat lecieć! ależ na miły Bóg, to niepodobieństwo — to najoczywistsza strata.

— Pal djabli wszystkie straty, moja siostruniu, — ta dziewczyna nad wszystko mi jest milsza.

— Ale cóż jej ten wyjazd pomoże?

— Co pomoże? zabawnaś! toć świata kawał zobaczy: masa wrażeń, widoki nowe, to ją zajmie, rozerwie, każe jej zapomnieć o tej... tej tam lalce Starzyńskiej.

— I czy to już nieodwołalne postanowienie pana pułkownika, nieodwołalne?

— Żebyś siostruniu nie wiem jak wołała, to już nie odwołasz — wiesz że nie lubię się cofać.

— A kiedyż ma nastąpić ten nieszczęsny wyjazd?

— Ten nieszczęśliwy wyjazd nastąpi za trzy dni i proszę cię właśnie, pani siostro, abyś się przez ten czas zajęła przygotowaniem wszelkich fatalaszków, falbanek i innych gałganków, bez których

wy kobiety, nigdy się w podróży nawet nie obywacie.

— Ależ to niepodobna...

— Przepraszam cię, Józiu, ale musi tak być — to sobie tylko zastrzegani, aby mi zamiast dwudziestu czterech pudełek, tłomoczków i pakunczków,

był tylko jeden tłumok. — Niech będzie wielki jak stodoła — ale tylko jeden, — to sobie zastrzegam i proszę, bo jeżeli będzie więcej, to zaraz, bez pardonu, na pierwszym moście w wodę zrzucam; a wiesz siostruniu, że żartować nie lubię.

— W głowie mi się to pomieścić nie może. taki nagły zamiar! i w trzy dni się wybrać, do drogi wszystko przygotować, ach to nie sposób!

— Jak tam sobie chcesz, moja pani, co będziesz miała przygotowane to z sobą weźmiemy — a czego zbraknie, to kupimy w drodze. — Tymczasem Józeczko, dobrej nocy życzę — spij spokojnie a nie martw się bardzo, bo niema czego... pojedziemy, powrócimy — i znów zaczniemy żyć spokojnie, jak dawniej. Dobranoc ci, Józiu.

Z temi słowy pułkownik wyszedł do ogrodu, a panna Józefa już nie chodzić, ale biegać po pokoju zaczęła.

Klarunia, mimowolny świadek; tej rozmowy, zamyśliła się nad jej treścią. Oparła główkę na dłoniach i dumiała. — Obrachunek z sercem i uczuciami swemi robiła, wreszcie wstała szybko, jakby jakieś stanowcze postanowienie powziąwszy i poszła w ogród.

Niedaleko na ławce siedział pułkownik. Światło padające z okien dworku, pozwalało go dostrzedz Klaruni. Cicho zbliżyła się do niego, wsparła drobną rękę na jego ramieniu, i głosem pieszczonym, wkradającym się do duszy, rzekła:

— Dziaduniu!

— Ach, jesteś!? jak to dobrze żeś przyszła, właśnie sani cię chciałem poszukać.

— Przeczyłam więc rozkaz — i stawiałam się na życzenie...

- Rozkaz? — moje dziecko, czyż rozkazywałem ci kiedy?
- O nie, nie, dziaduniu najdroższy, ale jesteś dla mnie zawsze tak troskliwy, tak wyrozumiały, tak dobry — że już przez to samo, życzenie każde twoje staje się dla mnie rozkazem.
- Więc ty mnie tak kochasz? — dziewczyno.
- Czyż możesz pytać! mój dziadziu.
- A słuchasz że mnie ?
- Zawsze przecież posłuszną byłąm.
- A w przyszłości?
- I teraz i zawsze i na wieki wieków... mówiła śmiejąc się Klarunia, a na amen pozwolisz dziadziu że ucałuję twoją rękę. Czy kontent jesteś ze mnie?
- Tak, tak, moje dziecko... a raczej tyś już nie dziecko, Klaruniu...
- A cóż ja jestem?
- Panna dorosła już... Rozśmiała się dziewczyna.

- Czy to ci co przeszkadza, mój dziadziu?
- Nic, ale niepokoi trochę.
- Zastraszasz mnie dziaduniu; ja myślałam że się dziadzio cieszy, że się już takiej wielkiej... wielkiej... dorosłej wnuczki dochował — a dziadzio się przestrasza. Chyba musiałam się zrobić teraz do strasydła podobną...
- Nie żartujmy, dziewczyno, pomówmy poważnie — powzięłem zamiar pewien...
- Niepotrzebny zupełnie, dziaduniu.
- Jako, niepotrzebny? przecież go nie znasz jeszcze?
- Owszem, znam bardzo dobrze i powtarzam, że wcale niepotrzebny.

— Cóż u licha! gadaj no jaśniej, moja panno, bo ja z tego wszystkiego nic a nic nie rozumiem!

— Owszem, wytłómaczę się chętnie, ale niech mi dziadzio do głosu przyjść przecież pozwoli.

— Mów, mów. ani jednym słowem nie przerwę.

— Otoż ja powiem dziadzi bajeczkę.

— Ej Klaruniu, nie czas teraz na bajeczki...

— Miał dziadzio nie przerywać, a przytem w każdej bajeczce bywa jakaś część prawdy, a w mojej wyjątkowo będzie sama tylko prawda — czy moge zacząć?

— Słucham.

— Była sobie jedna dziewczynka, która nie lubiła podsłuchiwać i nie podsłuchiwała nigdy w życiu, bo wiedziała że to jest brzydko i że za taką rzecz, dziadzio tej dziewczynki z pewnością by

się rozgniewał... ale ta dziewczynka lubiła wieczorami siadywać na darniowej ławeczce, pod oknem.

Zwyczaj zresztą nienaganny i nikomu nieszkodliwy

— wszak prawda, dziadziu?

— No prawda, ale już nie nudź, kochanie, lecz zmierzaj prosto do celu.

— Otoż zmierzam. Pewnego pięknego wieczoru dziewczynka usiadła na ławeczce pod oknem i patrzyła w gwiazdy, a tymczasem pewien dziadzio przyszedł do pewnej cioci i rozpoczął z nią rozmowę, która ową dziewczynkę bardzo a bardzo zaciekała.

— Więc słyszałaś?

— Przebacz, dziadziu, powinnam była odejść i nie słuchać, ale mówiliście o mnie — a ciekawość to przecież ogólna wada nas wszystkich, biednych córek Ewy — więc nie miej mi tego za złe, mój dziaduniu drogi...

— Hm, hm, kiedyś słyszała, to i lepiej może, nie będę potrzebował powtarzać ci tego, co właśnie ciotce Józefie przed chwilą mówiłem.

— Nie, nie, nie trzeba, ale pozwolisz, dziaduniu, że ci rozpoczął bajeczkę dokończę.

— No kończ, kończ, pieszczotko — mówił pułkownik, przyciągając do siebie Klarunie i całując ją w czoło.

— Wiec na czymże ja stanęłam? aha, był pewien dziadzio i mówił do pewnej cioci: mamy głupią dziewczynę, której się zaczyna w głowie przewracać, która nas nie kocha i o pocziwych

zasadach, wpojonych przez starego dziadka, zupełnie zapomina...

— Ależ ja tak nie mówiłem, moje dziecko.

— Innymi wyrazami, lecz to samo, ale proszę mi nie przerywać; tedy ten pewien dziadzio powiedział, że ponieważ głupia dziewczyna może się łatwo zakochać, przeto trzeba ją wywieźć. — Słuszna racya; dziecku podobało się cacko, które może być dla niego szkodliwym, przeto należy mu pokazać cacka inne, aby zapomniało o pierwszym. — O dziaduniu, dziaduniu! — mówiła dalej z raoca — jakże mnie możesz tak krzywdzić?...

— Bo cię kocham, Klaruniu.

— Wierzę, ale mnie nie znasz i nie ufasz mi widocznie, zdaje ci się że te przekonania i zasady, które wpajałeś we mnie, odbiły się od mojej pustej

głowy jak groch od ściany twardej. Dziaduniu, a czym ja zasłużyłam na to? Czem dałam ci powód do tego rodzaju przypuszczeń?

— Dziecko drogie!

— Zaufania do mnie nie masz, mój dziadziu, nie wierzysz mi, a jednak cóż było łatwiejszego jak rozmówić się z Klarunią i spytać wprost, Co się dzieje w jej sercu?

— Wątpiłem czy odpowiesz mi szczerze.

— I dlaczegożbym się kryć miała? i dziś ci powiem dziaduniu otwarcie, że mi się ten pan Alfred podobał... i czuję... czuję że mogłabym go szczerze pokochać, gdyby... gdyby tylko... ach... jabył go tak bardzo pokochała!!

— Gdyby co, duszko ?

— Gdyby chciał być takim, jakim powinien być mężczyzna prawy i pożyteczny krajowi obywatel... ale dziś on takim nie jest — mnie to nawet martwi... ale pocóż ten wyjazd, dziaduniu?

— Czy tylko pewna jesteś tego co mówisz — czy nie łudzisz się co do istotnego stanu twego aerea? — bo. moje dziecko, miłość to ogień; to niebezpieczna igraszka ...

— Ale mnie się zdaje, dziaduniu, że słoma w zetknięciu z ogniem spala się i w popiół zamienia, a naprzykład stal wytrzymuje płomienie. Zresztą, dziaduniu kochany, ja dotychczas nie kocham nikogo prócz ciebie, innej miłości nie znam tu na ziemi, a mówię ci to szczerze, bez obłudy, — nie oszukuję cię. mój opiekunie najdroższy.

Stary ręce wnuczki całował, ona zaś dalej mówiła:

— Wstrzymaj dziaduniu ten odjazd, bo on i nie na dobie jest i niepotrzebny zupełnie. Zresztą pan Alfred nie wyjawiał nam dotąd żadnych jasno określonych zamiarów. — Może też nie myśli o niczem podobnem...

— A jeżeli myśli? zapytał pułkownik.

— Ha, jeżeli myśli, dziaduniu, to... to dobrze... Ja jestem tak młoda że mogę długo nawet czekać — a on, jeżeli istotnie nas polubił, to także ma czas dowieść i wykazać czynem że u przywiązanie zasługuje. — Czy ja dobrze mówię, dziaduniu ?

— Ty mówisz Klarciu tak, jak powinno mówić moje najdroższe dziecko, z którego dumny jestem.

— "Więc pocałuj mnie za to dziaduniu, a ciotce Józefie powiedz żeby już o tym wielkim tłomoku nie myślała, bo ona pakę od fortepianu wziąć gotowa i dziś jeszcze w nocy napchać ją różnemi gałgankami mojemi, tak, że ja potem do ładu z rzeczami nie trafię!

IX.

W Starzyńskim pałacu, w owym zimnym salonie, siedziała na fotelu pani Laura i niecierpliwie uderzała nożem z kości słoniowej o brzeg pięknie oprawnej książki.

Myśli jej widocznie ważnym jakimś przedmiotem były zajęte...

niecierpliwiła się. nareszcie wzięła dzwonek ze stołu i kilkakrotnie zadzwoniła.

Wszedł lokaj.

— Czy pan Alfred jest? — zapytała.

— Jest, proszę jaśnie pani, u jasnego pana w gabinecie.

— Poproś żeby się na kwandransik do mnie tu pofatygował.

Lokaj skłonił się i wyszedł — a po kilku minutach Alfred znalazł się w salonie.

— Bratowa pragnęła ze mną mówić? — zapytał.

— Istotnie, poważylałam się prosić o chwilkę rozmowy.

— Więc jestem na rozkazy...

— Bądź łaskaw weź krzesło i przysuń się bliżej.

Alfred usiadł na najbliższym krześle.

— Zdaje mi się że czas już abyśmy się bliżej porozumieli...

— Co do czego ? bratowo.

— Sądziłam że domyślasz się o co idzie.

— Ani odrobinki.

— Hm, więc muszę ci powiedzieć sama. Człowiek twego urodzenia, twej pozycji towarzyskiej, powinienby już pomyśleć o ustaleniu losu.

Alfred milczał.

— Tembardziej że interesa twoje własne... interesa wspólne, to jest twoje i brata, którego przecież tak kochasz... wszak kochasz Stanisława?

— O, bardzo!

— Otoż nasze wspólne interesa wymagają, aby wniosek przyszłej twojej żony podniósł zagrożoną sytuację majątkową, zatem...

— Rozumiem — zatem jestem wyrokiem kochanej bratowej skazany w tej chwili na śmierć przez... ożenienie.

— Na śmierć ?

— Zawsze słyszę od pani, że małżeństwo jest śmiercią powolną, to przecież własne słowa bratowej ...

- To się tyczy tylko kobiet, tych nieszczęśliwych ... zapoznanych istot...
- W takim razie skazujesz pani na śmierć kobietę...
- Zapewne — ale kiedy inaczej być nie może...
- Bądź co bądź, nie mam wcale intencji być katem.
- O, mój Alfredzie, proszę cie nie żartuj —
ja mówię z tobą najzupełniej seryo.
- A ja też najpoważniej w świecie odpowiadam bratowej — i traktując
kwestyę seryo, twierdzę, że nie mam zamiaru stać się przyczyną
nieszczęścia jakiejś damy, któraby tak zwanym swoim wnioskiem miała
ratować zagrożoną naszą sytuacyę.
- Zwracam uwagę pana, że ton żartobliwy nie odpowiada wcale
przedmiotowi naszej rozmowy.
- Ach, więc bratowa naprawdę każe mi rozmawiać poważnie ?
- Tak jest, mój panie i po to tylko ośmieliłam się go fatygować.
- Rozmawiajmy więc poważnie — słucham.
- Przedewszystkiem, czy wiesz w jakim stanie znajduje się nasz wspólny
majątek:
- Jeżeli mam wierzyć waszemu plenipotentowi, który nas
prawdopodobnie szkaradnie okrada, to ów stan nie jest bardzo ciekawy.
- Powiedz raczej że smutny.
- Zapewne — ależ w jaki sposób go rozweselić ?

- Właśnie o to idzie.
- Brat mój, a pani mąż, jest co prawda bardzo blizkim wynalezienia klucza, do tej niezbyt zresztą zawilej zagadki.
- Mój mąż?
- Tak, pani.
- Ciekawam też bardzo...
- On powiada że przede wszystkim trzeba pana rządcę odsunąć, bo już dorobił się dosyć...
- A potem?
- Nie żyć nad stan, oszczędzać... wyrzec się wycieczek do stolicy, podróży niepotrzebnych...
- No, no!... cóż dalej jeszcze wskazuje mądrość mego pana meza?
- Pracować.
- Ha! ha! rozpocząć sielankę wpośród grząd kapusty i cebuli!
- Choćby...
- Pędzić życie pomiędzy stodołą, oborą i kurnikiem... czy tak pan mąż decyduje?
- Cóż złego?
- Nie. nigdy! przenigdy! nie na to wniosłam mu olbrzymi majątek, że już osobistego zawodu i zapoznania nie liczę, nie na to oddałam mu swoje serce, żeby kucharką, czy też szafarką folwarczną zostać. Nie — nie!
- A jeżeli to jest jedyny dziś środek ratunku?
- To umrę lepiej — rzekła głosem cichym lecz dobitnym.
Przez chwilę przykre milczenie trwało.

- Umrze pani ? — spytał Alfred nieśmiało.
- Tak, umrę! przekładam śmierć nad życie, do którego przyzwyczajoną nie jestem, które mi sprawia wstręt i odrazę. Och! tu mieszkać, zagrzebaną być w tym grobie!
- Zwracam uwagę pani że to jest przecież grób rodzinny, tuśmy już tyle folwarków pogrzebali...
- Alfredzie — ja się rozpłaczę...
- Będę się starał pocieszać.
- Bez serca jesteś, mój panie. Alfred westchnął.
- Zapewne... — w zamyśleniu rzekł.
- Więc nie chcesz mnie wysłuchać spokojnie ?
- Ależ pani, sama grzeczność obowiązuje mnie do tego.
- Słuchaj więc, jeżeli nie przez sympatyę dla nieszczęśliwej, to przynajmniej przez grzeczność dla kobiety.
- Alfred przysunął się z krzesłem bliżej jeszcze.
- Co ci wiadomo o interesach Starzyna ?
- Wiadomo mi to, że na części waszej, długi przewyższają wartość — na mojej zaś jest ich także sporo.
- To wiesz prawdę, niestety.
- Tak sędzę.
- Co do mnie widzę jeden tylko środek ratunku ... w tobie...
- We mnie?

- Tak — ty jeden dźwignąć nas możesz z upadku.
- Gdybym mógł I...
- Możesz, mówię ci.
- Chyba braterstwo pożyczkę zaciągnąć chcecie? — cóż robić — o ile moja hipoteka jest wolną...
- Nikt tego nie wymaga.
- Więc cóż?
- Posag żony twojej przyszłej mógłby na całym Starzynie bezpieczeństwo znaleźć — a długi inne usunąć.
- Kombinacja piękna, tylko ma przeciwko sobie dwa zarzuty.
- Jakież to ?
- Żeby ją wykonać należy mieć przede wszystkim posag i żonę. Pierwszego nie sądzę żeby mi dano, co do szukania drugiej nie mam co prawda wielkiej inklinacji.
- Czyż potrzebujesz szukać?
- Zdaje się?
- Ależ ona tu jest, pod naszym dachem!...
- Natalka?
- Tak, Natalcia — cóż przeciwko niej mieć możesz?
- Nic zgoła.
- Czy nie piękna jest ?
- Prześliczna.
- Czy nie może być dobrą towarzyszką życia?
- Jak najlepszą, przypuszczam.

— A co się tyczy posagu, to wiesz przecie, jest to jedna z bogatszych panien jakie znam. Jej opiekun główny, wuj Hilary, zapisze jej także bezwątienia i swój własny majątek. Ogółem to co już ma Natalcia i co jeszcze w przyszłości mieć może, stawia ją w rzędzie panien milionowych. Gzy słyszysz, Alfredzie... milionowych! I ...

— Słyszę, słyszę.

— I nic nie mówisz?

— A cóż mam powiedzieć? — szczęśliwa...

— Tyle tylko?

— A cóż więcej ?

Pani Laura utkwiała w niego badawcze spojrzenie.

— Jednak to projekt już ułożony w rodzinie.

— Bez mego udziału, co prawda.

— Ja tu głównie w tym celu zaprosiłam Natalcię...

Alfred zamilkł.

Pani zerwała się z krzesła, szybkimi krokami kilkakrotnie wielki salon przebiegła, nareszcie zatrzymała się tuż przed Alfredem.

— Słuchaj no — rzekła — czy ty wiesz co to jest miłość ?...

— Coś o tem słyszałem zdaleka...

— Czy wiesz co to jest to budzące się uczucie serca, które kocha po raz pierwszy, świeżą, niewinną miłością ?

— Któż to tak kocha?

— Kto ?... oto Natalka tak kocha.

— Natalcia?... kogo?...

— Ciebie. — Ciebie, mój panie, wyznała mi to z płaczem gorącym, ze łzami... Będziesz że miał sumienie odtrącić od siebie dziewczę, w którego sercu wzbudziłeś tak gorące uczucie?

— Daje pani słowo uczciwego człowieka, że nie starałem się o to nigdy.

— Mniejsza z tem. Czyś starał się czy nie, fakt fest ie Natalcia pokochała cię całym sercem. Szczęśliwy!... Taki kwiatek uśmiecha się do ciebie, schylić ci się tylko potrzeba i zerwać go... Ale co was, panowie, serca kobiet obchodzą?., zdeptać je, zniweczyć, lub też zranić boleśnie — to wasze... wzniosłe zasady!... Każdy z was do tego tylko zdolny.

Alfred nie słuchał tej tyrady, oparł czoło na dłoniach i zamyślił się smutnie.

Żał mu było tej pięknej, dobrej, modrookiej Natalci, w której sercu mimowoli przywiązanie do siebie wzbudził — przywiązanie którego wzajemnością odpłacić nie mógł. Nie, nie mógł... gdyż jego serce do Klaruni się rwało, w jego usposobieniu, myślach, poglądach, tworzył się przewrót. — Nowe, nieznane dotychczas ideały zaczęły go nęcić ku sobie. Perspektywa innego zupełnie życia otwiera się przed nim. — Z jakąż chęcią przeszedłby przez to życie, choćby jego drogi samemi były zasiane cierniami, byle mógł mieć nadzieję, że kiedyś, kiedyś... w tych oczach czarnych, które tak magicznie działały na niego, zabłyśnie iskra uczucia...

Przechodząc wszystkie fazy trosk, niepokojów, marzeń i obaw, tych nieodłącznych towarzyszek prawdziwej miłości, Alfred rozumiał położenie Natalci — a tylko współczucie żywić w sercu mógł dla niej. Zamyślenie w które wpadł obecnie, pani Laura za namysł poważny uważała.

— Alfredzie — rzekła po chwili — nie igra się bezkarnie z miłością! Egoistka — frazesami walczyła i skutku była pewną niemal.

— O, nie igra się... — odpowiedział z westchnieniem.

— Mam też nadzieję, że nie zechcesz zakrwawić serca tej dobrej, niewinnej dziewczyny — że zbliżysz się do niej — pomówisz z nią?... Alfred nie odpowiadał.

— Związek wasz pod każdym względem najtrafniejszym, najbardziej odpowiednim i dobranym będzie, — pozazdrości wam każdy. Zresztą ty, który masz serce tak dobre, ty, który tak bardzo kochasz brata, który szanujesz tradycje rodu i dbasz przecie o to żeby ten nic ze świetności i blasku swego nie stracił — nie możesz nie widzieć świetnych następstw majątkowych, jakie ztąd wynikną. Jestem aż nadto przekonana, że ze wszystkich względów, które wypowiedziałam, a które ty wybornie rozumiesz i pojmujesz — zastanowisz się nad tem — pomówisz z Natalcia...

Alfred obiema rękami wziął się za głowę ... jak gdyby chciał przytłumić szybkie pulsowanie krwi w skroniach. — Tyle naraz myśli cisnęło się do głowy...

— Tak, bratowo, przyrzekam ci, że się rozmówię z Natalcia.

I nie słuchając podziękowań bratowej, która już całą sprawę za wygraną uważała, wybiegł z pokoju.

Krzyknął na służącego aby mu konia podano, wskoczył na siodło i pomknął jak szalony...

Wiatr szumiał mu w uszach i chłodził czoło jak ogień płonące...

X.

Alfred dość często przyjeżdżał do Borków — wprawdzie pułkownik z początku niebardzo miłym okiem spoglądał na te wizyty, lecz wierzył zapewnieniom Klaruni i zamierzonego wyjazdu zagranicę zaniechał.

Później, widząc że wnuczka przyrzeczenia dotrzymuje, że spokojną jest i wesołą jak dawniej, życzliwie nawet przyjmował młodego gościa i w długich z nim rozmowach obserwował go bacznie.

Stary żołnierz, przedewszystkiem starał się zbadać charakter Alfreda, chciał się przekonać czy

to jeszcze materyał; surowy, przez niewłaściwe i bezmyślne wychowanie nie wyrobiony jak należy, czyli też człowiek — jako człowiek, stracony. Zastanawiał się pułkownik nad tem. czy pod wpływem dobrego nie dałby się ten młodzieniec uszlachetnić jeszcze?

Stary w ogóle kochał ludzi, ztąd też lepszymi, szlachetniejszymi widzieć ich pragnął. a przytem, pomimo demokratycznych przekonań, które wyrobiło w nim życie, wierzył jednakże w tak zwaną . "dobrą krew i miał to przekonanie, że prędzej czy później odezwie się ona kiedyś w człowieku, jeżeli ten do gruntu zepsutym jeszcze nie jest.

Przypuszczenia pułkownika coraz więcej skłaniały się ku temu, że Alfred w gruncie rzeczy złym człowiekiem nie jest, tylko że wychowanie nie

otworzyło mu oczów, nie wskazało obowiązków i zadań, jakie człowiek w jego pozycji będący, spełniać powinien.

Przebudzić tę duszę z uśpienia, zagrzać ją do energii, do czynu — wydało się staremu bardzo pięknem i godnym podjęcia zadaniem.

W tym celu nieraz odbywał z Alfredem dłuższe konferencje, a po każdej z nich młody człowiek zamyślał się, zastanawiał nad sobą.

Skromna, lecz wyborowa biblioteczka starego wiarusa była na usługi Alfreda i wolno mu było czerpać z niej dzieła różne, dotychczas mu nie znane; wprawdzie nie denerwujące jak romanse francuzkie, lecz otwierające zato przed oczami jego

zupełnie nowe, prawie nieznane dotychczas horyzonty.

Młody człowiek wczytywał się w te dzieła. — Nieraz, chociaż już dzień się zbliżał, w jego pokoiku w Starzynie świeciło się jeszcze, a z każdym dniem widnokrąg jego myśli rozszerzał się... rozjaśniał.

Gdy rozpamiętywał przeszłe swoje życie, takie marne, puste, bez żadnego celu i treści, nie pożyteczne nikomu, nie pozostawiające po sobie żadnego, a żadnego śladu — gorzko mu się na sercu robiło. — Wówczas myślał także i o bracie swoim, złamanym, zmęczonym w tej wegetacji nędznej, bezcelowej — i czuł że tak jak jest pozostać nie może, że trzeba siły zebrać i całą pełnią tych sił ratować się — człowiekiem zostać. —

Człowiekiem zostać! być czemś!... a może w takim razie ten pułkownik stary, ten mimowolny jego nauczyciel, przycisnąłby go do serca jak syna, może czarne oczy Klaruni zapłonęłyby blaskami i ogniem uczucia...

A ta Klarunia, to dziewczątka młodziutkie, nieraz mówiła o zadaniach człowieka, zadaniach wyższych, wznioślejszych, obejmujących szersze

koła; w jej młodocianem serduszkę wzniosłe zasady dziadka wszczepione były głęboko, tak głęboko, że stały się jej zasadami własnymi, zasadami, z którymi nie rozstanie się nigdy. I jakże wobec tych zasad wypowiedzianych tak wyraźnie i jasno — i wobec tego że aż dotychczas było się tylko rozba

wionym motylkiem, fruującym z kwiatka na kwiatek, wyznać jej uczucie, które całą istność pochłania?

Jakże powiedzieć że się pragnie być jej opiekunem, przewodnikiem na drodze życia?

Rozśmiałyby się może, a stary pułkownik zmarszczyłby brwi białe i zapytał: — a któż ciebie, panie, prowadzić będzie.! kto zaopiekuje się toba?...

Widział to Alfred i czuł że pomiędzy nim a Klarunia leży przepaść, którą tylko praca ciężka, praca wytrwała nad sobą samym, wypełnić może — gotówby się nawet rzucić w wir tej pracy, dźwigając ciężar do którego nie nawykł — ale któż wie czy przez ten czas próby serce Klaruni nie uderzy dla kogo innego? Czy rączka jej biała nie spocznie w silnej, męskiej, narobionej dłoni? w dłoni człowieka, który już ten tytuł, to jest tytuł człowieka, zdobyć sobie zdołał?

Dziwne, nieznanne dotychczas, sercem jego miotały uczucia. W krótkim stosunkowo czasie doznał tyle wrażeń, tyle przemyślał, przecierpiał, przebolewał... To zdawało mu się że już chwyta słabą nitkę nadziei, a dla tej nadziei gotów syzyfowe nawet prace podejmować, to znów ta złota nitka rwała się i niknęła, a życie wówczas wydawało się tak strasznie pustem, czczem, bezbarwnem, samotnem, że bywały chwile, w których brał broń do ręki i już gotów był prawie przerwać te egzystencję mecząca...

Lecz w takich momentach przychodziły mu na myśl czarne, wymowne oczy, zdawało mu się, że te oczy są smutne, że na aksamitnych rzęsach łązy drgają... że w oddaleniu znowuż ukazuje się owa delikatna jak przedza pajęcza, nitka nadziei. Chwytał tę nitkę, jak tonący za brzytwę chwyta i szedł do Borków słuchać srebrnego śmiechu Klaruni i poważnych słów pułkownika.

Pułkownik witał go uprzejmie a Klarunia wyciągała do niego rączkę białą. Często tak było.

Teraz do różnych wstrząśnień, jakie Alfred przechodził, przybył czynnik nowy. — Rozmowa z bratową, z rozkosznego świata marzeń i najpiękniejszych nadziei sprowadzała go na grunt realny. — Przypominała mu że brat jego ginie, że majątek zagrożony ratować trzeba ożenieniem bogatem, że wreszcie ożenienie to jest jedynym środkiem zapewnienia mu egzystencji bez troski, środkiem podtrzymania świetności rodu, pojętej w znaczeniu, w jakim był zwykł dotychczas ową świetność pojmować. Poza tem wskazywała mu szczegól dotąd nieznaną — miłość Natalci. Teraz przypominając sobie całe zachowanie się jej, zrozumiał wszystko, zrozumiał że w sercu tej dziewczyny zbudziło się uczucie, na które on wzajemnie odpowiedzieć nie może.

Czemuż te urocze, czarne oczy stały na drodze jego życia? Gdyby nie one, byłby się ożenił z Natalcia, byłby żył jak dotąd, podniósł świetność

rodu i majątek — i nie pomyślałby nawet o poważniejszych obowiązkach, jakie życie na człowieka wkłada. — Żyłby wygodnie, spokojnie... byłby stałym gościem resursy, członkiem jakiej rady nadzorczej w przedsiębiorstwie, któremu hrm starszylacheckich na parawan potrzeba — i nie myślałby o niczem, o niczem zupełnie, tak jak setki osób do tej samej co on sfery należących.

Ale błyskawice czarnych oczu Klarci otwały przed nim świat nowy, nieznaną a niedostępną, bo u drzwi tego świata na straży, jak żołnierz z obnażonym mieczem, stał stary wiarus z zapytaniem: kto jesteś — jakie masz zasługi?

Ileż to razy ten wiarus rozmawiał z nim o przeszłości dawnych posiadaczy Starzyna, w których rodzie były senatorskie krzesła! — Ile razy wymieniał tych przodków, co bądź to radą, bądź ramieniem żelaznym, zasługiwali się krajowi, a zwykle potem dodawał;

— Inne to były czasy — wówczas czego innego, a dziś czego innego krajowi potrzeba — a czy to nauka, czy praca jest pożądana. — Kto umie dobrze pług dźwigać, czy most śmiały przerzucić przez rzekę, czy choćby tylko młotem w kuźni tłuc

i na chleb czarny pracować, ten już godnie nosi nazwisko odziedziczone po przodkach.

i z temi słowy weteran patrzył zwykle pilnie w oczy Alfreda, jak gdyby chciał zapytać: a cóż ty umiesz? co robisz? czy grasz rolę chociaż drobnego kółeczka w tej wielkiej maszynie społecznej?

Pod wpływem badawczego tego spojrzenia Alfred spuszczał oczy. Czuł bowiem po za sobą pustkę, przed sobą niepewność, jakąś mgłę szarą. Dziś trzeba się było zdecydować. — Czy wrócić do dawnego życia, do wegetacji wygodnej i bez troski? — czy też na niepewne, rzucić się w odmęt ruchu, życia, łamać się i walczyć z przeszkodami, przejść przez tę szkołę twardą, w której słaby łamie się i ginie, a wytrwały i duchem silny wychodzi silnym podwójnie, odrodzonym i uszlachetnionym.

Dziś stoi na rozdrożu, i dziś, koniecznie dziś, wybierać musi...

Z jednej strony gościniec szeroki, wygodny, szlak utarty, po którym tyłu już poszło, nie myśląc o niczem, drzemiąc prawic — a z drugiej las cierni, po przez który, krwawiąc dłonie, w pocie czoła dróżkę torować trzeba...

— ale po za utartym gościńcem czczość i pustka — po za cierniami zaś życie opromienione najpiękniejszą aureolą, rzeczywistej, twardej poezji.

Nie namyślał się długo, nie walczył z sobą — wybrał ciernie i naraz uczuł w sobie moc i siłę, zapragnął rzucić się w wir i odmęt życia, łamać przeszkody, przebić się przez nie; zdawało mu się że ma siłę Samsona. Zatrzymał konia raptownie i rozejrzał się wkoło. Powietrze było ciche, spokojne, niebo jasne, jakby uśmiechnięte do ziemi.

Rzeka toczyła srebrne fale spokojnie i leniwie, kołysząc z lekka łódkę, która się po jej powierzchni przesuwała.

W łódce znajdowała się Klarunia. Dostrzegli się oboje zdaleka. Klarunia, niby nie widząc że Alfred na łąki konia skierował, przypląnęła do brzegu, na którym stare olchy rosły, wysiadła z Czółna i zaczęła niezapominajki zbierać, on także przypadkowo niby, przez łąkę ku tym drzewom zmierzał. Młodzi miewają takie przewidziane I niby nieprzewidziane spotkania.

Jeżeli otwarcie mówić mamy, to Alfred nie był dla pułkownikówny obojętnym. Czowała ona dla niego sympatyę, z której sobie dokładnej sprawy zdać nie mogła. W marzeniach widziała go zawsze obok siebie, i zdawało jej się, że pomiędzy nią a nim istnieje jakaś tajemnicza, niedostrzeżona spójnia. Lecz uczucie młodziutkiej, a czystej jak kwiatek konwalii, dziewczyny, było spokojne i ciche, zbliżone więcej do przyjaźni, niż do tego wrzącego, wulkanicznego żaru, pod wpływem którego sen z powiek ucieka — i serce jak młotem uderza.

Klaruni, przejętej zasadami dziadka, zasadami, dla których, choćby nawet z bólem serca, choćby kosztem wyrzeczenia się najpiękniejszych nadziei, gotowa była miłość nawet złożyć w ofierze, uśmiechała się rola pewna, która się niejednej dobrej naturze uśmiecha. Ona chciała podnieść i uszlachetnić Alfreda, pragnęła aby pod jej wpływem stanął na tej wysokości, na jakiej by go widzieć pragnęła.

A gdy ten cel osiągnie, to kto wie ? kto wie ?... może dziadunio nawet wówczas... ach! ale cóż o tem myśleć! to takie odległe jeszcze, a zresztą czemuż spieszyć... jej tu tak spokojnie, tak dobrze. Ma pracę, ma rozrywki, ma dziadka który ją tak kocha... — ma dobrą ciocię Józie...

Udała przestraszoną, gdy Alfred przywiązawszy konia do drzewa, zbliżył się do niej i rzekł:

— Dobry wieczór...

— Ach, to pan ?! zawołała — tak się zląkłam ...

I piękną jej twarzyczkę oblał nieudany co prawda rumieniec.

— Co pani tu robi ?

— Kwiatki zbieram, tamte dawne powiędły, trzeba je było wyrzucić.

— Pomódz pani?

— Rozśmiała się.

— A czy pan umie kwiatki zbierać?

— Spróbuję. Więc, według pani nic nie umiem ?

— Czy ja tak kiedy mówiłam?

— Ale myślisz tak, panno Klaro.

— Nie, nie, jak dziadzia kocham, a zresztą...

— Co, zresztą ?...

— Jakież mam prawo badać co pan umie?

— Nie potrzebujesz pani badać, gdyż czytasz doskonale w moich oczach.

— Ja?

— Tak, pani...

— Jak żyje nic uczyłam się takiego abecadła.

— Kiedy to przychodzi zupełnie bez nauki, bez pracy, samo.

— Co pan mówi? Czyż może cokolwiek przyjść bez pracy?... Nawet chcąc kwiatek zerwać trzeba się schylić, częstokroć zarosić — a nawet jak się róże zrywa...

— W paluszek się ukłuć? Czy tak, panno Klaro?

— Alboż inaczej ?
— A jednak znam ja coś, co zupełnie bez pracy, częstokroć nawet mimo naszej woli, przychodzi ...
— To chyba tylko ... nieszczęście.
— Nie, pani — to... miłość! Klarunia zamilkła.
— Nic podzielasz pani tego zdania?
— Nie znam się na tem, szepnęła; ale, dodała już tonem wesołym i swobodnym, dość tych kwiatków — to co mamy wystarczy, należy je teraz uporządkować i wianuszki z nich uwić... Panie Alfredzie, czy pan umie wić wianki ?
— Nie, pani, ale się chętnie nauczę, zobaczę jak pani to robi.
Klarunia usiadła pod olchą, położyła garść niezapominajek przy sobie i zaczęła zręcznie wianek robić.
Alfred stał o drugie drzewo oparty.
Po chwili odezwał się nieśmiało.
— Panno Klaro ...

— Słucham pana ?
— Wróćmy do poprzedniej rozmowy.
— Do kwiatów?
— Nie — do miłości.
— Co pana miłość dziś tak uparcie prześladowuje ?
— Istotnie... prześladowuje mnie ona...
— Gotowam przypuścić że się pan zakochał. W jednej starej książce czytałam o takim samym panu Alfredzie, który...
Tu przerwała i pytający wzrok na Alfreda rzuciła.

— Czemu pani nie kończy? Który co zrobił?

— Boję się obrazić porównaniem.

— Zapewniam panią że się nie rozgniewam. Który ciągle tylko wzdychał, ale to tak

wzdychał, że aż zzieleniał biedak... więc może i pan jest w podobnym położeniu?

— Niestety, panno Klaro, zupełnie w takim samym.

Klarunia spojrzała mu w oczy.

— Panno Klaro — szeptał zbliżając się do niej — ja nie mam chwili spokoju... wszystkie moje myśli, wszystkie marzenia pochłonęło jedno tylko uczucie... a to uczucie było mi zupełnie obcem aż dotąd, dopóki nie przyjechałem w te strony... Ja kocham, ja tak bardzo kocham!... Panno Klaro nie patrz na mnie tym zdumionym wzrokiem, czyż nie odgadłaś dotychczas, czy nie

zauważyłaś tego w każdym mojem spojrzeniu — ja... ja ciebie tak kocham... Klaruniu...

Dziewczyna zapłonęła jak wiśnia, powstała szybko i mówiła przerywanym głosem:

— Nie, nie, nie mów pan tak, nie patrz pan tak — i... puść moją rękę., ja słuchać tego nie powinnam...

— Ja też tylko o chwileczkę cierpliwości błagam, o jedne mała chwilkę... Klarunia wysunęła rękę z jego dłoni i oparła się o drzewo.

— Ja — mówił dalej — wiem o tem, że nie mam prawa przyjść do pułkownika i prosić go o rękę twoją, panno Klaro — ja wiem że nie jestem wart ciebie. .. lecz gdybym od dziś, od tej samej chwili nawet,

zniknął wam z oczu... gdybym poszedł w świat, jak tylu innych ludzi, dobijać się stanowiska i zasługi, czyż w takim razie, powiadam, powróciwszy tu po latach, byłbym powitany szczerem uściśnieniem dłoni i czy mógłbym prosić o odpowiedź na dzisiejsze moje pytanie.! Czy w tym dworku znalazłbym jeszcze panią... wolną — i czybym mógł powiedzieć: patrz, oto wracam lepszym niż dotąd byłem ...

Zamilkł i patrzył w oczy Klarci tak wymownie, tak błagalnie, że dziewczyna sama, bezwiednie prawie, wyciągnęła do niego rączkę i pozwalając ją pocałunkami okrywać, szepnęła.

— Mów... mów pan tak jeszcze, panie Alfredzie ...

— Więc nie odbierasz mi pani tej nadziei? więc zachęcasz do próby? — o, powiedz... powiedz to ustami własnymi, powiedz te tylko wyrazy: idź Alfredzie, a pójdę choćby w piekło samo!... Klarunia rozśmiała się przez łzy. — Więc kiedy pan chcesz tego koniecznie to powiadam... idź... idź Alfredzie — ale nie w piekło, między szatanów, bo to niepotrzebne nikomu ... a jeśli nie zapomnisz o... Borkach, to wracaj po latach kilku, wracaj z przekonaniem, że się tu nic nie zmieni.

— A Klarunia?

— Klarunia... poczeka.

— A dziadzio.!

— Do dziadzi z zapytaniem iść trzeba, powiedz mu to co mi tu powiedziałaś, powiedz z taką samą szczerością jak mnie — i dziadzio panu uwierzy, tak jak ja uwierzyłam... a potem zawoła mnie do siebie i zapyta...

— A pani... a... ty, co mu odpowiesz?

— Ja obejmę go za szyję i powiem że mi nie pilno z domu — że mogę czekać...

— A jeżeli to się dziadziowi niepodoba?

— O, nie znasz go pan, on taki dobry, taki serdeczny ten dziadzio, że o co ja poproszę to wszystko chętnie spełni. Pan go nie zna jeszcze tak jak ja, panie Alfredzie ?

— Dlaczegoż... panie Alfredzie ?

— A dla czegoż inaczej ?

— Jeżeli jestem kochany...

— Kochany... a kto to panu powiedział? ja tego wcale nie mówiłam panu!

— Więc nic kochany ? — spytał Alfred smutnie.

— Dlaczego niekochany?... o, panie Alfredzie, ja i tego również nie powiedziałam nigdy...

— Więc w takim razie, czymże jestem dla pani ?

— Ach mój Boże, co panu do tego ? tak się pan dopytuje... a ja nie powiem, ja nie mogę powiedzieć ... bo... bo, widzi pan, ja sama nie wiem czy to można tak mówić — ale idźmy już ztąd. zasiedzieliśmy się tak długo... tam ciocia niespokojną będzie... i dziadunio zapewne powrócił już z pola — rozejdźmy się panie Alfredzie.

— Więc dobrze, ja odjadę zaraz, ale niezadługo spotkamy się w... Borkach.

— Ach, będzie pan u dziadunia?

— Tak — i jeszcze... jeszcze raz zapytam pani...

— O co?

— Powtórzę pytanie, na które nic otrzymałem dotychczas odpowiedzi.
— O, to będzie zbyt późnym — a raczej może... przedwczesnym.
— Przedwczesnym?... więc to znaczy że jednak kiedyś, kiedyś przynajmniej tę odpowiedź usłyszę...
— Kto wie? kto wie?... — odrzekła z czarującym uśmiechem i zanim Alfred spostrzedz się

zdołał, już była w czółenku, przesyłała mu ręką ukłony i mówiła!

— Do widzenia, panie Alfredzie, do widzenia. ..

Alfred stał nad brzegiem rzeki i patrzył, dopóki czółenko nie zniknęło mu z oczu — Klarcia zaś zarumieniona, szczęśliwa, wiosłowała powoli i półgłosem mówiła do siebie:

— Jaki ciekawy! chciał żeby mu powiedzieć... mój Boże! a mnie się zdaje że kto na nuiie spojrzy wie o tem... że wszyscy mi to z oczów czytają, że się i dziadzio domyśla...

Już dawno Klarcia wysiadła na ląd w ogrodzie, już i pułkownik z pola powrócił, a Alfreda widać nie było.

Spojrzenia Klaruni biegły ciągle ku oknu, a były one pytające, trwożne nawet. W tej pięknej główce tkwiła teraz myśl jedna — co dziadzio powie? a chociaż Klarcia znając usposobienie i wymagania dziadka, prawie była pewną że się zgodzi — jednak serduszko jej uderzało prędzej niż zwykle, a twarzyczka pokrywała się coraz to nowym rumieńcem.

Wreszcie po godzinie oczekiwania, godzinie która wydała się dla Klaruni nieskończenie długą, przybył Alfred i nie wszedł do saloniku jak zwykle, ale udał się wprost do pokoju pułkownika.

Stary wiarus siedział przy biurku, rachunkami jakiemis zajety, — usłyszawszy skrzypnięcie drzwi, odwrócił głowę.

— Ach! pan Alfred — rzekł nie bez pewnego zdziwienia — witam pana.

— Przepraszam, stokrotnie przepraszam, że przychodzę tutaj i przerywam zajęcie, lecz, panie pułkowniku dobrodzieju, ja... właśnie pragnąłem z panem... pomówić.

— Słucham, słucham, rzekł pułkownik, spoglądając na bladą twarz Alfreda, na której malowało się wzruszenie i niepokój — słucham cie. panie Alfredzie, przysuń sobie bliżej krzesło i mów czem służyć moge? Zdawało się pułkownikowi, że prawdopodobnie Alfred przychodzi w interesie brata, że może celem tej konferencji jest zaciągnięcie dla niego jakiej pożyczki, gdyż właściciel Borków w opinii sąsiadów za zamożnego człowieka uchodził — a Starzyli wiecznie pożyczek potrzebowali...

— Panie pułkowniku — rzekł Alfred — sadze że jako stary żołnierz i człowiek dawnej daty, wolisz otwartość szczerą, aniżeli wszelkie długie wstępy i wywody.

— Zgadłeś pan, sam tak postępuje — i lubię żeby zemną postępowano w ten sposób. — Dlatego też zechciej pan powiedzieć otwarcie co masz na myśli, i bądź przygotowany na to że ci również szczerze i otwarcie odpowiem.

— Więc będę otwartym pułkowniku! przyszedłem tu dlatego... że Kocham twoją wnuczkę.

Pułkownik z krzesła się zerwał.

Alfred również podniósł się, oparł rękę o krawędź biurka i milczał.

— Kochasz moją wnuczkę!? Klarunię pan kochasz? czyś tak powiedział?

— Tak jest, panie pułkowniku, kocham ją.

— Hm? czemuż ja się dziwię? ktoby tego dziecka nie kochał? ale, panie Alfredzie — dodał poważnym, niemal uroczystym głosem — jeżeli przychodzisz prosić o jej rękę, jeżeli żądasz abym ci powierzył to dziecko ukochane... nie, nie panie Alfredzie, ja ci dziękuję za zaszczyt... ja ci wierze... ale to niepodobieństwo, to rzecz niemożliwa!

Jakby zmęczony wypowiedzeniem tych wyrazów, pułkownik nie usiadł, lecz padł raczej, na fotel. Chwilę jakąś milczenie trwało.

— Pułkowniku — rzekł wreszcie Alfred — jakiegokolwiek będzie twoje postanowienie, posłuchaj mnie jeszcze, poświęć mi tylko jedno, jedyną godzinę uwagi — pozwól że wszystko co myślę wypowiem, jak przed ojcem rodzonym...

— Więc mów pan — szepnął pułkownik, schylając głowę na piersi.

— Rozumiem, niestety, aż nadto dobrze przyczyny odmowy, na którą byłem zupełnie przygotowany.

— Przygotowany? więc spodziewałeś się pan jej?

— Tak — i pomimo tego przyszedłem tutaj nie bez pewnej nadziei. Po miłość twej wnuczki, panie pułkowniku, — wnuczki, która jest twoim najdroższym skarbem na świecie, nie skradam się

jak złoczyńca — wole iść prostą drogą — moje mi się uda zdobyć ją — ją i przywiązanie twoje, pułkowniku.

— W jakiż sposób?

— Naprzód muszę opowiedzieć krótką historię mego życia, a raczej jeden jej fragment, który się od niedawna datuje. Kiedym zobaczył pannę Klarę, kiedym poznał ciebie, panie pułkowniku, wasz sposób życia, przekonania wasze i zasady, uczułem dla pana najwyższy szacunek, a dla pańskiej wnuczki życie bym oddał. Cała przeszłość moja wydała mi się tak cczą, bezbarwną i pustą, że chciałbym ją pogrzebać na wieki, pokryć czarną zasłoną — z pamięci zupełnie wymazać.

Pułkownik spojrzał na niego i i uwagą wielką słuchał dalej.

— Natomiast — mówił Alfred — zapragnąłem rozpocząć życie nowe, takie życie, którem bym zmarnowaną tę przeszłość okupił, postanowiłem sobie zerwać z dawnym otoczeniem... skierować się ua drogi lepsze...

Pułkownik, wyście przebudzili moją duszę, uszlachetnili serce moje, i czy dziwić się możesz że wam to właśnie serce ofiarować przychodzę?

Pułkownik się zamyślił.

— Ale nie myśl pan — mówił zapalając się Alfred — że wara czcze obietnice przynoszę... Nie! ja was oboje czynem przekonam że jestem was godzien. Dziś podajcie mi tylko ręce i błogosławcie na drogę, za parę lat przyjdę już serc waszych za

żądać — a teraz, pułkowniku, czy trwasz jeszcze przy twojem postanowieniu?

— Panie Alfredzie, pomówmy spokojnie, przedewszystkiem podaj mi rękę, niech ją uścisknę — z życzeniem abyś wytrwałym był i silnym. Jeżeli w tem, jak je nazywasz, przebudzeniu się, grał jaką rolę mój wpływ i wpływ mojej Klaruni, to dla nas zaszczyt i pociecha. — Znasz pan moje przekonania, wiesz zatem, że jakkolwiek są one demokratyczne, na zasadzie słuszności i sprawiedliwości oparte, jednak cenię wysoko te rody, w których pokolenie każde przynosiło dla kraju swego i społeczeństwa zasługi. Wasz ród do takich należał. Wybacz panie Alfredzie żem powiedział: należał — a nie: należy, — bo oto już drugie pokolenie jego gnuśniej w beczynności i resztki ojcowizny przejada. — Wszak nie zaprzeczysz tego?

— Niestety, szczerą to prawda.

— Przodkowie wasi zajmowali niegdyś senatorskie krzesła, pastorały nosili i buławy — dziad twój legł na polu bitwy śmiercią walecznych i na tem blask imienia się kończy. Dziś, drogi panie Alfredzie, innych kraj zasług wymaga, dziś potomek hetmanów, na równi z dzieckiem szewca, powinien jąć się cichej, nierozgłosnej, ale pożytecznej pracy, i tą pracą uszlachetnić się i ozdobić. Jeżeli ci się to uda będziesz miał honor żeś upadający ród podniósł.

— Słówko zachęty brzmi w tem co mówisz, panie pułkowniku.

— Czyż może być inaczej i — chcesz iść na dobre imię zarabiać — idź, idź, wytrwaj w zamiarze.

— A skoro wrócę? — zapytał Alfred nieśmiało.

— Skoro wrócisz? cóż ci na to odpowiem? Czy wyznałeś swoje zamiary Klaruni?

— Tak, panie.

— Dawno?

— Przed godziną, spotkałem pannę Klarę nad rzeką — i wypowiedziałem wszystko co czuje.

— Jakąż odpowiedź dało ci to dziecko?

— Panie pułkowniku, to nie dziecko — dała mi odpowiedź przychylną — nawet o ile się moge domyślać, nic jestem obojętnym dla niej — lecz jak na teraz ofiarowała mi przyjaźń tylko i powiedziała, że gdy powrócę po latach do Borków, to zastanę tak samo Klarunię przy boku kochającego dziadka — i wtenczas od was obojga ostateczną odpowiedź usłyszę. Panna Klara jest jeszcze tak młodziutką.

— Dobrze, zacne dziecko — ale panie Alfredzie, czy można ją krepować zobowiązaniem, czy kilka lat nie zmieni jej usposobienia? Jesteś pewny że Klarcia czekać będzie?

— Pułkowniku — rzekł poważnie Alfred — niewinność nigdy nie kłamie.

— A z drugiej strony czy możesz zaręczyć za siebie? Młody jesteś, nowe wrażenia mogą zatrzeć dawniejsze...

— Honor również nie kłamie — dodał z mocą.

— Ha, skoro tak mówisz — daj rękę. Alfred skwapliwie dłoń pułkownika pochwycił

i ucałował ją z synowskim prawdziwie szacunkiem, pułkownik schylił się w głowę go całując. Potem zadzwonił.

Chłopak, wyprostowany jak struna, we drzwiach stanął.

— Panny Klary tu proś — rzekł pułkownik. Po chwili zapłoniona, nieśmiała, weszła Klarcia.

— Jestem, dziaduniu — rzekła.

— Dziecko moje — rzekł uroczyście pułkownik — czy domyślasz się z jakim zamiarem przybył tu pan Alfred?

— Wiem, dziaduniu — szepnęła nieśmiało.

— Czy przyjmujesz zatem?

— Jak dziadunio każe...

— Nie, moje dziecko, tu do rozkazania nic niema, chcę usłyszeć twoje wolne, zupełnie niezależne zdanie... no, mów więc śmiało.

— Tak... — szepnęła ledwie dosłyszczanym głosem.

— Dobrze — a teraz jeszcze jedno pytanie.

— Słucham dziadunia.

— Czy zbadalaś dobrze własne serce? czy ty go kochasz, Klaruniu?

Dziewczyna milczała.

— Czy go kochasz? odpowiedz, moja mała.

— Ach mój Boże, ciągle to pytanie!... pan Alfred się pytał... teraz dziaduniu się pyta...

— I ja się jeszcze pytam — rzeki Alfred — ujmując ją za rękę. Pułkownik rozśmiał się.

— No, moja Klarciu, tego się nie spodziewałem po tobie, żebyś miała myśli. którychbyś wobec mnie i na moją prośbę, wypowiedzieć nie chciała. Nienawidzę skrytości.

— Ach, mój dziadziu, więc już powiem, trzy razy powiem nawet: Kocham pana Alfreda, Kocham, Kocham! tylko nie każcie mi tego powtarzać, bo... to tak trudno wymówić.

Zawstydzona, rozplakana, padła w objęcia dziadka.

— No, uspokój się, dziewczeczko moja, otrzyj oczy i spojrzysz na nas... dotychczas miałaś mnie jednego, teraz przybywa ci ktoś, co mnie z czasem zastąpi.

— Dziaduniu! nie mów tak...

— Dzieci moje — rzekł pułkownik, ujmując Klarunię i Alfreda za ręce — co prawda nie spodziewałem się takiego obrotu rzeczy... Nie przypuszczałem nawet że do tego dojść może. Lecz skoro wola wasza, podajcie sobie ręce i niech was przywiązanie jakie macie do siebie nic opuszcza już nigdy... Klarunia oczekiwać będzie, może nie bez tęsknoty — ale cierpliwie i wiernie — a ty, panie Alfredzie, idź i zarabiaj na miłość.

— O tak, tak, szanowny pułkowniku, na miłość panny Klary i na szacunek pański. Mam przekonanie że cel ten, jak gwiazda przewodnia świecić

mi będzie w drodze życia, że po latach kilku przyjmiecie mnie tak jak...

_ Jak syna — szepnął pułkownik.

_ Tak, tak, to moje jedyne pragnienie, jedyny cel życia.

— W każdym razie — mówił stary wiarus — ze względu na okoliczności, w jakich plany przyszłego naszego stosunku powstały, ze względu na

warunki od jakich urzeczywistnienie się tych planów zależy, prosiłbym cię bardzo, panie Alfredzie, abyś do czasu przynajmniej, dzisiejszą naszą rozmowę zachował przy sobie.

— Przysięgam to panu uroczyście, nawet brat mój nie będzie wiedział o tem co zaszło, chociaż jestem prawie pewny że on domyśla się wszystkiego.

— Dobrze, panie Alfredzie, przyjmuję twe słowo i ufam mu, a jakkolwiek zamiarów naszych nie potrzebujemy się wstydzić, jednak lepiej o nich nie wspominać. Bóg wie co się jeszcze stać może. Czy to dojdzie jak zamierzamy do skutku.

— O. nie mów pan tak, panie pułkowniku, to niepodobna!

— Od ciebie to samego zależy, panie Alfredzie.

— Ej, niech dziadzio nie prorokuje tak smutnie — wtrąciła Klarunia — pan Alfred wróci.

— A z kąd ty wiesz o tem?

— Bo... mi to przysiękł, dziaduniu.

Postanowiono przypuścić jeszcze do tajemnicy i ciotkę Józefę. Stara panna nie kryła swojej radości z tego obrotu rzeczy i przysięgła solennie, że wiadomość o tem przy sobie zatrzyma.

Do późnego wieczoru, a raczej do nocy późnej, bawił Alfred w Borkach. Przy ożywionej rozmowie, przeplatanej szczebiotem Klarci, czas biegł jak na skrzydłach — i już dawno północ na staroświeckim zegarze wydzwoniła, gdy się Alfred do odjazdu zaczął zabierać.

Za tydzień miał on już te strony opuścić; wyjechałby prędzej może, lecz chciał jeszcze poprzednio z bratem się rozmówić, interesa majątkowe uregulować — i wiele, bardzo wiele miał do zrobienia.

Klarunia na pożegnanie podała mu drobną rączkę, pozwoliła ucałować ją kilkakrotnie — i rzekła cicho, już w ganku:

— Wszak zobaczymy się jeszcze?...

Tłściśnienie ręki było odpowiedzią Alfreda.

Jakże piękną wydawała mu się noc letnia, jak pięknym świat, nad którym rozpostarły się gwiazd miliardy.

Silną ręką hamował rwącego się naprzód konia — i jechał powoli, rozkoszując się tchnieniem nocy pachnącej, rozmyślając o przyszłości swojej i szczęściu.

Nie poznawał sam siebie, widział cel życia teraz określony jasno, pragnął żyć. Jakieś nieznane mu dotychczas uczucie przejmowało całą jego istotę,

siłę czuł w sobie, A po nad marzeniami jego, jak jasne gwiazdy nad ziemią, przyświecały czarne źrenice Klaruni.

Wszyscy już spali w Starzynie, gdy Alfred z wycieczki swojej powrócił, oddał konia stróżowi, a sam pocichu wszedł do swego pokoju.

XI.

Pani Laura, jak zwykle, koło południa ukazała się w salonie, ubrana w biały, powłóczysty negliż, obszyty mnóstwem koronek.

Przejrzała się w kilku lustrach, ziewnęła kilkakrotnie, poczem w malowniczej pozie ułożyła się w fotelu — i wzięwszy ze stołu dzwięczny, srebrny dzwonek, zadzwoniła kilkakrotnie,

We drzwiach ukazał się służący.

- Gzy pan już nie spi? — zapytała.
- Jaśnie pan wstał dziś bardzo rano...
- Bardzo rano ?
- Tak jest, proszę jaśnie pani, już o godzinie szóstej jaśnie pan był ubrany i gotowy do drogi.
- Więc pojechał ?
- Tak jest, proszę jaśnie pani, o wpół do siódmej rano.
- Wiesz dokąd ?

- Jaśnie pan mówił że do (tu służący wymienił nazwę miasta gubernialnego).
- Niepodobna!... a kiedy wraca... nie powiedział ?
- Owszem, jaśnie pan kazał mi oświadczyć jaśnie pani, że panowie powrócą trzeciego dnia na noc, a jeżeli się w projekcie co zmieni, to jaśnie pan zatelegrafuje natychmiast.
- Nie rozumiem... powiadasz że... panowie powrócą za trzy dni — jacyż to panowie?
- Wszyscy... jaśnie pan, pan Alfred i pan rządca.
- Pojechali wiec we trzech?
- Tak. Wczoraj właśnie pan Alfred był u naszego pana bardzo długo. Wszedł tam zaraz po kolacyi, gdy jaśnie pani udała się już do swego pokoju i rozmawia! z jaśnie panem do godziny drugiej w nocy.
- Do drugiej ?
- Tak, proszę jaśnie pani, ja byłem jak zwykle w przedpokoju, nie kładłem się spać, sądząc że może będę potrzebny, bo teraz gdy jaśnie pan jest cierpiący, często woła mnie w nocy, wiec nie spałem.

Pani słuchała ze zdumieniem relacji służącego, który ciągnął znów dalej:
— O drugiej usłyszałem znów dzwonek, zerwałem się więc i wszedłem do gabinetu. Zostałem panów obydwóch zajętych odczytywaniem jakichś papierów. Panowie byli bardzo zatrudnieni, gdyż

nie zauważyli nawet że wszedłem; — o ile mi się zdaje robili jakieś rachunki, musiałem udać kaszel, żeby zwrócić na siebie uwagę. Jakoż rzeczywiście kazał mi pan Alfred żebym zaraz obudził stangreta i uprzedził go, żeby na szóstą rano miał gotowy powóz i konie do drogi i żeby się wybrał na kilka dni; oprócz tego kazano mi iść do pana rządcy, obudzić go i poprosić żeby zaraz do pałacu przyszedł.

— W nocy ? po co ? cóż za pilny interes ?

— O to samo zapytał mnie pan rządcza, gdym się do oficyny dobijał — i nawet, przyznam się jaśnie pani, nie bardzo grzecznie mnie przyjął, zapewne ze snu tak...

— Mniejsza o to. ale mów dalej — wiec w nocy wezwano rządcę ?...

— W nocy, proszę jaśnie pani. Pan rządcza ubrał się zaraz i poszedł — może jeszcze z godzinę trwała rozmowa...

Lokaj przerwał, jakby czekając wskazówki czy ma mówić dalej.

Pani nie mogła nad ciekawością zapanować.

— Tak długo? cóż to znów za interes nagły?

— Nie wiem, proszę jaśnie pani, ale panowie bardzo się gniewali...

— O co?

— Nic mi nie wiadomo, ale i jaśnie pan się gniewał — i pan Alfred się gniewał jeszcze bardziej. Pan rządcza tłumaczył się, coś mówił — i to tylko mogłem zrozumieć, że niby dziękował za

obowiązek. Wreszcie nie słuchałem nawet, bo byłem bardzo znużony — całą noc na nogach.

— I mąż mój wcale się nie kładł?

— Owszem, jak tylko pan rządcą wyszedł, jaśnie pan położył się na parę godzin do łóżka — pan rządcą poszedł szykować rzeczy do drogi, a pan Alfred w swoim pokoju książkę czytał, dopóki dzień się nie zrobił.

Dopiero jak się rozwidniło już całkiem wyszedł do ogrodu, a że panna Natalia też o wschodzie słońca spaceruje w ogrodzie, więc się spotkali i może z godzinkę chodzili po alei — to jest dopóki powóz nie zajechał.

— A gdzie teraz panna Natalia?

— Musi być w swoim pokoju — i pewnie się położyła, bo roleta jeszcze spuszczone.

Pani Laura powstała z fotelu.

— Dobrze, możesz odejść — rzekła do służącego.

Lokaj skłonił się i zniknął za drzwiami. Pani przyłożyła biały paluszek do czoła.

— Co to jest? co się stało? — mówiła sama do siebie — nocne narady, wyjazd bez pożegnania, bez uprzedzenia mnie, nie — to niepodobna!

Zdaje mi się że jestem w zakładzie obłąkanych... Mój pan trapista, nawet karteczki napisać nie raczył... przez służącego kłaniać mi się kazał! ach! to przecież szczyt galanterii rycerskiej! wdzięczność za moje poświęcenie się bez granic!... Gdzież znajdę klucz do rozwiązania tej zagadki? Ach, Natalia! trzeba pójść do niej.

Z temi słowy pani Laura, przez salon i kilka przyległych pokoi, udała się do pokoiku Natalci.

Był to niewielki, bardzo gustownie i bogato urządzonej buduar. Zasłonięte okno nie przepuszczało promieni słonecznych, a bogate lustro, meble i kwiaty tonęły w łagodnym półcieniu.

Pani Laura otworzyła drzwi pocichu i ujrzała Natalcie siedzącą w dużym fotelu. Głowa jej bezwładnie opierała się na miękkiej poduszce, powieki były zamknięte. Ręce miała zaciśnięte "konwulsyjnie, kurczowo, Pani Laura pochyliła się nad nią.

— Natalciu! Natalem! — rzekła, dotykając się jej ramienia — czy ty nie chora jesteś ?

Dziewczyna szybko zerwała się z fotelu i patrzyła na swą kuzynkę dużymi, szeroko otwartymi oczami, jak gdyby nie rozumiejąc pytania.

— Czyś nie chora, Natalciu? — z troskliwością powtórzyła pani.

— Chora? kto, Lorciu, — czy ja? Nie, ja nie jestem chora, broń Boże... nawet mi teraz bardzo dobrze... tak dobrze... doskonale...

Chciała się rozśmiać — ale śmiech zamarł jej w gardle.

Pani Laura przysunęła się do niej, ujęła za rękę i w oczy pilnie patrzyła.

— Powiedz mi, Natalciu, — rzekła po chwili milczenia — czy teraz dzień jest, czy noc ? czy my, a raczej czy ja, mam tylko sen przykry, czy też wszystko co się tu dzieje jest rzeczywistą prawdą?

— Niestety, mogę cię zapewnić, kochana kuzynko, że teraz jest dzień; że jak zegar wskazuje, jest godzina dwunasta; że znajdujemy! się obydwie w pokoiku, który raczyłaś mi gościnnie ofiarować i że.., wreszcie...

— Co wreszcie, Natalciu?

— Że nasi panowie, o których niespodziewanym wyjeździe musiano ci już powiedzieć, w tej chwili prawdopodobnie znajdują się w odległości pięciu lub sześciu mil od Starzyna.

— Otoż to właśnie. Natalciu. jest zagadka, nad rozwiązaniem której od godziny już pracuje daremnie — i przychodzę do ciebie, zasięgnąć pomocy, — może tobie co o tem wiadomo? podobno bowiem miałaś zaszczyt rozmawiać z temi panami.

— Istotnie, pan Stanisław pożegnał mnie bardzo uprzejmie, powiem nawet więcej — serdecznie, i co jeszcze zauważyłam, a co ciebie specjalnie ucieszyć powinno, wydawał mi się zdrowszym niż zwykle i ożywionym niezmiernie.

— Zwykły to objaw! Z czasem przekonasz się sama, jak szczególnego rodzaju zdrowiem ci panowie się cieszą opuszczając żonę i dom. To rzecz znana! Gdy wyjdą tylko za próg. powraca im humor. Nie daj Boże, ażebyś to kiedy na Alfredzie sprawdzić miała,

— Ręczę ci, że nie sprawdzę.

— Tak dalece mu ufasz?

— Nie — tylko że zapewne nie zobaczę go już nigdy.

— Co ty mówisz?

— Szczerą prawdę, Lorciu. nic więcej... Nadro dodam jeszcze, że i fa
zmieniłem plany zupełnie. Za kilka dni, kochana kuzynko, podziękuję ci
za gościnność i udam się do Warszawy, do ciotki naszej, u której
wychowałam się. jak ci wiadomo.

Pani Laura słuchała! zdumiona. — Natalcia mówiła jeszcze:

— Podziękuję ci serdecznie i powrócę do ciotki — do dawnego życia.

— Nowa zagadka? cóż to jest? kiedyż się nareszcie skończy ta
mystyfikacya dziwna?

— Moja Lorciu, nie żadna to mistyfikacya, lecz prawda szczerą.

— Czy Alfred mówił co z tobą?

— Mówił, przed odjazdem.

— Spodziewałam się tego.

— Ty, Lorciu, spodziewałaś się? to znowuż dla mnie coś nowego.

— Gdyż przyrzekł mi że się z tobą rozmówi stanowczo, a przypuszczając
że dotrzymał słowa, tembardziej zdumioną jestem i tonem twej mowy i
usposobieniem w jakim się znajdujesz w tej chwili.

— Jednak i jedno i drugie jest zupełnie naturalne i usprawiedliwione, moja
Lorciu,

— W głowie mi się nie mieści!...

— Dla czego?

— Bo sądziłam, że po rozmowie z Alfredem znajdę cię wesołą,
szczęśliwą, uśmiechniętą; sądziłam

że przybiegniesz do mnie sama, aby się ze mną wieścią o przyszłym szczęściu podzielić.

— G szczęściu! o szczęściu! — szepnęła półgłosem Natalcia — a co to jest szczęście? może mi zechcesz wytłómaczyć tę zagadkę, niezbadaną dla mnie.

Pani Laura szeroko otworzyła oczy.

— Przypomnij sobie, Natalciu, — rzekła, obejmując zgrabną figurkę dziewczęcia, pewien wieczór... Czy przypominasz go sobie? Tam, w salonie, byliśmy same tylko i wówczas otworzyłaś swe serce przedemną, wyznałaś mi, że kochasz Alfreda — czy już dziś nie pamiętasz tego?

— O! doskonale. —Przypominam sobie prawie każdy szczegół tej naszej szczerzej rozmowy, ale cóż ztąd?

— Co? Oto że ja w jakiś czas później, znając już twoje usposobienie, a zarazem widząc w was obojgu wszelkie warunki do szczęścia, miałam także rozmowę z Alfredem.

— Powiedziałaś mu, Lorciu? czy. broń Boże wyjawiałaś przed nim moją... moje usposobienie dla niego? Nie — to niepodobna! spodziewałam się po tobie więcej dyskrecyi.

— Nie, Natalciu — mówiłam z innego zupełnie stanowiska. Mówiłam jako jego kuzynka — bratowa; powiedziałam otwarcie co myślę o waszym związku, i wymogłam na Alfredzie słowo, że się z tobą, Natalciu, rozmówi stanowczo. Dodałam tylko, dla ośmielenia go, że z twej strony opozycyi

nie spotka, że według mego przekonania, oddasz mu swoją rączkę i serce i, o ile mi się zdaje, mówiąc tak nie przekroczyłam granic twego zaufania... bo tylko tyle mu powiedziałam — nic więcej.

Naraka oparła głowę na rękach i milczała, pani Laura mówiła dalej:

— Dziś, w tym dniu fatalnym, tak obfitującym dla mnie we wszelkiego rodzaju niespodzianki, dziś, ku wielkiemu zdumieniu memu, dowiaduję się nareszcie że Alfred rozmawiał z tobą, i ku jeszcze większemu zdumieniu, znajduję cię zgnębioną, smutną, apatyczną jakąś. Natalciu, co to jest? Wytlómacz mi, bo doprawdy, chwilami zdaje mi się że straciłam już zdolność myślenia, że patrzę a nie widzę, że mi się w oczach troi, że wszystko co mnie otacza burzy się, przeistacza, przemienia! Natalciu, Natalciu kochana, wszakże zawsze byłam dla ciebie jak siostra, starałam się na zaufanie twoje zasłużyć — powiedz wiec, wytlómacz, objaśnij, co zaszło i

— Właściwie nic nie zaszło. O ile z krótkiej rozmowy, jaką mnie pan Alfred zaszczycił, wywnioskować mogłam, to twój mąż z panem Alfredem udali się do miasta w jakichś ważnych interesach finansowych i prawniczych. Mówił mi nawet pan Alfred, ale przyznam ci się, Lorciu, iż byłam usposobioną tak dziwnie, że mi trudno było rozumieć o co im idzie właściwie. Zapamiętałam tylko niektóre wyrazy, jak sprzedaż, dzierżawa, czy coś podobnego ...

— Sprzedaż?!, dzierżawa? — bez mojej wiedzy, bez poradzenia się, bez zawiadomienia mnie nawet — nie! to już medelikatność, posunięta do ostatecznych granic! To niepodobieństwo! ty musiałaś się przesłyszeć, Natalciu...

— Może... ale nie zdaje mi się, bo i w jakim celu braliby ze sobą rzadce? Pani Stanisłowa zaczęła szybko po pokoju chodzić, Natalcia zaś podniosła się z fotelu, przysła do okno i podniosła spuszczoną roletę. Promienie słoneczne, nie znajdując już żadnej przeszkody, oświetliły jasno cały pokój, pokładły się ua kwiatach, lustrach, na meblach aksamitem krytych. W świetle tych promieni pani Laura ujrzała bladą, zmęczoną, chociaż pomimo tego zawsze piękną, twarz Natalci. Ciężkie jakieś cierpienie moralne wyryło na niej głębokie ślady, powieki, wilgotne jeszcze, świadczyły o łzach niedawno wylanych, z policzków zniknęły delikatne rumieńce, a cała twarz nosiła wyraz bolesnego przygnębienia i smutku. Pani Laura aż się cofnęła z przerażenia,
— Co to jest? co tobie? — zawołała, chwytając kuzynkę za rękę.
— Bagatelka, — nic... to przejdzie, a zresztą, uspokój się, Lorciu...
— Tyś chora!... gorączkę masz? — zapytała z współczuciem.
Natalcia uśmiechnęła się irocznie.

— Prawda, — odrzekła — byłam chorą, miałam jakieś sny łądzące, marzyłam, majaczyłam jak w malignie.
— Kiedy? dziś, czy wczoraj ? dlaczego nie przysłałaś po mnie, nie powiedziałaś rai o tem?
— Nie zrozumiałaś mnie, Lorciu. Moje cierpienie datuje się przecież nie od wczoraj, trwało ono dość długo, jak ci to bardzo dobrze wiadomo, gdyż nie robiłam przecie tajemnicy przed tobą. Dziś to już przeminęło... już przeszło... i czuję się... wyleczoną zupełnie.
Pani Stanisławowa spojrzwała w oczy Natalci. W tych modrych, pięknych oczach, malował się smutek głęboki i cierpienie, które sztucznie udawanym spokojem zamaskować pragnęła.

Obie panie milczały przez chwile. Natalcia machinalnie oskubywała kwiatek zerwany z wazonu. Pani Stanisławowa odezwała się pierwsza.
— Alfred! — szepnęła z cicha — Alfred temu winien. Domyślam się, że jest to zapewne nowe jakieś szaleństwo, podyktowane przez mego melancholicznego małżonka...

— Szaleństwo! szaleństwo! doprawdy niewiem czyś to określiła dobrze — ale nie, to chyba nie jest szaleństwo. Ja przynajmniej wyobrażam je sobie gwałtownem, demonicznym prawie... a to było takie spokojne, takie ciche, a zarazem tak okropnie chłodne, jak powierzchnia rzeki zamarzłej.
— Wyrazy od niego słyszane, spadały na me serce jak kawałki lodu...
czułam taki dziwny chłód, cmen

tarny prawie, tem sadziła przez chwilę, że mnie już w grób za życia złożono.

Pani Stanisławowa z wzrastającym ciągle zdumieniem słuchała tej spowiedzi dziewczęcia, a Natalcia mówiła dalej półgłosem, jakby sama do siebie;

— Tak zimne były jego wyrazy... a ręka, którą mi na pożegnanie podał, Lodowata, sztywna, tak że i moja zesztyniała w jego dłoni. Chciałam coś odpowiedzieć, lecz czułam że się chwieję, Wjrazy konały mi na ustach. Nie mogłam utrzymać się na nogach, usiadłam więc na ławce, przy której stałam. On spojrzał na mnie tylko, uklonił się i odszedł... Odszedł, a raczej odjechał... gdyż w kilka minut potem słyszałam turkot oddalającego się powozu. Z nim razem oddalały się wszystkie moje złudzenia...

— Natalciu!. Natalem!. — mówiła pani Stanisławowa, obejmując szyję dziewczęcia — czemu ty do mnie tak zagadkowo przemawiasz, dlaczego

nie chcesz mi powiedzieć wprost, jak siostrze, co między wami zaszło ? co się stało, jaki był powód niespodziewanego wyjazdu ? obojętnego rozstania się z tobą? — przecież ty go kochałaś tak bardzo...

— To prawda, Lorciu, jam go bardzo, bardzo kochała, szepnęła półgłosem Natalcia. O uczuciu tem wiedziałaś przecie, gdyż ci je wyjawiałam sama. Jeżeli przypominasz sobie, mówiłaś mi, że on... że on również... jest dla mnie życzliwym — i na podstawie tej snułam plany różne... myślałam

O nim często... Znasz bardzo dobrze dzieje mego serca sama poniekąd skłaniałaś mnie do tego związku.

— Ponieważ uważałam go za właściwy i dla was obojga odpowiedni.

— Zapewne... zapewne — ale w tych kombinacjach twoich, Lorciu, pominęłaś j!eden wzgląd i to dosyć ważny, jak mi się zdaje.

— Jaki? moja kochana.

— Nie zwróciłaś uwagi na to, czy Alfred zechce ofiarować mi swoją rękę?

— Ależ bo to było bez żadnego pytania wiadomem.

— Nic, Lorciu, to było zupełnie niewiadomem. Alfred nigdy i niczem nie dał do zrozumienia, że jest mną zajęty. Był grzecznym, uprzedzającym, zachowywał się jak każdy dobrze wychowany człowiek względem kobiety.

— A ja nie wątpiłam jednak że cię pokocha...

— Co do mnie, łudziłam się także tą nadzieją, łudziłam się nawet gdy tu na wieś przyjechał, gdy te naszą sąsiadkę poznał. Cierpiałam nad tem dużo, bardzo dużo — alem nie traciła nadziei. Dziś wszystkie te złudzenia zostały ostatecznie i raz na zawsze rozwiane.

— Miałeby ci wprost wyznać że cię nie kocha i że niema zamiaru ofiarować ci reki — ależ to byłoby najwyższą niedelikatnością z jego strony!

— O nie, on tego nie zrobił! on przemawia! do mnie ze wszelkimi względami, tonem pełnym

grzeczności i szacunku — i ani o miłości ani o małżeństwie mowy między nami nie było.

— Wiec cóż ci powiedział ten... ten półgłówek! waryat, odpychający rekami własnymi szczęście, którego nawet wart nic był?...

— Co mi powiedział? Tak niewiele a tak dużo zarazem... tak bardzo dużo w kilku słowach...

— Ale cóż? wyznał przed tobą uczucie dla tej czarnej wnuczki starego kaprała z Borków.

— Nie — i o tem Alfred także nie mówił.

— Więc?

— Mówił, moja Lorciu, że dotychczasowe swe życie zmarnował... że je strwonił, bez pożytku dla siebie, dla bliźnich i dla kraju...

— A to zkad znowuż?

— Mówił że chce to naprawić, że pójdzie daleko, między obcych ludzi — uczyć się, aby z czasem pożytecznym obywatelem kraju się stać i nie oglądając się na majątek — zapewnić sobie byt pracą rąk własnych i głowy.

— Ha ! ha... wzniosłe teorie bezposażnych panien i starych inwalidów! o, czuje ja ten wpływ! To są skutki wizyt pana Stanisława w Borkach. Apostołowie pracy!! tak, tak, zapewne, pójdą sami w pole bronować z

chłopami — a nas zapędzą do kurników, obór i chlewów... To są teorie dobrze wychowanych ludzi, ludzi umiejących się szanować!! O Natalciu, Natalciu.! jakież to okropne czasy! jakie życie straszne, przy tych marzycielach szalonych !

Natalcia nie zważała na ten patetyczny wykrzyknik i opowiadała dalej.

— Alfred może się tu jeszcze na parę dni pokaże a potem zagranicę na lat kilka wyjedzie... mnie pożegnał tak jakby na zawsze... szczęścia mi życzył... partyi świetnej!

— I cóż ty, moje dziecko, zamierzasz uczynić?

— Ja?... jeszcze nie zadawałam sobie tego pytania i nie chcę owej kwestyi w myśli nawet poruszać. Nadto smutną jestem teraz, nadto złamaną i zgnębianą, bym spokojnie zastanawiać się mogła.

Niech się uspokoję trochę... wypłaczę ...

— Płakać! ? — zawołała z oburzeniem pani Laura — płakać! że półgłówek jakiś dla dziecinnych mrzonek wyrzekł się szczęścia i losu! ? Ach, Natalciu, doprawdy to już za wiele honoru! Gzy oni wszyscy razem warci są choćby jednej łzy tylko!? Przeciwnie przeciwnie, moja droga, śmiać się raczej, bawić, jeździć, błyszczeć na balach! używać w całym znaczeniu majątku, partyę świetną zrobić — i z wysokości swego stanowiska spoglądać na tych półgłówek szyderczo! Wszak ty nie inaczej postąpisz, Natalciu, nie odmówisz sobie tej zemsty słodkiej ?

— O nie — odrzekła cicho. lecz stanowczo — ja takiej zemsty nie pragnę.

— Dlaczego ?

— Bo zdaje mi się... że oni mają słuszość...

— Więc i tyś taka sama, Natalciu? i ty także... ach, teraz wierzę, że jakaś epidemia opano

wała wszystkich. Epidemia wielkich poświęceń!... febra cnot!... tyfus zacnych czynów!... filoxera zadań obywatelskospółecznych!!... To przecież nie do wytrzymaniai. To szczyt bolesnego komizmu! Wybuchając spazmatycznym śmiechem, pani Laura upadła na fotel — a Natalcia patrzyła na to smutnymi, zamyślonymi poważnie oczami...

XIII.

Dwa tygodnie bawili bracia w mieście gubernialnem, a przez ten czas pani Laura otrzymała dwa listy od męża, z uprzejmem, lecz lakonicznem bardzo, zawiadomieniem, że dość powikłane interesa prawne opóźniają jego powrót do domu.

Czem były te dwa tygodnie oczekiwania dla pani Laury, opisać trudno. Jakie migreny i bóle głowy przechodziła, ile się naopowiadała sztywnej angielce o okropnych przywarach wszystkich mężczyzn na świecie, tych mężczyzn niegodziwych, nie mogących nigdy zrozumieć poświęcenia i ofiar ze strony idealnych, sercowych kobiet!

Jakkolwiek pani Laura złość swą wylewała w języku angielskim, lecz pomimo tego. a raczej może dlatego, wysznurowana miss nie rozumiała wcale o co chodzi. Widząc jednak oburzenie malujące się w oczach pani, udawała, że się takie

oburza i powtarzała, regularnie co trzy minuty, swoje: Ves madame , z punktualnością zegarka.

Nawet gdy pani zaklinała ją na wszystkie świętości, aby nigdy serca swego nie oddawała mężczyźnie, miss, machinalnie, jak porcelanowy chińczyk, kiwała głową mówiąc zwykle yes, chociaż nie przypuszczała nawet cienia prawdopodobieństwa, żeby się kiedy w tego rodzaju sytuacji znaleźć mogła.

Obecnie pani Stanisławowa w angielce jedyne miała towarzystwo, gdyż panna Natalia przed kilkoma dniami opuściła Starzyn i udała się do ciotki zamieszkałej w Warszawie.

Rozstanie się czułe i serdeczne na pozór, było jednak w gruncie rzeczy tylko chłodnym dopełnieniem formalności towarzyskiej, jak z jednej tak z drugiej strony.

Pani Laura była istotnie nieco rozżalona, lecz nie pochodziło to z powodu sympatii dla Natalci smutnej i widocznie na duchu złamanej, lecz raczej z przyczyny, że plany od tak dawna przygotowane i obmyślane obracały się w niwecz.

Podróż zagranicę, zima pod łagodnym niebem włoskim, tyle marzeń pięknych, wszystko to rozprysnęło się jak bańka mydlana, którą dziecko dla zabawki puszcza; rozwiało się niby mgła poranna, rozpędzona przez wiatr.

I Natalcia nie żegnała kuzynki z wielkim żalem. Niedawno, przed kilkoma miesiącami jeszcze, miała do niej przywiązanie pewne, lecz obecnie przekonała się że to lalka bezduszna.

Natalcia odjeżdżając nic miała łez w oczach, na ustach jej zarysowanych artystycznie, błędził nawet uśmiech, iecz na białym czole znać było pewną zadumę...

Ileż bo przez ten czas krótki przemyślała, przedumała biedaczka...

Kochała po raz pierwszy w życiu, kochała serdecznie, i miłość jej prawie że odrzuconą została. Człowiek, któremu dusze swą oddać pragnęła, ucieka, oddala się od niej. Powiada że idzie czas stracony odrobić i powetować, że przejrzał. że w świat idzie — dla zasady, dla idei.

Dokądże idzie i po co? Czemu stanąć chce w szeregu pracowników zwykłych, czemu ? gdy może żyć wygodnie i bez troski?

Co go skłania do tego?

Natalcia domyśliła się łatwo. Spojrzała w stronę Borków i wnet znalazła rozwiązanie zagadki. — Tak, to miłość go w świat rzuca, miłość otworzyła mu oczy, dla tej miłości lepszym, szlachetniejszym być pragnie. Piękne oczy dziewczęcia zachodziły łzami — a nie były to łzy rozpaczy, lecz owe ciche łzy rezygnacyi i smutku, który się na długo, na bardzo długo, w głębi serca osiedlić zamierza...

Po kilku dniach, po owem rozstaniu się z Alfredem, myśli jej, które plątały się dotychczas, jak powikłany motek nici, zaczęły do porządku przychodzić. Natalcia zastanowiła się nad dziejami swego uczucia, nad Alfredem, nad czarnooką Klarcia i jej

dziadkiem poważnym — analizować zaczęła. Dla czego Alfred tamte pokochał? Czy dla tego że ją może urodą przewyższa?

Nie chyba; — wprawdzie pułkownikówna jest piękna jak wiosenny poranek, ale diu jednej urody nie pokochałby jej Alfred tak bardzo. — Cóż więc tak przywiązało go do niej? czy może atmosfera tych zasad, w których wychowała się i wzrosła, czy przymioty moralne? Zapewne... — A w jakiej atmosferze ja wzrosłam? jakie zasady w duszę moją wpojono? — zapytywała sama siebie Natalcia.

Zadawszy sobie to pytanie, cofnęła się myślą w przeszłość, zrobiła obrachunek lat ubiegłych i ujrzała po za sobą przerażającą pustkę...

Zrozumiała też Alfreda, pojęła w zupełności jego postanowienie.

Ogarniał ją jednak żal, dla czego do niej nie przyszedł, dlaczego nie wypowiedział jej swych myśli. Zrozumiane, podzieloneby przez nią zostały. Ona towarzyszyłaby mu, pomagała w spełnieniu zamiarów, które pani Laura epidemią marzycielstwa nazwała. Myśląc jednak nad tem, Natalcia i do siebie samej żal miała, — gdyby bowiem ożywiały ją takie przekonania, jakie w małym dworku pułkownika panują, to kto wie czyby i przebudzenie i miłość Alfreda nie były jej tryumfem.

Lecz stało się. Ten którego pokochała całą siłą pierwszego, dziewiczego uczucia, straconym już

jest dla niej bezpowrotnie. Nie marzyć jej o tem by poszedł z nia razem, reka w reke, do celów zacnych i szlachetnych. Ona osamotniona, smutna, z sercem boleścią rozdartem, staje teraz jak samotny wędrowiec na rozdrożu, gdzie się ścieżki w różne Strony rozchodzą, i nie wie którą ma wybrać.

Kuzynka wskazywała jej drogę bezmyślnego życia, — gonienie za błyskotkami i szczęściem pozomem, mówi, że w tem życiu znajdzie zemstę słodką, lecz Natalcia nie pójdzie tą drogą — a zemsty nie pragnie. Cichy smutek nie miota się jak rozpacz, nie miewa złych myśli. On jest poważny i szlachetny, szlachetnością cierpienia...

Natalcia nie pójdzie za radą kuzynki, lecz przeciwną wprost drogę obierze. Wyrzeknie się błyskotek i bezmyślnego życia, będzie umysł swój kształcić, a ponieważ bogatą jest, więc dostatków na dobre cele użyje. Łzy ocierać będzie, w niedoli bliźnim pomagać. Stworzy sobie świat nowy całkiem, dla drugich żyć zacznie.

Nie mogła zdobyć miłości Alfreda — lecz jego szacunek zdobędzie — dowiedzie mu że nie jest lalką bezduszną, lecz człowiekiem, który kocha, myśli i czuje.

Ten cel musi jej na teraz wystarczać, musi jej całe życie wypełnić.

Powzięła postanowienie silne, niewzruszone, nie odmieni go nigdy...

Noc jest.

Stacye drogi żelaznej już widać, powóz toczy się szynko; Natalcia zadumana, na poduszkach powozu oparta, smutnie spogląda w niebo zasiane miliardami gwiazd...

Wysoko, wysoko — na horyzoncie, dostrzega dwie drobne gwiazdki, mrugające wesoło... położone obok siebie tak blisko, że niemal jedna drugiej dotyka... — Opodal błyszczą gwiazdka samotna... mniej jasna niż tamte, jakby mgłą jakąś zakryta...

Gwiazdka ta mrugać się zdaje jak jasne oko dziecięcia. Po chwili ta samotnica niebieska, niby nie mogąc patrzeć na towarzyszek swych szczęście, odrywa się i, zakreślając linię świetlną, spada... jakby na ziemię.

— To moja gwiazdka — szepce do siebie Natalcia — ona mi drogę wskazuje; — na ziemię! na ziemię!

— Już stacyą, jaśnie panienko, — odezwał się stary stangret, zatrzymując konie.

— Tak na ziemię! na ziemię! — szepnęła jeszcze Natalcia i zmieszała się z gromadką podróżnych.

EPILOG.

Piękna pani Laura wyplakała mnóstwo łez — cierpiała na ciężką migrenę, ale to nic a nic nie pomogło. — Mąż był upartym i! nie poznał się wcale na boleściach złamanego serca. — Starzyn oddany został w długoletnią dzierżawę. — Dzierżawca, człowiek zamożny, przeprowadził z wierzycielami układy i spłaca ich częściowo — państwo Stanisławowie do Warszawy się na mieszkanie wynieśli.

On zdrowszy jest teraz znacznie, dostał w biurze kolei żelaznej posadę, a pensya wraz z małym dochodem z majątku, pozwalają mu utrzymać rodzinę na skromnej, lecz przyzwoitej stopie.

Sucha miss, oszczędności swoje zabrawszy, powróciła w strony rodzinne — i podobno, pomimo ostrzeżeń pani Laury, poszła za jakiegoś piwowara w Ipswich, pani zaś pozostała osamotnioną, jak powiada, pogrzebaną żywcem.

Córeczka na pensye chodzi, uczy się dobrze, lecz ojciec wpaja w nią zasady, którychby się nawet Stary kapral z Borków nie powstydział.

Biedna pani Laura!...

Jedyną jej pociechą jest, że ma kilka znajomych pań, również zawiedzionych, zapoznanych istot, których mężowie także ulegli zgubnym obłędom chwili i zredukowali znacznie budżet na zagraniczne przejażdżki i stroje.

W gronie tych dam pani Laura pociesza się nieco. Pociesza się tero, że sama przynajmniej nie

cierpi, nie ma towarzyszek niedoli. To też gdy się zjedną u przyjacielskiej herbatce, wtedy puszczają wodze zboląłym sercom i obrzucają świat i czasy dzisiejsze, gorzkiemi, pełnemi żółci wymówkami.

Niewiele im to pomoże, no — ale wygadają się przynajmniej.

Natalcia nie cieszy się także względami pani Laury. Są z sobą na bardzo ceremonialnej, etykietalnej stopie. Pani Laura nie może zupełnie swej kuzynki zrozumieć, ani też z dziwacznością jej postępowaniem sympatyzować.

Więcej nawet — oburzona jest na nią. Bo jakżeż — panna tak zamożna, taka dystygowana i piękna, o której rękę dobijała się co najlepsza młodzież, odrzuciła najświetniejsze partye i założyła... strach powiedzieć nawet... ogromny magazyn! To już przechodzi wszelkie wyobrażenie!

Kilkadziesiąt dziewcząt znajduje w tej fabryce zatrudnienie, a panna Natalia, ta panna Natalia stworzona do karet i salonów, zbiera grosze jak najzwyczajniejsza przekupka, lub sklepikarka z Żabiej ulicy. I pocóż je zbiera? po to aby znacznieszą cześć tych zbiorów rozrzucić hojną dłonią między jakieś szkaradne, stare baby, zamieszkujące Rybaki Solec, Czerniakowską i tym podobne zakazane zaułki Warszawy. Także gust szczególny! — handlować wykwintnemi strojami, aby zarobić na ciepłe chustki dla jakichś wyrobnic i suchotnic z Powiśla.

Tego pani Laura nigdy przebaczyć kuzynce nic może.

Natalcia też o przebaczenie nie prosi.

Dnie upływają jej szybko, jeden schodzi za drugim niewiadomo kiedy a każdy niemal ściga na jej głowę błogosławieństwa pocieszonych biedaków.

Może też te błogosławieństwa zjednały jej zadowolenie wewnętrzne i spokój, który się maluje na jej pięknej twarzy...

W Borkach po dawnemu idzie, tylko listy z zagranicznymi markami przerywają dni jednostajne, a listy widać pocieszające, pomyślne, bo Klarcia się rumieni jak wisienka, ciotka Józefa coś z cicha o wyprawie wspomina, a pułkownik z zadowoleniem białe wąsy gładzi i z pod oka u Klarcia spogląda.

Właśnie i teraz wieczór jest letni, zapach kwiatów dolatuje z ogródka, z łąk wiatr przynosi woń skoszonego siana, z lasów balsamiczne tchnienie sosen i świerków.

Ptaszka śpiewają, młodziutki księżyc lekko rysuje się na niebie, oczekując rychłoli zachodzące słońce za lasy zapadnie.

Pułkownik siedzi na ganku, przy nim z główką na jego ramieniu opartą Klarunia. Rozwinęła się, wypiękniała, urosła. Jest obecnie w samym rozkwicie wiosny życia, jest jak kwiat róży, gdy się z zielonych obłonek pączka dobędzie i całą pełnią blasków zajaśnieje. Pułkownik mówi do niej.

— Wiesz co już za tydzień ten twój leśnik niemiecki przyjeżdża do Borków?

_ tydzień., dziaduniu, jeśli słowa dotrzyma ...

— O dotrzyma, dotrzyma, ręczę za niego — ale mnie ten przyjazd nic cieszy.

— Dlaczego to, dziaduniu kochany?... — pyta z trwogą dziewczyna.

— Bo już w tej chwili dziadek na drugi plan zejdzie i tamtemu miejsca ustąpi.

— O nie, nie, dziadziu, tyś zawsze pierwszy!...

— Co tam, moje dziecko, ja waszem szczęściem szczęśliwy będę — i to mi wystarczy.

Klarcia wzięła rękę dziadka i przycisnęła ją do ust.

— Jam już i dziś szczęśliwy — mówił dalej pułkownik — szczęśliwym, widząc że on na naszą miłość zasłużył.

— Więc i ty go już kochasz, dziaduniu? o, jakżeż mam ci dziękować!?

— Nie dziękuj, dziewczyno — i nie dziw się temu. Serce starego weterana łączy do każdej siły zacnej i błogosławi każdego rekruta, co się do armii pracowników zaciągnął. Ty byłeś jego instruktorem, Klaruniu — więc także masz prawo być dumną z niego... Niech błogosławieństwo Boże będzie zawsze nad wami i nad tą ziemią, po której wspólnie pójdziecie.

SPEŁNIONE MARZENIE.

Każdy człowiek w swem życiu coś miłować musi. Jeden zdolniejszy, bogaciej przez przyrodę uposażony, ukocha naukę i z poświęceniem życia własnego, gotów dla niej nowe drogi torować, nowe ścieżki, choćby własną głową w granitach przebijać. Inny, na orlich, a częściej na Ikarowych tylko skrzydłach, na wyżyny sztuki się wzbija, i całą przyrody piękność, wszystkie jej formy przepyszne, uśmiechy i grozę usiłuje odtworzyć w plastycznej mowie kształtów, barw, albo tonów — ale nie każdemu dane to szczęście.....

Zwykły człowiek prosty, przeciętny jak go nazywają niektórzy, człowiek, co nie przerósł normalnego poziomu swych współbraci, a czasem i nie

dorósł do niego, ukocha zwykle, proste zatrudnienie — a ukocha je tak że mu ta miłość całe życie wypełni.

Tak kowal wiejski z dumą przygląda się zrobionej przez siebie podkowie, jak Canova się rze

źbom swoim przyglądał, tak rolnik z tryumfem patrzy na złoty łan jęczmienia, jak Rubens patrzył na płótna swoje. I jeden i drugi włożył w swe dzieło cały zasób pracy, siły i inteligencji, i jeden i drugi dumny jest szlachetną, rodzicielską dumą.

To już w porządku rzeczy leży — a biada temu, kto nic nie ukochał! Życie jego będzie czerem, hezbarwnem, pustem, bez przykrości i goryczy, bez zawodów i zmartwienia, ale też bez radości i dumy z odniesionego zwycięstwa.

Nie zazna on rozkoszy ni goryczy, i zniknie w otchłani czasu, jak ów pochmurny dzień jesienny, co ani blaskami słońca nie zajaśniał, ani deszczem nie płakał, ani łoskotem burz i gromów nie przerażał

Szkoda takich bezbarwnych, beznamiętnych ludzi?.....

Bohater tego opowiadania ukochał ziemię, ukochał te zagony długie, równe, szerokie, które woli pracownika posłuszne, jak niewyczerpane bogactwa kopalnie, co roku nowe przynoszą skarby; ukochał jasy niebotyczne, szumiące, poważne, które tak powoli rosną, że aż na olbrzymów wyrastają. Ukochał drzewa, strumienie i łąki, a dzieckiem jeszcze będąc przeglądał się w kryształach fal, słuchał szmeru drzew, poił się wonią kwiatów na błoniach nadrzecznych. — Zdawało mu się, że ich mowę rozumie, tajemnice podsłuchuje — potrzeby zna.....

Piękny ogród był celem jego marzeń, rzadkie krzewy i kwiaty, które ziemi rodzinnej przyswajać pragnął, pieszczotą jego myśli.

Zdawało mu się, że jak liść na rodzinnym drzewie przeżyje cicho swój czas — a potem, kiedy jesień przyjdzie, żółknie i legnie, jako już wysłużony, stary!, obumarły, który musi ustąpić miejsca młodym.

Zapomniał jednak biedny, że nie wszystkim liściom dozwolono, aż do końca jesieni na rodzinnym drzewie pozostać; że czasem przychodzi burza gwałtowna, uragan, i silnym podmuchem zmiata najdrobniejsze, najzieleńsze listki i unosi je daleko, daleko, na wzburzone fale wód, lub na jałowe piaski pustyni.

I on też do kategorii zerwanych listków należał. Młodziutki, jedyne dziecko rodziców, śmiał się do życia, które się do niego nawzajem uśmiechać zdawało, i w perspektywie nieodległej ukazywało same kwiaty. Ale zerwała się burza nagle, wiatr uniósł kwiaty daleko, pozrywał i poszarpał wonne płatki róż i pozostawił mu tylko nagie, cierniste łodygi.....

On sam, jak liść oderwany od macierzyńskiego drzewa przedwcześnie, padł gdzieś daleko.....daleko

Długo po obczyźnie się tułał, długo różnej biedy zażywał, aż po kilkunastu latach, złamany, posiwiiały przedwcześnie, powrócił do stóp rodzinnego drzewa. Powrócił — ale już napróżno.

Wszystko się zmieniło — był bez rodziny, bez domu, bez ziemi — sam, jak kołek w płocie, jak dzika gruszka w polu. I on się też bardzo odmienił. Z dziecka stał się człowiekiem z rękoma zgrubiałymi i pochyloną głową, i grzbiet też zgiął mu się pod ciężarem trosk, i oczy w dół patrzyły smutnie. Co mu włożono w głowę za młodu, to uleciało potrosze. Przytępiła się pamięć, a i oczy odwykłe już od dawna od książki, z trudem śledzić mogły drobne rządki liter, w których człowiek myśl swoje uwięził.

Na grzbiecie jego prosta sukmana wisiała, niezgrabne buty miał na nogach — sposepniał, zdziczał na długoletniej tułaczce.

Do wioski rodzinnej przyszedłszy i zobaczywszy jakie tu zmiany zaszły, poszedł na cmentarz, uronił łez kilka na grobie ukochanych, i powędrował dalej w świat szeroki — wprost przed się.

— Eh! — dumiał przez drogę — co tam! co się stało już nie wróci — przebolełem, przecierpiałem, ale życie długie dla nieszczęśliwych bywa

—
silnym jeszcze, pracować pójdę..... głodu przy
mre, od ust sobie odejmować będę, ale grosz jaki taki złoże — potem w
swoje strony wrócę, gruntu kawałek kupię i będę na nim pracował. Tyle
lat. tyle lat przemarzyłem o tym kawałku ziemi swoim własnym, o kątku,
z którego mnie już nikt nie ruszy, gdzie starość spokojnie przepędzę przy
pracy, wśród

roślin i kwiatów wonnych i pszczołek brzęczących rozgłośnie.

Zmęczony drogą, usiadł biedny wędrowiec pod krzyżem, sparł czoło na dłoniach i dumał.....

wreszcie, głowę pochylił na piersi, i tak, pół śniąc pół czuwając, myślał o tej przyszłości jasnej, cichej, pogodnej, jaką wymarzył sobie w długich latach osamotnienia i sieroctwa. Ziemi kawałek kupi! bogatej, wdzięcznej ziemi, i domek będzie miał własny, mały cznściutki a cichy, i ogródek!....

A czegoż tam w tym ogródku nie będzie? czego zbraknie?

Jakie drzewka, obciążone soczystym o złotych barwach owocem, jakie kwiaty?! Winorośl pięć się będzie po południowej stronie domku, a zpośród lisci jej zielonych wychylą się ku słońcu grona złociste i czarne, i zwieszać się beda tuż przy ramach małego okienka. Może z po za tych szybek maleńkich wychyli się kiedy twarz rumiana, może łagodnym spojrzeniem modrych oczu obejmie zgarbionego nad ziemie pracownika, może srebrzysty uśmiech dziecka zabrzmie w chatce niskiej. Kto wie? On nie ma teraz swoich, nie ma rodziny, ani ojca, ani brata, ani jednej istoty przychylniej — ale jak ziemię już mieć będzie i kąt własny, to może się znajdzie istota, co zechce jego losy podzielić.....

może spocznie na nim wejrzenie dobrych oczu, może go rozweseli śmiech srebrzysty.....

Tyle szczęścia — tyle szczęścia było w tem marzeniu że aż się biedny wędrowiec, przerażony jego ogromem, przebudził.

Wstał, rękawem grubej sukmany łzę otarł, i poszedł dalej — do miasta. Po jakimś czasie, w bluzie robotnika, uwijał się pomiędzy wagonami kolei żelaznej. Stacją była ogromna, ruch towarów wielki, trzeba było paki i worki ładować na wagony, lub z wagonów. Nasz marzyciel miał na ramieniu blachę z numerem i, a robotnicy ze stacji nazywali go mułem. Grzbiet Tego człowieka był jak gdyby z żelaza. Nr. i nie lękał się ciężaru, z każdym dniem przybywało mu siły, pomimo że żył jak anachoreta i odmawiał sobie wszystkiego; tymczasem składał grosz do grosza, i starannie na piersiach ukryty woreczek napełniał coraz bardziej. Nr. strzegł tego skarbu jak oka w głowie, boć to spełnienie marzeń i nadziei — to ziemia!

Jeszcze jakie sześć, ośm lat, a oszczędność wystarczy na kawałek gruntu, choćby na parę morgów tylko.

W niedziele, kiedy miał czas wolniejszy. Nr. wychodził na plant drogi, i szedł aż po za obręb miasta, gdzie się zaczynają ogrody, szedł przypatrywać się kwitnącym drzewom i zieleni.

Inni robotnicy śmiali się z niego, mówiąc, że muł idzie na trawę, ale on na to nie zważał, szedł i długie godziny przepędzał po za miastem.

Nieraz śledził ruchy i robotę pszczół. Wpatrywał się w tę skrętną szarą pracownicę, gdy zapuszczała się w żółty, wielki jak kielich, kwiat dyni.

Tłumiąc w sobie oddech, żeby pszczoły nie spłoszyć, patrzył, jak mądre to stworzenie zabierało na siebie masę żółtego pyłku, jak obładowawszy

się tym ciężarem, pszczoła, już nie szara, ale jakby złocista wznosiła się w powietrze, i dźwigała swój ciężar do ula.

Jego to zajmowało niezmiernie; przecież i on kiedyś będzie miał swoje gospodarstwo, pszczołki swoje; nasieje dla nich tatarki, koniczyny i melissy, zasadzi kilka lip przed domem, żeby miały zkąd miód zbierać..... Już kilka lat dźwigał ciężary i zbierał grosz do grosza, aż raz do kancelaryi zawiadowcy przybiegł zadyszany robotnik i zaraportował:

— Proszę pana naczelnika, nasz muł się złamał!

— Jaki muł i

— Nr. i, proszę pana, porwał się sani na dziesięć pudów, w krzyżu coś mu pękło i leży.

— Odnieście go do szpitala — zakomenderował pan naczelnik, i niebawem numer z kolei, nazywał się w szpitalu.

Po sześciu tygodniach, wynędzniały, blady, opuścił ten przybytek boleści, i powlókł się napowrót na kolej. Chciał znowu przywdziać bluzę i jak dawniej, dźwigać ciężary, ale go za niezdarnego uznali. Przez wzgląd jednakże na jego pracowitość i dobre prowadzenie się, obiecano mu dać jakie lżejsze zajęcie, skoro się wakans otworzy.

Długo oczekiwał na to szczęście, aż nareszcie, gdy się już z takim trudem zebrany kapitał naru

szył, przeznaczono go na końcową stację kolei, właśnie w rodzinne jego strony.

Jakżeż tam spieszyli Zdawało mu się, że pociąg idzie krokiem żółwim, że wszystkie koła są zahamowane, że w lokomotywie węgla braknie!

Wychylał głowę z wagonu i patrzył patrzył, choć ostry wiatr rzucał mu w

oczy kłęby czarnego dymu i iskry tlejące jeszcze. Jakżeż nie miał patrzeć? tam jego strony rodzinne, tam, te drogie sercu jego pola, łąki i lasy, a ze stacji na której pracować będzie, widać złocony krzyżyk jego parafialnego kościółka.

Eh! tam by ziemi kawałek kupić, tam umrzeć między swoimi, na starym cmentarzu spocząć — tam takie wierzby prześliczne, tyle mogiłek drogich.....

Ale dlaczegóż umierać? Już zebranych pieniędzy jest trochę, a teraz przecież pensya duża, bo exNr. i już i numerem nie jest — o. nie!... awansował znacznie — jest dygnitarzem od ustawiania wagonów, ma łączyć je z sobą.

W swoich stronach może i jaki swojak się znajdzie, jaki dawny znajomy odszuka, i nie będzie tak pusto, jak na tułaczce, lub w szpitalu.

Ej życie! ono jak lato — choć burzliwe, dżdżyste i pochmurne, jednak przecię, choćby przed samym zachodem, rozchyli ciężkie chmury, pokaże słońce, a jak się to słońce uśmiechnie, to i pole i las i woda i łąki rozśmieją się, ustroją, wyzłocą,

i te krople deszczu nawet, co jak łzy ciężkie na gałęziach zawisły, nabiorą radosnego blasku i oschną prędko, że i śladu z nich nie pozostanie...

Na nowem stanowisku praca była mniej ciężka, a korzystniejsza dużo, i swojak się znalazł, dróżnik stary, co jeszcze naszego bohatera dzieciakiem pamiętał, i nieraz też, gwarzyli sobie wolnym czasem, o dawnych wspólnych znajomych.

PxNr. i wyprostował się — odmłodził — i nie dziw; nie był przecież starym, a w ogniu niedoli hartuje się człowiek jak stal. pod ciężarem

zbytecznym ugnie się trochę, ale gdy ciężar ustąpi, z energią i siłą do dawnego położenia wraca. Tylko w innych okolicznościach człowiek staje się kruchem żelazem, wtenczas gdy rdza namiętności wje się w niego i wgryzie — wtenczas lada co złamie go i pokruszy.

Nie nazywano go już ani Nr. , ani mułem, tylko panem Antonim. Koledzy szanowali go, naczelnik lubił — dobrze mu się działało. Woreczek pęczniał coraz bardziej — nadzieja uśmiechała się coraz wyraźniej. Sionce zdawało się jaśniejszem, niebo bardziej błękitnem — woda czystsza.

Jeszcze trochę, może rok tylko, a będzie domek własny i ogródek i gruntu kawałek.

W sąsiedztwie stacji mają kolonizować majątek, będzie można dostać grunt na dogodnych warunkach, na długoletnią wypłatę.

A może znajda się i oczy dobre, co ogarną człowieka długiem, powłóczysem spojrzeniem, co niem powiedzą tyle. ile usta wypowiedzieć nie potrafią — może się spełni owo słodkie marzenie z pod krzyża, wyśnione wówczas, kiedy znużony wędrowiec odpoczywał przy drodze?... Kto wie: kto wie?... bo jak się człowiekowi wieść zacznie to już się wie jak z płatka, i tak się ładnie jedno z drugiego wywija, jak nitka z długiego pasma jedwabiu.

Antoni już się nie lękał tego ogromu szczęścia , myśl o niem nie przerażała go nieprawdopodobieństwem i niemożliwością urzeczywistnienia się.

Grunt, domek, ogródek, własny kącik i cicha a spokojna praca, to już tylko kwestya czasu, który przy zajęciu upłynie szybko, jak woda w wartkim Strumieniu — a dobre oczy ?...

I te już są — takie modre, jak habry w życie, a takie jasne jak słońce, a takie dobre jak nadzieja, która wszystko osładza.

One czasem śmieją się z Antoniego i żartują, ale po za tem widać, że to tylko żarty, ot tak sobie z pustoty, zwyczajnie jak u dziewczyny. Już to taki zwyczaj, żeby żartować z tych co je kochają — stary zwyczaj kobiecy.

Te oczy należą do córki dróżnika. Stary ma budkę niedaleko, pierwsza wiorsta od stacji. Antoni tam chodzi jak ma wolny czas, gawędzi, o projektach swoich opowiada, oszczędności oblicza. Niema

już pomiędzy nimi sekretu, a czas schodzi tak dobrze, tak słodko, jak dziecku przy boku kochającej matki, w miłym rodzicielskim domu.:!
O miłości nie mówili z sobą nigdy — bo na cóż? można kochać i bez mówienia, zresztą, już się porozumieli z dróżnikiem, wesele będzie po świętach, a potem.... co Bóg da _____

Dziewczyna wie że jest kochaną, choć jej tego narzeczony nic mówił, ale ona to odgadła, czuje, że będzie jej i nim dobrze. Stosunek to cichy, spokojny, poważny.

Antoni nie śmie jej nawet ująć za rękę. ale patrzy w nią jak w obraz, a wychodząc z małego domku dróżnika, zawsze jej mówi zcicha:

— Po świętach.

Już też i niedaleko Ho świąt, bo grudzień. Noc czarna jak smoła, mroźna, chmury śniegowe przesuwiają się po niebie, czasem uda się kilku gwiazdkom wyrzeć z po za nich. Mrugną z kokieteryją ku ziemi, i znowuż znikną w ciemności Antoni jest dzisiaj na służbie.

O godzinie minut przyjdzie pociąg towarowy, przyczepi się do niego sześć wagonów ze zbożem, i wyprawi w stronę Warszawy.

Co noc prawie to samo się robi. Już na stacji zapalono latarnie, sygnały świecą, z oddalenia słychać świst przeraźliwy i trąbkę dróżnika, wreszcie, z głębi lasu wysuwa się potwór żelazny, którego latarnie świecą jak oczy olbrzymie. Hamulce jęczą, i maszyna sapiąc wtacza się na stację.

Konduktorzy weszli do bufetu ogrzać się, na parowozie został pomocnik maszynisty i weksluje — zbiera wagony.

Antoni jest na służbie. Sześć wagonów przyczepić, mała rzecz, zaraz się skończy, za trzydzieści minut pociąg odejdzie, a szczęśliwy pracownik pójdzie odpocząć i marzyć o swych nadziejach złotych. Już tylko jeden wagon pozostał, lokomotywa przypycha pociąg tyłem ku niemu.

— Gotowe, trzeba przyczepić. Antoni stoi między buforami. Naraz usłyszano lekki krzyk, jakby niedokończony, jakby przerwany w połowie...

Jednocześnie dał się słyszeć chrzęst, jakby się coś zgmiotło i jakaś masa czarna upadła na relsy. Zbiegła się służba z latarkami. Pod kołami wagonów leżał Antoni bez życia. Miał klatkę piersiową zgniecioną, strumień krwi buchał ustami.

Zaniesiono go na stację — przyszedł felczer, opatrzył, głową pokiwał i głęboko przeświadczony o znajomości swego fachu powiedział:

— Kaput!

Antoni raz jeszcze oczy otworzył, spojrzął w stronę domku dróżnika i... skonał.

Telegraf zaniósł do zarządu drogi wieść o wypadku, śledztwo wykryło że przyczyną śmierci była nieostrożność — a w dwa dni potem kilku robotników niosło białą trumnę na cmentarz.

Za trumną szedł stary dróżnik z córką, zawodowca kilka urzędników stacyjnych.

Tak się spełniło marzenie. — Tułacz znalazł nareszcie przytułek, wędrowiec cel wędrowki. Cichy marzyciel i pracownik ma teraz swój własny kawałek ziemi, z którego go już nikt i nic nie ruszy. Odpoczywa przy swoich, gdzie takie ładne wierzby i brzozy, gdzie tyle mogiłek drogich.

Ma już i ładny ogródek, bo życzliwa ręka nasadziła tu kwiatów, dobre oczy załzawione i smutne obejmują częstokroć ten ogródek pełnem tęsknoty wejrzeniem, a nocą mrugają nad nim gwiazdy...

Z czasem zabrzmi tu i srebrzysty uśmiech dzieci.

Po kilku latach, gdy już czas zatrze smutki, przyjdzie na tę mogiłę stary dróżnik i przyprowadzi wnuczki, których się po swej pięknej córce doczeka.

Stary uklęknie i pacierz odmówi, a dzieci gonić będą motyle na grobach...
KONIEC.